NRLF-1
MAIN

PAMIĘTNIK MROCZKA

J. IGNACY KRASZEWSKI

PAMIĘTNIK MROCZKA

POWIEŚĆ

WARSZAWA
INSTYTUT WYDAWNICZY „BIBLJOTEKA POLSKA"

BERKELEY
LIBRARY
UNIVERSITY OF
CALIFORNIA

Tekst według wydania z r. 1875.

Zakłady graficzne Instyt. Wydawniczego „Bibljoteka Polska“ w Bydgoszczy

Sit nomen Domini benedictum.

Nigdy, jako żywo, nie byłbym pomyślał o opisaniu wypadków, które w dosyć długiem życiu Pan Bóg przebyć pozwolił, ratując mnie łaską Swą, gdyby nie naleganie usilne dzieci i przyjaciół, abym dla nich i potomstwa ich pamięć tych przygód zostawił, których oni ani tak objąć, ani tak, jako świadek oczny, opowiedzieć nie potrafiliby, chociaż je nie raz jeden z ust moich słyszeli. Więc nie, żebym mizerną swą osobą chciał zajmować ludzi, boć takich, jakem ja był i w podobnych przygodach, naliczyłby tysiące, ale że mi Pan Bóg dał w wielkiej imprezie i sławnej onej wiktorji nad Turkami, pod cesarską stolicą otrzymanej, uczestniczyć, a rzecz ta pamięci jest wiekuistej godna — przeto się nakłonić dałem, aby coś o tem, jakom na to oczyma własnemi patrzał, zostawił. A że się nie obejdzie, bym przy tej okazji czegoś i o sobie powiedzieć nie miał, niech mi to będzie przebaczone.

Rodzina moja z Mazurów pochodzi, gdzie od wieków dawnych Boleszczyce siedzieli i gdzie im Ziemowit, książę mazowiecki, przywileje wielkie nadał, jako możesz czytać u genealogów naszych. Ci świadczą, jako się rozrodzili i rozdzielili Boleszczyce, a potem i po całej Polsce rozeszli, tak,

że mało gdzie kąt znalazłeś, aby tam naszej krwi kogoś nie odpytał. Ano miał zwyczaj mawiać stary Nowowiejski, który też Jastrzębcem, inaczej Bolestą się pieczętował, iż nas prawie narodem raczej, niż familją zwać się godziło; tak liczni byliśmy od wieków na polskiej ziemi. Najstarsze kroniki już onych Jastrzębców wspominają dobrze przed Krzywoustym, tak, że *originem* familji bodaj do pogańskich czasów odnieśćby należało; z czego, uchowaj Boże, chluby nie szukając, dlatego to piszę, abym nie zamilczał, co się mojego rodu tyczy. Już w tym czasie, kiedy Ziemowit w 1408 r. ów przywilej nasz spisać kazał, który Bolestów wszystkich, naówczas w Księstwie Mazowieckiem zamieszkałych, od jurysdykcji wszelkiej krom sądów książęcych uwalniał, było ich tam coniemiara po wsiach, od których imiona pobrali, jako: z Psarów, Czeszewa, Myśliszewa, Kozłowa, Mańkowa, Chorzewa, Bobrowa i t. p. Takeśmy i my, Mroczkowie, od antecesora Mroczka czyli Mruczysława nazwani, „z Łukowca“ się pisali, i niektórzy Łukowieckimi się poprzezywali. Wszystkie też rodziny Jastrzębczyków, których mało kilkaset różnego miana naliczyć było można, jeden herb nosiły i noszą, jeśli z odmianą, to niewielką: w szczycie podkowę z krzyżem, a na hełmie jastrzębia czyli kanię, jak do myśliwstwa były używane, z centkami u nóg. I mogliby byli owi Bolestowie potężni być, gdyby się byli trzymali jako jeden ród i zawołanie; ale od owego nieszczęśliwego zabójstwa Św. Stanisława za karę snać Pan Bóg im szyki pomieszał i rozproszenia dopuścił, tak, że się już za swych nie znają i samopas każdy chodzi, choć wszyscy do jednej familji

należą. Byli bowiem z królem Bolesławem Szczodrym, jako jego przyboczni, w to nieszczęsne zabójstwo wmieszani Bolestowie, za co im potem i imiona i szlachectwo odjęto niektórym, a potem znów przywrócono. Od onego też wypadku już się nigdy rodzina podnieść nie mogła do pierwszej świetności swej i popadła w ubóstwo. A potomkowie tych, co się krwią świętego zmazali, zawsze w rodzinie miewali, jako żywe świadectwo swojego szaleństwa, jednego, który szalał.

O ile wiem i od ojcam to słyszał, który dziada swego pamiętał, zaręczali najstarsi, iż między Mroczkami nic się podobnego nie trafiało, w dowód, iżeśmy tam nie byli na Skałce, gdzie się krew niewinna męczeńska lała, aniśmy się nią pomazali. Wszelako należeliśmy do rodu i z nim, widać, dźwigaliśmy losy wspólne, bo się nam też nie wiodło, mimo ciężkiej pracy.

Mroczkowie z Łukowca, jak wielu innych Jastrzębczyków, dawno się byli wynieśli z ojczystego zagonu, a nam już przypadło kawał ziemi trzymać na Podlasiu około Bugu, kędy się był pradziad wyniósł z okazji tej, że się ożenił z Pawlicką, po której wioska mu się dostała w tym kraju zapadłym. Już wtedy ś. p. ojciec mój, Paweł, tam na świat przyszedł, i jam tam także światło dzienne ujrzał w Górze Pawlickiej d. 23 *junii* 1657 r., za onego nieszczęsnego panowania Joannis Casimiri, nad które, nie wiem, czy kiedy smutniejsze być mogło. Tych przecie czasów srogiej kary bożej nie pamiętam, bo to były lata niemowlęctwa i dzieciństwa mojego, a jak sięgnąć mogę przypomnieniami, już się też było u nas nieco poprawiło.

Jednakowoż nie w naszej rodzinie, bo myśmy naszą Górę utracili, którą nam za dawny dług niesłusznym procesem wzięto, od czego ojciec zmarł ze zgryzoty wielkiej, rady dać sobie nie mogąc. Matce też ze mną przyszło po cudzych tułać się kątach, mało co nad ruchomość ocaliwszy, a i ta się rozpraszała. Miałem stryja, człeka niezbyt majętnego, ale na własnej siedzącego wiosce; ten jednak mało się losem moim chciał zajmować, a wcale matki i mnie przyjąć nie myślał. Matka więc u swej siostry Zawickiej przemieszkiwała, można powiedzieć, na łasce; a gdy się to trafi, choćby u rodzonej, zawsze ciężko opłacić trzeba. Co tedy tam zniosła i przecierpiała, milczeniem pokryć wolę. Mnie z Zawickim razem do szkół posyłano, a i tu, Boże odpuść, tylko że nie za chłopca bratu ciotecznemu służyć musiałem, i tyle nauki chlipnąć, ile jej trzeba było na życie. Przypadły mi jakoś szkoły właśnie pod ten czas, kiedy król abdykował z dobrej woli, a później obrano w miejsce jego Michała. Ale się owe wielkie przepowiednie na Piasta nie ziściły, i pszczoły, co tam siadły czasu elekcji, miodu nie zrobiły. Mijam tedy ów czas, bo o nim niewielebym mógł powiedzieć, kiedym nad moją książkę szkolną dalej nie widział. Później dopiero cokolwiek w oczach się świat rozjaśniać począł, a już się i lepiej wiodło onemu królestwu za wstąpieniem na tron hetmana, wsławionego zwycięstwy, jakiego nam właśnie było potrzeba.

Za łaską i protekcją krewnych moich, którzy też i zbyć się może załogi życzyli, bardzo tedy młodo rycerską począłem praktykę, i nieźle mi się wiodło — a jakem się dał poznać i poczciwe imię

sobie zasłużył, toć ludzie wiedzą i tego nie ciekawi.

Wracam tedy szczególniej do tych czasów, których pamięć radbym zostawił, i do lat dorośleiszych, gdym już w regestr był wpisany i począł chleba wojskowego kosztować. Nie doczekała poczciwa matka moja poprawy chudopacholskiego losu, gdyż jakoś na rok przed stryjem, po którym wioseczka mi się dostała, u Zawickich zmarła.

Chorzała już oddawna, przeto, chociaż się i gorzej miała, i bliską zgonu czuła, pobłogosławić mnie i zobaczyć pragnęła. Pożałowali posłańca do mnie, bom był przy chorągwi mojej, naówczas konstytującej na Rusi. Niech im tego Pan Bóg nie pamięta, choć mnie im ciężko zapomnieć wyrządzoną krzywdę! Zmarło się biednej matce tak nędznie, jak żyła, a pogrzebu nawet przystojnego, jak należało, nie sprawili, niemal jak sługę, nie jako krewną najbliższą, pochowawszy bez wszelkiego aparatu, z jednym księdzem. Jam to później nagrodził, solenne wyprawując egzekwje, na które, chociażem Zawickich prosił, czując się źle na sumieniu, przybyć nie chcieli.

Dopiero po pogrzebie listem mi ciotka dała wiedzieć, że Pan Bóg matkę wziął z tego świata na lepszy i że po niej mi nic nie zostało, krom ślubnej obrączki ojca i obrazka Najświętszej Panny Częstochowskiej, który za relikwję chowam. Zapłakawszy tedy nad swem sieroctwem, rzekłem, jako mnie nieboszczka nauczyła:

Sit nomen Domini benedictum.

Nie upłynął rok potem, a byłem niemal ciągle przy chorągwi, i to tak, jak sam prawie, bo się towarzystwo porozjeżdżało, każdy do domu, lub do

swoich, jam zaś i pojechać nie miał dokąd, chyba po bliższych dworach znajomych, — gdy odbieram posłańca od starego przyjaciela ojca, pana Jacka, przybyłego z Podlasia, abym *eo instante* pośpieszył do stryja, który wyraził chęć widzenia mnie przed śmiercią, co się kazało domyślać, że miał jakieś względem mnie zamiary; a jeślibym tego nie uczynił, obawa jest, żeby Wólka nie poszła w cudze ręce.

Nigdym ja, prawdę rzekłszy, na ten spadek, choć mi się święcie należał, nie rachował; stryj bowiem serca dla nas nie miał, otoczony był obcymi i dalszymi, a ci tam dobrze swoich interesów pilnowali. Wszelako, słuchając rady pana Jacka, wziąwszy kartę, a poczet zostawiwszy na miejscu, samowtór z pacholikiem Grzesiem puściłem się co rychlej ku Podlasiowi. Aleśmy też i pośpieszać nazbyt nie mogli, bo czas był wiosenny, roztopy same; śniegi ledwie tajać poczęły: tu lód, tam grzęzawica, ślisko, błotno, niebezpiecznie dla koni, noce ciemne. A i konie moje nie były tak przedziwne. Siwy, któregom sam miał, to jeszcze; ale pod Grzesiem był deresz, szkapa ciężka i nieco dychawiczna, tylko zakurowana. Jakeśmy się poczęli wlec, konie nogi poobrażały na lodach, nie bez tego, by i kolan nie potłukły, bo szpetnie padały, choć ostro kute. Tak potem po gospodach leczyć je i obwiązywać musieliśmy coraz, choć się jednej godziny nie straciło napróżno, — i kiedyśmy do Wólki przybiegli w Wielki Czwartek na zaraniu, Grześ postrzegł pierwszy, iż się świece paliły wokoło tapczana, a na nim stryj już leżał.

Pusto, jak wymiótł, tylko tam nieco służby, stara klucznica, włodarz i trochę odartego wieśniac-

twa; owych przyjaciół, co go objadali, opijali i obierali ze wszystkiego — ani śladu. Boć też koniec owym zapustom, które nieboszczyk wyprawiać przywykł, a po kątach, śpiżarniach i komorach, jakby Tatarowie przeszli.

Kiedym owe świece żółte zobaczył i babki przy nieboszczyku, serce mi się ścisnęło. Zsiadłszy z konia, poszedłem wprost do izby, ukląkłem w nogach i począłem „Anioł Pański".

Stryj, któregom dawno nie widział, straszliwie był zmieniony; twarzy i oczu mało co było znać, dla srogiej obrzękłości, a że go i ubrać nie mogli z tej samej przyczyny, więc był tylko poowijany w odzież ubogą i zszarzaną. Nędznie też a goło wyglądało dokoła, aż się serce ściskało, patrząc, i rozpłakałem się, widząc przykład na nim niestałości fortuny. Toć to ten dworek przez lat dwadzieścia nigdy nie pustował od wesołych przyjaciół i towarzyszów; a teraz, miły Boże, w ostatnim terminie i jednego z nich nie było, coby nieboszczykowi dotrzymał, tylko ja, przybyły zdaleka, o którym on słyszeć nie chciał za żywota.

Jeszczem był „Anioł Pański" nie dokończył, słyszę, klepie mnie ktoś po ramieniu; obracam się, patrzę: stoi pan Jacek i wyciąga ręce do mnie. Przeżegnawszy się więc, wyszliśmy na podwórze razem. Grześ jeszcze konie wodził, nie wiedząc, co począć z niemi.

Jął mnie ściskać stary przyjaciel ojca i matki, i zrazu się rozpłakał, że i słowa z niego dobyć nie mogłem, krom jednego:

— Jakże ty się masz?

— Co się tu stało? — pytam.

— A no, widzisz — powiada — śmierć, *ultima*

linea rerum, przyszła i wymiotła śmiecie. Pouciekało od umarłego, co żywcem dla chleba się łasiło; objedli, opili i poszli. Dotrwał do ostatniej godziny jeden Wojakowski, który na Wólkę czyhał, a myślał, że mu ją zapisze. Nie wiem, co się stało nieboszczykowi p. Krzysztofowi, ale się uparł i testamentu żadnego zrobić nie chciał. A tak — dodał — z łaski bożej została ci się owa Wólka dziadowska.

Tegom się ja nie spodziewał, i rozpłakałem się znowu.

— Nie sądź — mówił dalej pan Jacek — żeby to wielkie były rzeczy: wioszczyna mała, są i długi, a czasu choroby obcy powynosili resztę mienia, tak, że ino cztery kąty i piec piąty zastaniesz; ale Bogu niech będą i za to dzięki!

Poszliśmy tedy po dworze i gospodarstwie, żeby zobaczyć, czy się co na pogrzeb da zebrać, a jam też zapasu nie miał. Jak żyw, takiej pustki i zniszczenia nie widziałem, dezolacji i ruiny. Nigdzie nic na zawinięcie palca, tak tam dotąd gospodarowano; a o co było spytać, to ten, to ów z przyjaciół zabrał, to temu, to innemu oddano, gdy już nieboszczyk sobą nie władnął i z izby się nie ruszał. Okrutne też opuszczenie wszędzie, jakby oddawna oka brakło i starania wszelkiego, ażeśmy z p. Jackiem gniewali się i płakali. Wyglądało ono niespodziane dziedzictwo, jak *Arabia deserta.* Gdym się, łamiąc ręce, frasował, pan Jacek rzecze do mnie:

— Dopóki i ziemi i ludzi, nie trzeba rozpaczać! Do wszystkiego się dochodzi.

Ale tu nieboszczyk na tapczanie, a i pogrzebu niema mu za co przystojnego zakupić. Pojechaliśmy zaraz do proboszcza; zaprezentowałem się

i przyjął nas w sieniach, do izby nie prosząc, bo był na odjezdnem, ale z dobrą twarzą. Powiedział pan Jacek, o co nam chodzi i w jakim jesteśmy frasunku; on też, choćby z serca pomóc rad, nie był przy pieniądzach.

— Kawalerze mój — rzekł proboszcz — mały to frasunek. Pogrzeb przystojny będzie i bez grosza, toć mój obowiązek. Żyjemy z ołtarza, aleśmy też i ojcowie duchowni i bracia, więc się to po bratersku załata. A jeśli jegomości jakiemi dwustu złotyma wygodzić mogę, proszę je przyjąć na pierwsze potrzeby, to mi je oddacie.

Małom staruszka w rękę nie pocałował, coby też grzechem nie było, bo wielce poważny był i szanowny, a osoba duchowna. Wprowadził nas dopiero do izby, dobył talarami bitemi dwieście złotych i wyliczył zaraz. Chciałem siąść kwit pisać, ale nie dopuścił, i pod pozorem pośpiechu, bo konie stały zaprzężone u ganku, zwinął się, żegnając nas.

Duch wtedy w nas wstąpił, i powróciliśmy do Wólki nazad, myśleć około pogrzebu. Odprawił się przystojnie, bez zbytniej okazałości, ale też z wystawą nie ostatnią, a mało kto nań przybył, krom nas i ubóstwa. Z tych przyjaciół serdecznych, co to z Wólki nie wychodzili całe miesiące, nie było ani jednego.

Dopieroż, gdy się zadość uczyniło zmarłemu, poszliśmy z panem Jackiem spisać inwentarz i opatrzyć pozostałości. Nie było wiele roboty: tak czysto chodzili inni około zapasów wszelkich. Przecież nie mogli wynieść doszczętu, i coś tam gdzieś się w kącie przyzostało. W izbie, w której nieboszczyk zwykł był siedzieć, gdzie i umarł nie

na łożu, ale w krześle — stało jeszcze owo krzesło naprzeciw komina wygasłego, tak, jak je rzucili, nieboszczyka zdejmując. Przychodzimy tam z panem Jackiem, a ten powiada do mnie:

— Toby to wynieść na strych, bo i sprzęt niezdarny i pamiątka smutna.

A było siedzenie stare, skórą obite, wygniecione, bo na niem wiele lat przejęczał stryj, rzadko z niego schodząc. Odpowiem tedy przyjacielowi:

— Postawię w kącie, niechaj choć ta po nim zostanie tu pamięć.

A że nas było tylko dwóch w izbie, wzięliśmy za poręcz, aby je z drogi usunąć.

— O dla Boga! — krzyknie nagle pan Jacek — a toć to co?...

Patrzę, a on z pod materaca za kutas skórzany ciągnie trosik, który snać na złą godzinę przy sobie trzymał nieboszczyk, nikomu o nim nie mówiąc ze strachu, aby mu i tego nie wyłudzili i nie odebrali.

Po worku znać było, że tam niemało czasu przeleżał. Szczęście, że go słudzy nie podpatrzyli, boby i to było przepadło; ale Pan Bóg uchował.

— Otóż waści na inkrutowiny — zawołał p. Jacek, i poczęliśmy liczyć.

Było czerwonych złotych ładnych, obrączkowych dwieście dwanaście, portugał jeden wielki, wagi dziesięciu, i pierścionek z oczkiem diamentowem, niezbyt wielkiem, jak małego grochu ziarno; na spodzie kartka zżółkła, z konotatką jakąś nieczytelną.

Wyraźną uczułem Opatrzność Bożą nad sobą, i pierwszą myślą moją było dać na nabożeństwo za duszę jego, proboszcza zaspokoić sowicie, a da-

lej dziury łatać, bo tu ich było więcej, niż wątku w tej nieszczęśliwej Wólce.

Że nas tam dwóch tylko było przy owem krześle, nikt historji trzosiku nie wiedział, bośmy o tem oba zamilczeli. Przemacał potem pan Jacek poduszki w siedzeniu i dobrze obrewidował je, ale już więcej nic się nie okazało. Znów tedy wstąpiło we mnie serce, żem się ochoczo wziął do gospodarstwa.

Ciężko mi szło w tej ruinie, a śpieszyć się też musiałem, jako tako urządzając, w pewnem przewidywaniu wojny z Turkiem; bo już była Rzeczpospolita pozwoliła na przymierze przeciwko niemu, i nieochybnie tego roku iść mieliśmy w ziemie cesarskie, które poganie plondrowali. Wszyscy się tego spodziewali, jam też ino czekał i wymawiać się nie myślałem cale, bo mi to mogło być dobrą okazją wysłużenia czegoś i pokazania się po kawalersku.

Tymczasem jednak, dłuższe uwolnienie otrzymawszy, wziąłem się z pomocą pana Jacka i za radą jego do roli, opatrzenia budynków i skupienia inwentarza. Ba, i nasienie jare kupić też musiałem: tak był śpichlerz wymieciony czysto; a sąsiedzi mnie, chudziny, nie pożałowali i dobrą wzięli cenę. Jeden pan Jacek, płać mu Boże, owsa dla koni pożyczył chętnem sercem, chociem go o to ani prosił.

Do sąsiadów, którzy nieboszczyka ze wszystkiego ogołocili pod pozorem przyjaźni dla niego, nie miałem ochoty jechać, ani znajomości robić, ale się znowu oprzeć niepodobna było tym, którzy przyjacielską dłoń wyciągali. A jak to człowieka zwykle nigdy ani jedna bieda nie spotka, ani jedno

szczęście, bo się to oboje kupą trzyma, stało się tak i ze mną.

Na niedzielę Przewodnią pojechaliśmy z panem Jackiem do kościoła, gdzie tego dnia odpust był z okazji aniwersarza konsekracji. Frekwencję szlachty i ludu znaleźliśmy nadzwyczajną: tłok taki, że się prawie docisnąć było trudno. Nas przecie przez zakrystję wpuszczono, i stanęliśmy około wielkiego ołtarza. Nabożeństwo było solenne: nie mogłem też, jadąc na nie niemal po raz pierwszy, pokazać się ludziom ladajako; więc się tam z tłomoczka dobyło co lepsze, choć niezbyt wspaniałe, ale ochędożne. Uważałem, iż się postawie rycerskiej trochę przypatrywano, chociem się nie prezentował z całym rynsztunkiem pancernym, tylkom szablę przypasał i obuszek w ręku miał, żeby się było na czem oprzeć... W czasie nabożeństwa, choć pobożny byłem, prawie mimowoli patrząc ku balustradzie, oddzielającej prezbiterjum, widzę niewiastę młodą, klęczącą, niezmiernej piękności i skromności. Mogę powiedzieć, że, inom ją ujrzał, serce mi wzięła. Miała coś w sobie i skromnego, i pańskiego razem, że się w niej wydawało i pochodzenie z krwi zacnej, i dusza wielka...

Myślę, że mi tam potem, Panie odpuść grzech, z pacierzem się plątało i nie szło raźnie, bom już oczu od tego obrazu oderwać nie mógł. Postrzegł to pan Jacek. Wychodzimy z kościoła, a ten mi w ucho kładzie:

— A cóżeś to waszeć tak do starościanki Heleny był pobożny, więcej niż do wielkiego ołtarza?

Skonfundował mnie mocno; — powiadam:

— Gdzie? Jaka?

— Ale, nie udawajże niewinnego — rzecze — klęczała przy galerji... musisz ją znać.

— Jako żywo — mówię — pierwszy ją raz oczy moje oglądały, ale pewnie do śmierci nie zapomnę.

— Tylko się tam daremnie nie zwracaj z afektem — odparł na to Jacek — senatorski dom, buta wielka, trzech braci zawadjaków, starających się ćma, bo posag pański, i zapisy tam jakieś. Bracia jej chudemu pachołkowi nie dadzą.

Wstrząsnąłem ramionami, a tuż, widzę, kroczy banda cała na probostwo, kędyśmy też szli. Jacek mnie w łokieć trąca.

— Otóż i oni, panowie Nałęcze...

Poszliśmy do księdza na kieliszek wódki i zakąskę, bo taki już był zwyczaj w tej parafji, że lubił mieć u siebie ludzi.

Na probostwie izba pełna. Kobietom i mężczyznom zastawiono stoły, co kto chce, ale skromnie... Widzę, i moja owa kościelna znajomość, panna starościanka, ze starszą panią nadchodzi, i wszyscy ją gonią oczyma. Tu mi się dopiero wydała jeszcze cudowniejszą.

Na mnie, jako na nowego człowieka, obróciły się wejrzenia ciekawych; spostrzegli, żem też nieladajako wyglądał, i poczęli się potrosze garnąć ku mnie. P. Jacek mnie swoim prezentował, ci drugim; wszczęła się rozmowa o wojsku, o towarzystwie, bo tam niejeden miał i znajomego, i krewniaka, więc pytań i ciekawości było dosyć. Patrzę, przystępują też i starościce, we trzech do nas, a z nimi drab okrutny, pan Florjan Chabrzyński, o którym słyszałem już, że był pierwszym rębaczem na okolicę i zwady szukał chętnie. Pozna-

jomili się ze mną bardzo grzecznie, gadamy; wtem jeden z nich, młodszy, zaprasza do siebie na obiad. Nie wiedziałem, że wszyscy i z siostrą mieszkają razem, ale powodu odmówienia nie było; pana Jacka też wzięto.

Pojechaliśmy wszyscy, jak kto stał, do zamku ich o półtorej mili. Rezydencja była pańska, dwór wielki, w domu *honeste* wszystko i zamożnie. Zaraz mnie tedy przedstawili i siostrze, i kobietom innym, i godnej matronie, pani podczaszynie, o której wiele już wprzódy słyszałem. Ta mnie też zaprosiła, abym ją odwiedził.

Niewielem się do starościanki mógł zbliżyć, alem w nią, jak w tęczę patrzał, dla nadzwyczajnej jej piękności. Widziało się po świecie niewiast wiele, takiej przecie nigdy. Wspaniałość i łagodność połączone w niej były *mirabiliter*. Świeciła tam wśród niewiast, gdyby gwiazda. Miałem zręczność kilka słów przemówić, i oczarowany zostałem. Całe poobiedzie trwały zabawy rycerskie, ścigania się, strzelania z łuku, z fuzyj i muszkietów, z pistoletów i t. p. Mnie obuszek mój, com go był tak, jak z przypadku, wziął, jadąc, kazawszy Grzesiowi przyczepić do siodła, bardzo usłużył. Umiałem z nim tak dokazywać, jak nikt, a byłem przywykły do jego wagi i rzucałem, jak trzcinką, choć drugi ledwo co mógł dźwignąć. Admirowali więc szczerze tę sztukę, a niemniej, kiedym im pokazał, jak to się z łuku strzela, bo żaden tam tego nie umiał. Bawili się kuszą i strzałami, gdyby dzieci; dopiero ich nauczyłem, że w tem sztuka jest, a można tak dobrze w cel wystrzelić, jak i kulą.

Już nie wiem, czy im miło było, że może zręczniejszym nad nich w kawalerskich dopisach oka-

załem się, ale musieli mi przyznać, żem niedarmo żołnierzem się nazywał.

Poczęli pod wieczór pić i dokazywać, w czem już nie dopisałem im do końca, i wynieśliśmy się z panem Jackiem nieznacznie. Gonili nas podobno, ale nie złapali.

Już tedy potem do starościców zaprosin było bez końca, że się im i obronić stało rzeczą niełatwą, zwłaszcza, że mnie tam owe piękne oczy ciągnęły. Trafiało się i tak, żem prawie sam na sam z panną zostawał i z ochmistrzynią jej, bo matki nie miała, i konwersowaliśmy z wielką przyjemnością, gdyż panna była tak rozumna, jak piękna, a mowę miała tak gładką, jako lice. Tyleż, mogę rzec, szczęścia miałem w tym domu, co z nią, bo panowie bracia wkrótce krzywo na mnie patrzeć zaczęli. Ale na to się niewiele zważało, chociaż, ilem razy pomyślał, że mnie zły humor panów braci z tego raju wygnać może, ciężko mi było.

Gdy się to dzieje, a ja wioszczynę moją z tego trzosika porządkuję, i konie kupuję, i sprzęciku trochę różnego, już tedy coraz wojna owa, z wiosny zapowiadana, bliżej a bliżej — więc i do chorągwi wzywają... Ale napisałem do porucznika, że się na czas stawię.

Tymczasem do starościanki się jeździło, a z braćmi zabawiało, jak to młodzież zwykła. Tylko z nimi już nie pierwszym obyczajem, bo mi widoczniej coraz okazywać poczynali, że niespełna radzi byli, kiedym się do siostry przysiadał. Wszelako już mnie to odepchnąć nie mogło, bo mi tam jakoś bardzo szło szczęśliwie, i w niedługim przeciągu czasu przyszło do tego, iżem jej wyznał mi-

łość moją, za co się nie rozgniewała cale, i otrzymałem tylko odpowiedź:

— Niechże ten afekt będzie stateczny, bo on niemało obojgu nam zmartwienia i trudności przyczyni...

Jakoż się nie omyliła.

Już jak się raz te pierwsze lody połamały, tośmy konfidencjonalnie naradzili się, jak sobie poczynać, aby to do skutku przyprowadzić; i stanęło na naradzie, iż czekać potrzeba, nie przynaglając.

Najpierwsza ze wszystkich dostrzegła, co się święci, pani podczaszyna, która starościankę Helenę kochała, jak własną córkę; a że u niej miałem względy, okazała i w tem łaskawość swą dla mnie, radząc cierpliwość i wytrwanie.

Już codzień gęściej mówiono o wyprawie pod Wiedeń, ku któremu wojska tureckie pod wodzą wezyra wielkiego, Kara Mustafy, dążyły, aby go oblec i zdobyć. Dochodziły wieści z Warszawy o wielkich przygotowaniach, a Lubomirski przodem miał ciągnąć na posiłek, nimby sam król wyruszył z resztą wojska. Byli tacy jednak, co do ostatniej chwili rezolucji królewskiej nie dowierzali, gdyż się tam na dworze różne opinje ścierały i wpływy ważyły.

W tym składzie rzeczy, który opisałem, niebardzo mi może w smak było iść karku nastawić; ale czułem się, jako inni, *miles christianus*. Ino też, miły Boże, myślałem, coby się z tą wszystką moją imprezą stało, gdyby wojna wybiegła i przydłuższa być miała, jak się tego po nieprzyjaciela uporze i sile spodziewać było można! W Wólce bez mała wszystko jeszcze do góry nogami, jak nie-

boszczyk stryj zostawił, i gospodarstwa ledwiem dotknąć miał czas... A moja starościanka!...

Pojechałem w tej alteracji do pana Jacka, gdziem kompanję zastał dosyć liczną a poważną, niemal całe sąsiedztwo, a tu właśnie pan Szemesz, podsędek piński, przywiózł znowu ponowną relację, iż lada chwila ruszać przyjdzie, że już się i dwór królewski sposobi. Więc się tylko westchnęło — a zresztą, co ma być — *sit nomen Domini benedictum*. Wszelako nie mogę powiedzieć, żeby mi z tego wszystkiego bardzo na sercu nie było tęskno.

Rozmowy około tego były różne, a sądy też, jak to u nas nie nowina, niezbyt zgodne. Mówili jedni: iść na Turka; drudzy — przeciwnie, że przymierze utrzymać należało, a rakuskiemu domowi, którego wdzięczność wątpliwa, sukursu nie dawać.

Kiedy pan Szemesz wszedł do komory, w której siedzieliśmy, popijając wino, atoli skromnie, a zawołał od progu: — „Panowie bracia, wici niosę; *larum* bije trąba wojenna. Na poganina z królem!“ — uważałem, że niejednemu, jak mnie, twarz pobladła i oko się zaćmiło. I była chwila milczenia, jak makiem zasiał... Dopieroż, gdy pan Jacek, który sam z Turki i Tatary się ścierał, podniosłszy kielich, zawołał: — „Pijemy tedy na zgubę pogan, a podniesienie imienia chrześcijańskiego!...“ — wszyscy mu zawtórowali ochotnie.

Na powitanie Szemesza, a dla lepszej fantazji, bo tam dużo było z pod różnych chorągwi panów szlachty, kazał pan Jacek, co u niego rzadko, beczułkę zatoczyć do komina i przynieść kielich sporszy. Gdy kolej z naciskiem iść poczęła, a na

dobre ku pijatyce się miało, wyniosłem się chyłkiem, i o białym już dniu powróciłem do Wólki.

A jak to wszystko w człowieku od chwili zależy! Kiedym w dziedziniec wjeżdżał, jakby inaczej mi się wszystko tu wydawało, taki mnie żal ścisnął, że to porzucić przyjdzie, mało co tknąwszy. A tu tyle do roboty zostawało! Gdziem spojrzał, jeszcze ku mnie wyzierała nędza i bieda: obory przez bydło ze strzech boobjadane, płoty poobalane... tam ściana koślawa, tu kałuża szpetna...

Miałby tu człek, myślało się, i co poczynać i czem się pocieszyć, gdyby na złote jabłko tę miłą, acz małą Wóleczkę przerobił. Ale nie jako Ty, Panie Boże, rozkażesz. *Sit nomen Domini benedictum!*

Było to, jak dziś pomnę, dnia dziesiątego *julii*, dzień gorący. Gdziem spojrzał, to mi się *omina* wojenne nawijały. Z biesiady owej wesołej powróciwszy na zaraniu, nie było się czasu kłaść; słońce wschodziło, trochem się obmył i ruszyłem do gospodarstwa... Tylko ja na próg patrzę... na samym gościńcu dwa jastrzęby się tłuką, aż z nich pierze leci, a to tak blisko dworu, żem się już chciał strzelby chwycić, aby ich jedną kulą pogodzić; ale, jakoś się rozerwawszy, poleciały. Poszedłem do stajni konie opatrzyć, bo to potrzeba będzie i pod siebie ze dwa, i pod pocztowych, i pod wozik niezgorszych, aby na wypadek postrzelenia lub zdechu wyprząc można pod kulbakę. Siwy mój, którego chowałem nietkniętym, aby sobie dobrze wypoczął i boki wypełnił — a stał dawno chmurny, z głową zwieszoną — kiedym przemówił do niego, począł rżeć i nogą kopać, aż się rwąc do mnie... Więc w ekspektatywie podró-

ży kazałem mu jeszcze dać obrok lepszy i wszystkie szkapy opatrzeć a pokuć, aby w skok były gotowe, jeśliby nas na wyprawę zawołano.

Serce mi uderzyło, alem westchnął, kiedy stanęło mi przed oczami, co tu porzucić przyjdzie.

A no, wola boża. Gdy, tak myśląc, wchodzę do dworu, wpada za mną Grześ, wołając, iż gości widać w ulicy. Obróciłem się, patrzę... konnych dwóch i służby kilkoro prosto wali we wrota. Poznałem starszego brata starościanki i tego Heroda, Florjana, co to nie stąpi, ażeby burdy nie spłatał. Pomyślałem zaraz, iż coś w tem być musi, kiedy ci goście moją strzechę słomianą nawiedzać raczą; bo ostatnim razem, gdym był u nich, kwaśno na mnie spoglądali i jeden mi bryzgał słówkami, ażem kipiał. No, ale gość, to gość, ma swe prawa. Wyszedłem na ganek i słyszę już z sieni, jak Florjan, na kulbace siedząc, krzyczy do Grzesia:

— Jest pan doma?

Wyszedłem: — Czołem — czołem! — Zsiadają z koni ku mnie; proszę, aby je do stajni odesłali, a starościc odpowiada:

— Nie; pojedziemy zaraz dalej, tylko słówko przemówić trzeba...

Proszę ich do środka: jakoś się zawahali, ale przecież chorąży nie pogardził ubogą chatą i wszedł, a za nim p. Florjan. Wprowadziłem ich do pierwszej izby, siedzieć proszę, ale widzę, że szepcą coś do siebie, jakby się naradzali... Kazałem wyrostkowi podać flaszę wódki i przekąskę; oni się przeciągają po drodze, a na mnie prawie ani spojrzą. Myślę sobie: a długoż to tam tego będzie? Wreszcie począłem o tem i o owem, aż chorąży się odzywa:

— Jakżeś tam waszmość ze swej Wólki rad, czy nie?...

— Czemubym nie miał być rad? — rzekłem. Naprzód, że to dziadowska chata nasza; powtóre, że to mi, jak z nieba, spadło po stryju... a ot, jest za co ręce zaczepić.

Pan Florjan, wciąż chodząc po izbie i przypatrując się to tu, to owdzie po kątach z taką miną, jakby chciał szydzić, podśpiewywał.

— Ej, mospanie! — rzekł — niewielkież to włości odziedziczyłeś; wioszczyna mała, a jeszcze ją za nieboszczyka wyssali dobrze, ino kości zostały.

Tknęło mnie to do żywego, tem bardziej, że w domu własnym, gdzie się przecie i nie godziło przymawiać.

Rzeknę więc:

— Miłościwy panie a bracie, jak co komu... Nie myślę ja przed światem udawać tego, kim nie jestem: ubogim byłem, to mi i ten zagon miły. Szlachcicowi i tego dosyć, choć panuby mało; a na onych kościach, o których mówicie, może zczasem i mięso porośnie.

— Ale co to mi za folwark! — dodał pan Florjan — Maciek zarobił, Maciek zjadł, na dwa dni z wczorajszym...

Jeszczem się wstrzymywał, i rzeknę mu:

— Ha, no! Co komu Pan Bóg dał. *Sit nomen Domini benedictum.* Masz waszmość zapewne dobra większe, cieszże się niemi, a drugim do małego smaku nie psuj! Widywaliśmy też niejednego, co posiadał większe włości, niż wy, a poszedł z torbami; widywaliśmy i uboższych ode mnie, co do wielkich dóbr przychodzili.

Przycichli tedy, a chorąży się odezwie, spojrzawszy na towarzysza:

— Mówmy-no o tej sprawie, co nas tu przywiodła.

— Jest tedy sprawa? — pytam.

— A jest — rzecze brat. — Co rychlej z nią, to lepiej.

Milczę tedy, czekając.

— Oto — rzecze — uprosiłem ja pana Florjana na świadki, iż nie w złej myśli, ani bym waszmości chybiać miał, przyjeżdżam; ale się nam rozmówić potrzeba. W bawełnę obwijać nie będę. Waćpan, panie Janie, bywałeś w domu naszym, gdzie jako zacnego kawalera i miłego sąsiada przyjmowaliśmy go ochotnie z serca. A no, coś się z tego święci, czemubyśmy nieradzi byli. Mów waszmość szczerze, czy myślisz o naszej siostrze?

— Dlaczegożbym miał się zapierać? — rzekłem. — Jeśli afekt swój skłoni ku mnie, miałbym się za wielce szczęśliwego, gdybym rękę panny starościanki pozyskał.

Na to zerwie się chorąży z pasją.

— Otóż wara o tem myśleć, mospaneńku! Nie ujmuję mu ani szlacheckiej godności, ani przymiotów, ale za wysokie progi na waścine nogi! Senatorska wnuczka, siostra nasza, panna posażna, znajdzie łatwo sobie równego.

Ażem gniewem buchnął na tę impozycję. Plunę przed niego i rzeknę:

— A co mi to waszmość prawisz? Czy toby i w moim domu nie znalazło się krzesło albo i buława, gdybyśmy poszukali? Żem ubogi, tego się ani wstydzę, ani zaprę; waćpanowie też przecie siostry przemocą zamąż nie wydacie.

Pan Florjan przystąpiwszy do mnie, jak jest drab wielki, myślał, że nastraszy, i szepcze:

— Panie Janie, usłuchajcie dobrej rady, bo gorzej być może!

— Jak to waszmość rozumiesz? — spytam.

— Bierz, jako sobie chcesz! — rzekł.

— Na wszystkom gotów — powiadam — tylko znowu mnie waszmość ani jeden, ani drugi strachem nie odsadzicie...

— A kiedy ja, jako starszy brat, waszeci dom nasz wypowiem? — zawołał chorąży.

— Dziwna rzecz — rzekłem, śmiejąc się — żeby kto, pod czyjąć strzechę wlazłszy, swój dom w jego domu wypowiadał.

I począłem, ująwszy się w boki, przedrwiwać.

— Kochanku — przerwie mi Florjan, biorąc za rękę — nie śmiej się, ino słuchaj! Maluczkim jesteś człowieczkiem i nietutejszym; niedawnoś tu między nas wlazł, siedźże cicho!

— Tak uczynię, jak zechcę — rzeknę z fantazją, bo mi już ta ich buta naprzykrzać się zaczynała. — A waszmoście też róbcie, jak się patrzy!

Jęli się tedy zaraz do czapek. Nie wstrzymywałem. Na progu już powiada chorąży:

— Czyś mnie waszmość dobrze zrozumiał?

— Nie — rzeknę; — bo, kto nierozumnie prawi, tego zrozumieć niełatwo.

— Ino nie wyzywaj licha, póki śpi — woła Florjan — bo ja ci bakałarza sprowadzę!...

— Choćby się licho obudziło, to się nie zlęknę — krzyknąłem — a bakałarzowi mogę też dać nauczkę.

Działo się to w samym progu; ano, patrzę ku

oknu: sadzi na bułanym Zegrzda prosto do ganku... Pomyślałem w duchu: „Pan Bóg go tu wyraźnie zsyła!“ i przybyło mi serca dużo.

Florjan porywa mnie za rękę i woła:

— Dobywaj szabli, to się sprobujemy! Wypiszę ja waści komentarz na czole, co go będziesz miesiąc sylabizował!

— Ino nie tu — zawołałem. — Gośćmi dla mnie jesteście, a u mnie po staremu: nie biją gościa, ani łają. Chcecie się spróbować, nie od tegom, ale proszę za granicę!

— To podobno niedaleko, jak kijem cisnąć? — spytał, szydząc, Florjan.

— W istocie — rzeknę, — tyle, ile potrzeba, abyś waszmość parę Zdrowasiek odmówił na intencję tego sukcesu...

Wtem wpada Zegrzda; mało się na Florjana nie zwalił, z takim impetem szedł, już trochę rozmowy usłyszawszy, że się do szabel miało. Jemu w to graj, nie może być lepiej. Ci, jak go zobaczyli, ino po sobie zerknęli, ale mnie serca przybyło — i trzymam za słowo...

— Dobrześ mi tu spadł — wołam do Zegrzdy — biorę waszmości za świadka, iż mnie tu we własnym domu obrażono i zmuszono do szabli. Alem starego obyczaju pamiętny, gość mi święty; proszę na granicę! Zegrzdo kochany, będziesz mi przyjacielem?

— Będę z serca i duszy — rzekł.

Skinąłem na wyrostka, który tam poza drzwiami był:

— Dawaj szable!

Zegrzda, upatrzywszy stojącą flaszę na stole, poszedł się napić; ci już na koń siadali, ale

jakoś milczący; woleliby byli nie mieć świadka. Wyprowadziłem w ganek Zegrzdę i mówię:

— Jeszcze raz biorę waszmości za świadka, miły panie bracie, jako ci ichmoście najechali na dom mój, aby mnie pokrzywdzić lekkiemi słowy. Niesłychana to jest rzecz i nieszlachecka, mówię śmiało. A no, wolę bożą szanuję, która ludzi używa za narzędzia. Wyzwany będąc w domu własnym, obu waszmościom służę, jeśli potrzeba.

Zmilczeli; siedzą na kulbakach i wąsy gryzą. Zegrzda, jak nigdy gadatliwy nie jest, tak i tu, ino się po szabli uderzył, czapki poprawił i oko jedno przymrużył drwiąco, a tuż wodze w garść i już siedzi na siodle.

— Dawaj mi siwego! — krzyczę na Grzesia — wskok uzdę mu zarzuć i derę, choćby bez kulbaki.

Ręce mi się aż trzęsły. Przypasałem do boku swoją zwyczajną na taki raz, starą *indyczkę*, która już niejednemu dała się we znaki. Ci na koniach wszyscy stoją, a tu, jak z bicza trzasł, i dla mnie też ze stajni siwego kłusem wiodą, a ten leci, ogona odsadziwszy, tak ochoczo, jakby mnie z pół roku nie widział. Skoczyłem nań, choć nie był osiodłany, tylko mi kilimek popręgą przymocowali, i ruszam szparko z kopyta. Jedziemy milczący... Widzę, że, co mnie fantazja rośnie, to im ubywa.

Wskazałem ręką lasek. Poszliśmy wyciągniętym kłusem wszyscy; a miałem i tę satysfakcję, że ich konie za mną siano wiozły. Pierwszy przybiłem do mety; zsiadłem nade drogą u Bożej Męki i przeżegnałem się, westchnąwszy do Zbawiciela i Matki Jego, aby mnie, pokrzywdzonego we własnym domu, na pohańbienie nie dała...

Był krótki spór, czy się konno lub pieszo potykać mamy, ale woleli na szable i piechotą. Wyrwał się najprzód ów Herod na mnie.

Zegrzda, jak stał zboku, powiada do chorążego pod nosem:

— A cóżto, my próżnować będziemy? Ja chorążemu służę, jeśli wola i łaska.

I już się miał do szabli.

— Nie mam do waszmości żadnej urazy — odparł chorąży — lecz kielicha i szabli nie odpycham...

Alem ja, posłyszawszy, wszedł między nich.

— Za pozwoleniem. Moglibyście — mówię do Zegrzdy — uczynić chorążego niezdolnym do walki, a toć ja się przecie potykać z nim mam prawo. Zatem *prioritas* przy mnie.

A pan Florjan, śmiejąc się, zdala woła:

— Nie bądź-no tak skory, a gorąco kąpany! Nie zjesz nas przecie obu; za mało masz gęby; będzie ci, myślę, jednego dosyć, albo i za wiele. Ja cię odprawię, jak należy.

— Wszystko to w bożej mocy — odpowiadam. Jeśli się to stanie, o czem nikt z nas jeszcze nie wie, będzie na szable ichmościom czasu dosyć — ale ja moich praw bronić muszę.

— Słuszna rzecz — rzekł Zegrzda. — Poczekam.

I włożył swój smyczek do futerału.

Dochodzimy tedy z drabem owym na ścieżkę suchą; dobrze miejsce opatrzywszy, dobyliśmy szabel, zrobiłem krzyż przed sobą i wołam:

— Panie Boże żywy! Widziałeś krzywdę moją, bądź sam jej mścicielem! Twym się wyrokom poddaję.

— Nie módl się tam, mnichu, a broń się!

Złożyliśmy się raz — nic; drugi raz — darmo. Ten, chcąc mię ciąć zamachem wielkim, oślizgnął się jedną nogą, i widzę, jakem go tylko macnął, leci wtył. Ja go przez łeb; nim się uchwycił, ja go drugi raz! Krew mu oczy zalewa i już krzyczy:

— Dosyć! Dosyć!

— Widzisz — zawołałem, płazem go jeszcze dobrze po plecach poczęstowawszy — że przyszła kreska na Matyska.

Dałem mu tedy pokój: siadł na murawie i nuż, mrucząc, do chust, do wody i plastrów z sakiew... a ja do chorążego się zwracam i wołam:

— Służka jegomości!

Jakoś, widzę, zbladł nieco, nie taki już butny. Ale go gniew pochwycił, i sadzi na mnie, ledwiem się miał czas zasłonić. Dopiero, jak się zaczniemy siec a rąbać, aż szable jęczą, skry się sypią; ale ani ten temu, ani ów drugiemu nic zrobić nie może. Zegrzda tylko stoi i dziwuje się. Mnie już i ręka drżeć zaczęła, bom i nocy nie dospał, i sił spełna nie było. Myślę sobie, westchnąwszy do Św. Jana Nepomucena, orędownika mego, patrona dobrej sławy: — „Pomóż a ratuj!“ — I w tym samym momencie, pochwyciwszy zręcznie sposobność, płatnę po ręku, aż mu szablę wytrąciłem, i palec wisi tylko na skórze. Krzyknął: „Jezus, Marja!“ pochwycił się za okaleczoną rękę, a jam skoczył i stoję.

— Gdybym miał z kawalerami dobrymi sprawę — zawołałem — wiedziałbym, jak począć: prosiłbym was pod tę ubogą strzechę, pod którąście przyjechali biedzie mojej urągać, a dom mi swój wymawiać. Ale tych, co mnie od siebie pędzą,

ufając w butę swoją, ani śmiem, ani chcę ujmować. Bywajcie waszmość zdrowi, a pamiętajcie, że jakoście doświadczyli, iż się Pan Bóg za niewinnością ujmuje, tak ujrzycie, że dumą gardzi i karci ją.

Siedliśmy na konie z Zegrzdą i stępa pojechaliśmy do domu, zostawiwszy tam ich z ludźmi, żeby się lizali, jak chcą.

Dał tedy Pan Bóg wiktorję, ale niewesołą, bo, myśląc, że Helusi mej najdroższej widzieć nie będę, i że mi ten dom zaparto, który był sercu memu najmilszy, tylkom nie płakał. Zegrzda, widząc mnie posępnym, rzekł, wracając:

— Bądź dobrej myśli, wszystko się to jeszcze odmienić może. Wiem, o co szło. Strachy na lachy.

Ja mu na to:

— Juściż, tam noga moja nie postanie więcej.

— Sami cię oni jeszcze może prosić będą.

Wróciliśmy do domu, gdzie przyjaciela przyjąłem, jakem mógł i umiał, bo mi swem przybyciem dogodził bardzo.

Cały dzień do nocy przegadaliśmy, więcej ja, niż on, bo był obyczajem swoim milczący. Tylkom to z niego dobył, że już na dobre o wyprawie wszyscy mówią, że też nam lada chwila potrzeba, nie mieszkając, pod chorągwie, bo będą jedne wici za troje. A tak się skończył zwycięstwem dla mnie ten dzień, który mógł być pohańbieniem.

Jedenastego *julii* jeszcze mi się przyzostał Zegrzda i jakoś mu się trochę gęba rozwiązała, gdy począł o starościńskim domu opowiadać. Senatorski ród, ale siła dopustu bożego przezeń

przechodziło. Dziad panny mej, a ojciec starosty, ożenił się był na Śląsku z Niemką, panną Opelsdorfówną, szlachcianką, niema co mówić, bo i z grafskim tytułem, ale kobietą dziwaczną i więcej podobno lubiącą świat, niżby zamężnej niewieście przystało. Syn jego, znalazłszy po myśli pannę, także Ślązaczkę, stamtąd ją sobie przywiózł. Z małżeństwa tego czworo Bóg dał potomstwa: trzech ichmościów Nałęczów i córkę, moją bogdankę, pannę Helenę. A no, prawie szczęściem było dla dzieci, że matka zawczasu zmarła, bo je już swoi wychowali, szczególniej córkę, którą krewna ojcowska, bardzo bogata a bezdzietna, wziąwszy małą, prawie za własne dziecko przysposobiła i wychowała, majątek jej też znaczny bardzo po sobie zostawiwszy. Więc tak z matki i z ojca, jako z zapisu opiekunki, panna starościanka więcej miała nawet, niż bracia, których trzech na substancję po ojcu było. A to nieszczęsne bogactwo sprawiło, że tam jako o koronę się dobijali przez braci konkurenci, ludzie wszystko bogaci, renomowani, znacznych rodów i fortun niemałych.

Ichmość panowie starościce, że doma przy ojcu rośli, w wielkiej dumie i swawoli się wychowali. Można rzec, na senatorskie wilki to wypędziło: buta ogromna, marnotrawstwo wielkie, rycerstwa prawdziwego i bojaźni bożej mało, a dumy i pychy do zbytku.

Nadszastało się też majętności przez różne ekscesy i pono chciałoby się siostrę tak wydać, aby posagu nie płacić, aby wiano na majętności zapisał jegomość, nie odbierając, a panowie bra-

cia znowu mieli co po trybunałach i zjazdach rozrzucać. Ale Pan Bóg sieroty obrońca.

Odjechał Zegrzda ku wieczorowi, a choć małomówny, przecie mu język świerzbiał, że się wygadał o potykaniu się mojem ze starościcem i Herodem. Rozeszło się to piorunem po okolicy, a że ichmościów niespełna szlachta lubiła, ten i ów przybiegł winszować, żem rozumu nauczył, i radość była powszechna, i mnie omal na ręku nie nosili.

Przyjechali zaraz pan Grabowski i Sierociński, i nuż ściskać i całować.

— Bóg ci zapłać! Toś się gracko spisał! Powetowałeś honoru swojego i naszego. Będą na przyszłość ostrożniejsi ze szlachtą. A waszmości, nowo tu przybyłemu, posłuży to wielce, żeś sobie w kaszę napluć nie dał.

Zegrzda też rozniósł, jak się to stało, iż byłem cierpliwy i zimnej krwi do samego ostatka, a oni sobie lekko ważyli człowieka rycerskiego stanu, pomiatając nim tylko dla jego ubóstwa.

Byłoby mi to zwycięstwo na inkrutowiny między bracią szlachtą bardzo na rękę, gdyby goryczy nie dolewała myśl, żem już starościanki widzieć nie miał, ani się zbliżyć mógł do niej. Boćby mnie byli rozsiekali z gniewu, tak się odgrażali, gdybym się im na ich podwórzu pokazał.

Myślałem tedy: albo ją jeszcze spotkam w kościele, lub już nigdzie, póki Bóg łaską Swą rzeczy nie odmieni. A oto i listy, wzywające do powrotu pod chorągiew, nadeszły, i nie było co myśleć, tylko na koń co najśpieszniej, aby wstydu nie pić, ostatnim będąc.

Naradzaliśmy się tylko z Grabowskim i Zegrz-

dą, jak się wybrać. Jam chciał jak najszczuplejszym dworem, by w takiem ciągnieniu, przez cudze zwłaszcza kraje, a Bóg wie, jakie drogi, nie zawadzać obozem i taboru za sobą nie wlec, coby nas ociągał. Wszyscy się na to zgodzili, żem miał słuszność; ale, jak przychodziło do pakunku, tego i owego żal porzucić, to i owo zda się; pacholik wepchnie węzełek, ktoś beczułkę, jeszcze to, jeszcze tamto... i góry się zbierają, a rycerz wygląda, jakby kotary wlókł za sobą. Jam jeden tylko dobrze kuty wózek węgierski wziąć postanowił; a była w nim zbroiczka druga, lżejsza, trochę szat, trochę szmat, mało co zapasu na głodne dni — i po wszystkiem. „Słonina a jagły, dosyć na czas nagły".

Już tedy lada godzina ciągnąć było potrzeba, a tu serce podszeptywało, aby ją jeszcze raz choć ujrzeć... Tożem rychtował, pakował, a wciąż się zdało, że tego i owego brak, aby chwilę jeszcze wyjazd opóźnić.

Anim przeczuł, jak mnie Pan Bóg w łasce Swej miał pocieszyć.

Kazawszy jeszcze osie zapaśne i kół parę okuć, wstrzymałem się dzień, dlatego, żem poniedziałku nie lubił do wyjazdu i w kalendarzu był *feralis*. Dawszy tedy na mszę świętą przed ołtarzem Św. Stanisława, do którego tem większe mam nabożeństwo, że mu mojej krwi ludzie wyrządzili krzywdę — pojechałem raniusieńko jej wysłuchać. Powracam do Wólki, a tu mi Grześ daje znać w progu o posłańcu od podczaszyny, którego pod nieobecność moją — bo chłopiec niegłupi — przyjął przystojnie i utraktował. Tknął mnie zaraz ten poseł, że to tam nic złego być nie

mogło, chyba dobre. Wszedłem do izby, patrzę... a tu Jeremi, podczaszyny zaufany, człek poczciwy z kośćmi, prawa ręka w domu, który mnie też kochał zawsze. A jako mnie zobaczył, skłoniwszy się, powiada, że podczaszyna zaprasza na rozmowę i z obiadem czeka, abym zaraz pośpieszał i niedługo mieszkał, boby się pieczyste na rożnie wysuszyło. Uczęstowawszy jeszcze i uściskawszy posła, kazałem sobie podać karego podjezdka, bom siwego przeciw podróży oszczędzał; chciałem, aby się wystał i wypoczął. Mało co około ubioru poprawiwszy, puściłem się do Sorokowa.

Jeremi, że wózkiem jechał, wtyle pozostał, bom, drogi nie pilnując, miedzami się puścił, aby prędzej. Nierazem to ja sobie myślał, czy też gdzie na świecie trafi się tyle osobliwszych dworów i ludzi osobliwych, co tu, u nas. A wszystko to serce czyni, które jest wielkie, i fantazja, która jest niemała. Niechżeby mi kto pokazał taki wdowi dwór u obcych, jako był tej zacnej pani podczaszyny, albo tak osobliwe życie, jako jej było. Młodo zamąż poszedłszy, męża na wojnie, a sześcioro dzieci w kolebkach utraciła, sama jedna została na świecie, piękną jeszcze, młodą i bogatą. Ludzie dla niej głowy tracili: przecież sobie żywot prawdziwie wdowi obrała. Ubrawszy się w żałobę i odprawiwszy wszystkich ichmościów, poczęła po swej myśli życie prawdziwie święte.

Opatrznością też dla okolicy stała się podczaszyna. I oto już lat dwadzieścia naówczas było, od kiedy się ten porządek osobliwszy u niej zaprowadził, a trwał niewzruszony.

Nie było rodziny — stworzyła ją sobie jejmość; dwadzieścia panien szlacheckich na wychowaniu

miała zawsze, gdyby w klasztorze, tylko weselej, niż za klauzurą. Wszystko to brało się ze szlachty ubogiej, a na żony i gospodynie dla szlachty chowało. I co jedną wydała, a wesele jej sprawiła, ciągnęło zaraz kilka na to miejsce.

W zamku nikogo, tylko siwowłose starce, fraucymer ten osobliwy i ona, kapelan starowina i ochmistrzyni. Kiedy to tam do stołu siędzie wszystko, gdyby wianek z róż i lilij, podczaszyna jak królowa wygląda pośród tego dworu. Tak, nie mając swoich dzieci, przybrała sobie cudze, a opiekuje się niemi, jakby w istocie własne jej były, i, chociaż już zamąż powychodziły, o każdą swą wychowankę dowiaduje się, pomaga, obsyła. To też podczaszynę kochają wszyscy, a uboga szlachta porąbaćby się za nią dała. I nie znudzi się tam nikt w tym klasztorze jej: mimo rygoru takie wesele a ochota wszystkim z oczu patrzy; ano święte i pobożne wesele. W zapusty przystojna młodzież i skrzypki się znajdą, ale pod okiem dobrodziejki i skromnie; dom też niepusty zwykle, a biedny szlachcic, szukający skromnej i poczciwej towarzyszki, jak w dym goni do Sorokowa, do podczaszyny. Niemało ich też w okolicy, co się z temi podczaszankami pożenili (bo je tam wszyscy tak nazywają), a żaden nie żałował.

Tylkom z karego zsiadł, a z pyłu się otrząsł trochę, słyszę... aż tu na obiad dzwonią i białe gąski z małego dworu ciągną, a stary dworzanin, który w ganku stał, prosi mnie, że podczaszyna w sali czeka z barszczem. Skoczyłem tedy do ucałowania ręki staruszki, już tu wszystkich znajdując uszykowanych wedle stołu, samą panią w czarnym kwefie (bo tak całe życie chadzała),

ochmistrzynię, panią Zuwalską, staruszka kapelana i wszystkie panny. Okrom tych, które przy stole siedzieć miały, zkolei były wyznaczone jedna do gospodarstwa kuchennego tego dnia, druga do przyjęcia i zastawy; dziewczęta wiejskie posługiwały, sposobiące się na szwaczki i kucharki... ano, królestwo amazonek, gdyby nie nas dwóch z kapelanem. A śliczności, jak to wyglądało, gdyby wojsko jednako umundurowane, podzielone, z jednakiemi wstążeczkami we włosach.

Ledwiem przypadł do ręki, rzecze mi staruszka na ucho:

— Po obiedzie mam ja waszmości coś powiedzieć; ale zażywajcie bożego daru spokojnie, bo sądzę, że to wam nie będzie przykro.

I uśmiechnęła się. Wskazano mi miejsce; usiadłem, z niemałą ciekawością czekając końca obiadu. Gadaliśmy o tem i owem, najwięcej o przyszłej wyprawie przeciw poganom, o której się tu dowiedziałem wiele, bo listy otrzymała podczaszyna, że wezyr już był pod Preszburgiem i ciągnął w ogromnej sile na stolicę cesarską, z której cesarz jegomość już do Linzu uszedł, ścigany przez Tatarów; więc, że nieochybnie nam pośpieszać będzie potrzeba ku odsieczy, nimby stolica okrążona do ostateczności przywiedzioną była. Pisano, że nuncjusz Ojca Świętego, Pallavicini i poseł cesarski Wilczek, naglili bardzo na króla; ale tam jeszcze intrygi francuskie coś około tego psuły. Ostatecznie wszakże w sercu króla jegomości przemógł interes chrześcijański, mimo, że z domem rakuskim nigdy w serdecznościach nie był, a raczej się go obawiał, niż miłował. Podczaszyna, jako to była statystka wielka, toż i kapelan, ciągle

w to bili, mówiąc o odsieczy naszej, że pójdziemy na pomoc nie cesarstwu, ale sprawie całego chrześcijaństwa; powiadano, że i król tę rzecz tak rozumiał, a nie innym powodem dał się skłonić do traktatów.

Gdy się obiad skończył, a kapelan modlitewkę zwykłą odmówił, podczaszyna mi rękę podała i, zostawiwszy panny swe z ochmistrzynią w sali, zaprosiła do gabinetu na rozmowę. Tu kazała mi usiąść wedle siebie, chociażbym był przed nią stał, szanując ją, jakby rodzoną matkę, ale, gdy kazała, nie było sposobu. Obróciwszy się tedy do mnie i pogroziwszy mi, pyta:

— Cóżeś mi to waszeć za brewerję zrobił z panem chorążym i z panem Florjanem, obu ich na jeden raz szpetnie pokaleczywszy?

— Podczaszyno dobrodziejko — rzeknę — Bogiem się świadczę, niech tak zdrów do domu dojadę, żem ja temu nie winien. Ani w obyczaju, ani w humorze tego nie mam, choć rycerskie rzemiosło traktuję, abym ludzi na rękę ladajako wyzywał, tem-ci mniej pod własną strzechą, *quod Deus avertat*. Ale się stała rzecz niesłychana, iż mi ci ichmość, przybywszy do Wólki, na moich własnych śmieciach afront uczynili, prawie się sami dopominając szabel. Nie mogłem tego przenieść z honorem, a sam Bóg, mściciel pokrzywdzonego, dłoń moją prowadził.

— Ale mój panie Janie — odparła mi na to podczaszyna łagodnie — temeście sobie szkody niemałej przyczynili i drzwi domu zamknęliście sobie, gdzie was niejedno oko mile widziało.

— Ależ mi oni wprzód z impozycją i pogróżkami dom swój wypowiedzieli — rzekłem na to.

— Byłoby się to dało załagodzić — powie podczaszyna — a teraz?...

— Moja mościa dobrodziejko — rzeknę — jaka jest wola boża, taką przyjmuję. Szwanku na honorze szlacheckim i żołnierskim, choćby dla osoby mi najmilszej, przenieść nie mogłem; a i to dodam, że w oczach tych, u których mam cokolwiek łaski, i tę trochę straciłbym musiał, gdybym więcej ścierpiał od tych ichmościów, niżeli przystało. *Sit nomen Domini benedictum*...

Pomyślała trochę podczaszyna i roześmiała się łagodnie...

— Cóż dalej poczynać myślicie? — pyta. — Wszakże to panna Helena od tego dnia utulić się nie może, a bodaj ci tego nie ma za złe, żeś sobie tą krwią drogę do niej zagrodził.

— Własnejbym nie żałował dla niej — odpowiedziałem na to — ale ufam, iż zrozumie, że ta rzecz inaczej skończyć się nie mogła.

Jąłem tedy opowiadać wcale jak się to miało, powołując się na Zegrzdę, który był niewinności mej świadkiem; a dokończywszy, ścisnąłem kolana podczaszyny, prosząc, by mi orędowniczką być chciała przed panną Heleną, żem sobie lekko nie postąpił, a inaczej honor rycerski nie pozwalał.

— Przed wami — dokończyłem — mogę odkryć całe serce moje, gdyż się w niem niczego nie wstydam, a panią podczaszynę dobrodziejkę szanuję, jakbym rodzonej matki więcej nie mógł. Kocham pannę Helenę, Bóg widzi, afektem szczerym i czystym, a jakom w duszy ślubował jej wiarę, tak też dotrzymam. Ona mi nic nie winna, nie mogę się wbijać w tę pychę, żebym na jej przywiązanie miał rachować. Jeśli zechce, może począć

z sobą, jak Bóg natchnie. Co do mnie, będę z ufnością na lepsze czasy oczekiwać, zawsze przenosząc to, co powinność każe, nad to, czegoby dusza pragnęła.

— I dobrze waszmość czynisz, że tak trzymasz — rzekła mi podczaszyna — bo teraz, gdym od was to usłyszała, powiedzieć wam dopiero mogę, iż panna Helena przed braćmi wczoraj uroczyście, z determinacją prawie męską zapowiedziała, iż za nikogo innego nie wyjdzie, tylko za waszmości, choćby lat dwadzieścia czekać miała. Były i fochy straszne, i odgróżkie wielkie, ale ona, jak mur stanąwszy, ze swojem wyszła...

Aż mi się świat rozjaśnił, gdym to usłyszał, jałem, przypadłszy znowu do kolan podczaszyny, ręce jej całować.

— Ano mi waszmość nie dziękuj — rzekła ze łzami w oczach — tylko jej, bo to jest niewiasta, jakich mało, takiego ducha i serca, iżby mężczyznę niejednego zawstydziła. Staraj się na nią zasłużyć.

— Ubogim-ci jestem — odpowiedziałem — a dary fortuny w rękach bożych; imię, choć niepoślednie, nie pańskie też noszę; reszty się z bożą pomocą dorobić myślę...

Wstała tedy staruszka wzruszona i rzecze:

— Jeszcze jedno od starościanki poselstwo sprawić do was muszę: oto prosi i zaklina, abyś nie starał się z nią widzieć, gdyż tam wielkie są na waszmości odgróżki i przechwałki. Prosi, abyś zaraz do chorągwi jechał; w ostatku, abym wam tęskno nie było, bez jakiegoś dowodu życzliwości jej puścić się na tę wojnę, która się zapowiada, przysyła waści przeze mnie pierścionek, jako za-

kład, iż mu wiary dotrzyma. Kazała mi rzec, abyś wytrwałem sercem znosił oddalenie i przeciwności, a w jej sentyment stale wierzył, choćby też inne wieści szerzyć chciano.

Już tedy miary nie było szczęściu mojemu, gdym ową obrączkę ujrzał, którą mi podczaszyna oddała. Zaraz matki mej ślubną wzamian wręczyłem dla Helusi, a nie ręczę, bym nie płakał, choć rycerzowi niebardzo to przystoi. Staruszka też, błogosławiąc mnie, jak syna, dobrze szlochała.

Na tem się skończyło, alem, wyjechawszy z Sorokowa, tak był jakoś uniesiony szczęśliwością i wdzięcznością przejęty, że mnie gwałtem niemal ciągnęło wpaść do Nałęczów, choć na chwilę, aby nogi starościanki ucałować, postanowiwszy niezmiennie natychmiast do chorągwi ruszyć.

Więc przez cały czas powrotu biłem się w sobie z tą myślą: „Jechać do Nałęczów, czy nie?" Ale stanęło na tem, by się jej wola spełniła, nie żebym się tam miał kogo obawiać, lecz by jej przez to nie przyczynić utrapienia.

Takie w sobie czułem męstwo naówczas, iżbym się na kilkunastu porwał i przemocy nie uląkł, ale rzekłem sobie: „Niech się lepiej też i krwi oszczędzi". Postanowiwszy więc na ręce podczaszyny list dać do starościanki, powróciłem do domu, dając sobie słowo, iż natychmiast, *sine mora,* wozy pakować każę i do chorągwi wyruszę.

Już mrok padał, gdym do Wólki powrócił. Patrzę... w dziedzińcu konie jezdne wodzą. Domyśliłem się gości. Czekali na mnie w ganku: pan Jacek, co mi za ojca stał, Zegrzda, co mi jako brat

wygodził niedawno, i Grabowski, nad którego i krewny lepszymby być nie mógł. A jako mnie zobaczyli zdala, podnieśli czapki do góry i wołają:

— Winszujemy! Winszujemy!

Myślę sobie: „Co u kata? A to już chyba spenetrowali, poco do podczaszyny wzywany byłem, i jaki tam drogi dar mnie spotkał!"

Lecz cale co innego się święciło, czego się nie domyślałem.

Gdym z konia zsiadł, ujął mnie pan Jacek i począł serdecznie ściskać, ukazując list, który trzymał w ręku, czegom zrazu nie zrozumiał. Bo jakże miałem się domyślać tego, czego zgoła pojęcia nie miałem. Więc stałem, nie wiedząc, co począć, i rzeknę do pana Jacka, jakem go nawykł nazywać tatkiem:

— Tatku miły, powiedzcież mi, czego winszujecie i czego się cieszycie, bom, Boże odpuść, jak w rogu i nic nie wiem.

— Jeśli masz czem — rzekł na to Jacek — dawaj wypić swe zdrowie i sukcesów rycerskich, a potem dowiesz się reszty.

Grześ stał za węgłem. Skinąłem nań: — „Dawaj miód kapucyński!" — A ten, jakby już był na to przygotowany, niesie butel i szklenice.

Zawsze jednak nieświadom rzeczy, nalewam, aż Jacek się odezwie:

— Niesłuszna rzecz, abyśmy mu wprzód o jego szczęściu nie oznajmili; lepiej mu miód przez gardło pójdzie...

A ja stoję ciągle, jak ten, co go powiesić mają, a nie wie, za co.

— Zlitujcież się — wołam — a nie trzymajcież

mnie tak za jedną nogę w powietrzu. Mówcie, co jest, bym się cieszył, albo-li też smucił!

— Słuchaj — ozwał się Jacek — spotyka cię szczęście, istotnie wielkie, którego ja niegodnym jestem sprawcą, a lepiej mówiąc, sam Pan Bóg, używszy mizernego sługi za narzędzie. Litowałem się waszmości, ażebyś tak na tę sposobiącą się wyprawę miał iść bez przyjaciela i wodza, osobliwie dlań skłonnego, przeto bez wiedzy waszej udało się to uczynić, iż waszmości do orszaku samego króla, a do boku królewicza, odkomenderowano z chorągwi. Oto i ordynans dla waszmości, w którym stoi, ażebyś niezwłocznie wprost do Warszawy i Wilanowa się udał, skąd ze dworem dalej na ewenta, da Bóg szczęśliwie, niech Opatrzność prowadzi! Powiedzcież, azali nie było powodu miodem podlać nowiny, której waszmości niejeden towarzysz pozazdrości?

Jąłem ściskać pana Jacka, bom, niebardzo nawet rozbierając ową wiadomość, czuł, iż mi to nie może posłużyć inaczej, tylko ku przyszłej krescytywie. Boć człowiek, ufny w to, że swoją sprawia powinność całem sercem, już wiele otrzymał, gdy ją pod okiem samego wodza a króla pełnić może i dać się mu ocenić...

Fawor też był niemały u boku bohatera iść na taką wyprawę, w której bodaj nie świata losy rozstrzygać się miały. Aż mi się w głowie zmąciło — a Jacek, a Zegrzda i Grabowski winszowali, i śmieli się, i aplaudowali, wróżąc, jako z wielkim łupem honorów i wszelkiej zdobyczy z onej imprezy powrócę.

Wszak-ci wszystko było w ręku bożych, tak zło, jako i dobro.

Myślałem też jeszcze, jako ja tam, chudy pachołek, do pańskich dworów i obyczajów nienawykły, radę sobie w tym świecie, dla mnie nowym, dać potrafię... I wyspowiadałem się z całej myśli panu Jackowi; ale mnie zakrzyczano, że to tam nie święci garnki lepią, że, prostą drogą idąc, wszędzie człek trafi do celu.

A tuż dodał poczciwy tatko, że, jeszcze nim do Wólki z listem i ordynansem przybył, puścił już pomiędzy ludzie, szczególniej dla Nałęczów, wiadomość o tym faworze, który mnie spotkał, aby się też trochę zazdrości najedli i zżółkli. I śmiał się, wiedząc, jak to im nie w smak pójść musiało; jam zaś tylko myślał, że starościance serce urośnie, gdy się dowie, że w tak dobrej komitywie mam się sławy i chleba dorabiać...

Nie było czasu zbytnio ucztować; więc do wieczoru pogawędziwszy, na jutrzejsze rano wybór w — daj, Boże, szczęśliwą — drogę naznaczyłem, pomodliwszy się na tę intencję.

W Wólce gospodarstwo i wszelkie staranie o chudzinę tam moją wziął na siebie tatko, za co mu, równie jak za wszystko, nieskończone winienem dzięki, aby tylko odsłużyć.

Nazajutrz *summo mane,* bom też i spać z wielkiej radości niebardzo mógł, wzięło się do pakowania wozów, rzeczy, zapasów i wszystkiego, com z sobą zabrać przecie musiał. Tu tedy kłopot nowy, by się zbyt nie obciążyć, albo potem lada czego w drodze nie płacić gotowym groszem. Zawszem był tego zdania, że się żołnierz małem powinien nauczyć obchodzić, co u nas nie wszyscy umieją. Przyjdzie ciągnienie, wlecze się wozów, a ciurów, a podwód wszelkiego rodzaju, że tego

będzie więcej niemal, niżeli wojska całego; więc i dla ubogiego ludu po gościńcach i stacjach ciężar niezmierny, i wojsko nieobrotne, i po złych przeprawach w roztopy szkód i marnowania bez miary. Panowie oboźni i strażnicy niedosyć tego pilnują; drugi husarz, miasto trzech wozów, co je mieć powinien, a czego bardzo dość, choćbyś go z pachołkami liczył, często sześć za sobą wlecze z domu, a potem i dwóch nazad nie przyprowadzi, bo konie głodem, a wozy się na rozdrożach pomarnują.

Więcem też ja, choćbym się miał trochę po chudopacholsku na dworze pokazać — niechaj sądzą, jako chcą — nie wziął, ino jeden wóz i Grzesia, bo poczet i tak przy chorągwi miał pozostać, a zdałem go na dobrego przyjaciela, Przyłuskiego, żeby tę czeladź na oku miał. Około południa byliśmy w gotowości, i konie, i ludzie. Opatrzyłem od kopyta do ogona, od koła do dyszla, od podeszew do czapki każdą rzecz, i w Imię Boże wyruszyliśmy z Wólki, przeżegnawszy się i odmawiając: *Sub Tuum praesidium.*

Kiedym ino się obejrzał na ten mój kątek miły, co mi go Pan Bóg odniedawna dał, kiedym przypomniał, co mnie tu spotkało, począwszy od onej chwili, gdym na katafalk stryja przybył, a starościanki lice stanęło przede mną, gdyby żywe — nie ręczę, że się tam po wąsach perłowa łza nie potoczyła. Ale się z tej babskiej czułości musiałem otrząsnąć. *Sit nomen Domini benedictum!*

Droga szła mimo kościoła i plebanji. Niechby Bóg uchował, bym poczciwego księdza nie miał nawiedzić, pożegnać i prosić błogosławieństwa, tem bardziej, że się miało ku nieszporom, a był

dzień albo sobotni, lub wigilja święta, tego dobrze nie pomnę. Zsiedliśmy tedy z koni. Widzę, ksiądz z brewjarzem idzie właśnie do kościoła, a ujrzawszy mnie w zbroiczce i po podróżnemu — może też co i wiedział o wyjeździe — witając, zawołał:

— Zajdźcie, synku, przed ołtarz Pański, nigdy ci to nie zaszkodzi, że z Bogiem poczniesz; ojcowie tak czynili, a było im z tem niezgorzej.

— Szedłem do was po błogosławieństwo — odpowiedziałem — westchnijcie za mną!

Ten już nic nie rzekł, ino mi ręką wskazał kościół; więc, wszedłszy, poklęknąłem, a dusza się sama modliła. Spojrzę na to miejsce, kiedy pierwszy raz w życiu starościankę klęczącą widziałem, i myślę, że mi się w oczach zdwoiło. Patrzę i nie wierzę: widzę ją klęczącą i modlącą się na tem samem miejscu...

Że w dziedzińcu ani kolebki, ani ludzi nie dostrzegłem zrazu, tak mnie to zdumiało, jakby cud jaki. Więc goręcej jeszcze modliłem się, i wielka siła a ufność w opiekę Opatrzności wstąpiły we mnie.

Odśpiewał ksiądz nieszpory, potem skinął na mnie, abym do ołtarza przystąpił. Poszedłem ja i Grześ po błogosławieństwo. Dopiero, kiedym już od niego wracał, ujrzałem jej twarz, obróconą ku krzyżowi, modlącą się, a tak świętości pełną, jakem nic w życiu nie widział piękniejszego i pono na ziemi nie ujrzę. Zdawało się, że mnie nie widziała nawet, tak była w modlitwie zatopiona.

Więc, wyszedłszy, stanąłem we drzwiach, niby posąg, aż po chwili słyszę szelest jedwabnych szat i czuję ją blisko, anom oczu nie śmiał podnieść.

— Za dobrą to wróżbę mam — rzekła mi pocichu — że się tu w kościele, u ołtarza spotykamy jeszcze... Bóg wam szczęść, panie Janie! Ślubowałam wiarę i dotrzymam. Pamiętajcież i wy, że na waszą rachuję! A nie zrażajcie się niczem, nawet, gdyby was doszły wieści, żem słowo złamała; nawet, gdyby wam pierścień odnieśli.

Tylkom jej rękę całował, słowa rzec nie mogąc.

— Szczęść wam Boże! — powiedziała raz jeszcze.

Oczy miała łez pełne; a i jam był nieweselszy, choć spokojny.

— Starościanko, pani moja — rzekłem — prędzej umrę, aniżeli się zmienię, a do żywota mego nie wyrwie mi nikt z serca tego obrazu, który w niem noszę. Przysięgam wam na Chrystusa ukrzyżowanego w tym ołtarzu: waszym ja sługą na wieki!

— Pora się rozstać — szepnęła mi — ludzie źli, oczu dosyć. Niech Bóg was prowadzi i odprowadza do nas!...

Wrosłem był w ziemię, tak mi od niej ciężko odchodzić się czuło; ale gwałtem się prawie wyrwałem, tylkom widział, jak mnie zdala przeżegnała. Proboszcz na drodze czekał i dodał:

— Na koń, synu mój, w drogę! A z Bogiem!

Więc już nie było co zwlekać. Dosiadłem siwego i ruszyłem z kopyta, na wóz i Grzesia się nie oglądając, którzy mnie aż pod lasem dopiero dogonili.

Opisywać nie będę, z jakiemi myślami w dalszą ciągnąłem podróż, w jakowych dumach i tęsknotach a niepewności jutra; bo i dwór, i król, i te nowe obowiązki dawały do namysłu.

Warszawę mało co znałem, a Wilanowa wcale nie widział. Ścisk, tłok, wrzawa, że mi się ledwie lichą gospodę wyszukać udało; a dobrzem musiał Grzesia wyuczyć, aby się wyciągnąć w pole nie dał, bo w takiem zbiegowisku różnego rodzaju ludu pewnie i złego dosyć. Poszedłem na wzwiady, jak mi się tam do tego dworu dostać, meldować, z kim gadać; ale, jakby na złość, żywej duszy znajomej nie spotkałem.

Ano, wiedzieć jeszcze trzeba, żem króla żywego też nigdy nie oglądał, ino tyle, co na pieniądzach i na wizerunkach. Przebiegłszy miasto całe, dobrze niecierpliwy już, puściłem się pod wieczór ku temu Wilanowu za wskazówką ludzi, aby choć wiedzieć, którędy nazajutrz z moim taborem jechać. Wieczór, jak dziś pamiętam, był pogodny, a po gorącym dniu powietrze tak miłe i chłodnawe, jak rzadko podczas upałów w lecie.

Jużem był drogą uszedł kawał spory i nie było poco dalej; ale w polu czułem się jakiś rzeźwiejszy, i szło się już tak, aby sobie iść. A mijało mnie ludzi konnych, pieszych, na wozach bardzo dosyć. Żem szedł prędko, napędzam szlachcica w poważnych latach, tuszy okazałej. Ten sobie idzie samopas, ręce wtył złożywszy, w letniej czapce białej, bez szabli, jakby koło domu; kitel na nim jasny, jakiego na wsi używają, laska za plecyma w rękach, a para psów przed nim. Myślę sobie: „Nie chybi, ktoś ze dworu; dobrze dostać języka".

Przyśpieszywszy więc kroku, równam się z nimi, a że człek w latach i bardzo słusznie wyglądał, skłoniłem się mu, przystanąwszy. Ten też mi czapki uchyla i przystaje, a patrzy mi w oczy.

— Czołem.

— Czołem.

— Coś mi to waszmość obco wyglądasz — mówi.

— Tak wyglądam, jakem jest, mój mości dobrodzieju — odpowiedziałem. — Prawdę rzekłszy, pierwszy raz w tej tu stronie.

Przypatrzyłem się twarzy: piękna była. Wąs sumiasty, czoło wysokie, oczy jasne i coś dobrego a smutnego miał w obliczu.

Idziemy dalej.

— Cóżto tu waszmości sprowadza? — pyta znowu.

A ja mu opowiadam całą moją historję, począwszy od wojska. Słucha, rozpytuje. Doszedłem do tego, jakem ordynans dostał, i tknąłem tej mojej biedy, że, nowicjusz, ani wiem, jak się to dostać, z kim mówić i komu się kłaniać.

— Boć wiem — powiadam — że to do króla jegomości niżeli się człek doprosi, przez wiele alembików przejść potrzeba; a straszniejsi ci ludzie, co majestat otaczają, od samego onego majestatu, który ojcowską słynie dobrocią.

Ten mi się w oczy popatrzywszy, rzecze:

— A to może i słuszność waszmość masz. Ale kiedy się to już sądziło nam spotkać, ja waszeci pomogę. Mam tam znajomych u dworu.

— Byłbym panu memu stokrotnie i póki życia mojego wdzięczen — odpowiedziałem — boćbyś mi ojcowską łaskę uczynił.

— Słuchajże-no — powiada mi, przystanąwszy — już dziś nie pora, ale jutro rano przybywaj do Wilanowa i melduj się wprost do Dulęby. Powiesz

tylko, że cię pan Orondat Tarcza przysłał, bo ja się zowię Tarcza, a ja go dziś uprzedzę.

Chciałem, nie inkomodując go, zaraz pożegnać i wracać, ale mnie wstrzymał.

— Nie bądźże waszeć tak gorąco kąpany — rzekł. — Ja lubię pogawędzić, a jegomość mi się podobasz z tego, co słyszę. Siądźmy-no tu na kłodzie, to sobie pogadamy.

Leżało drzewo, od wiatru obalone, nieopodal drogi; szedł mój towarzysz ku niemu, ja też za nim; siedliśmy, a ten mnie dopiero na egzamin.

Od kiedy żyję tak ciekawego a bystro umiejącego z człowieka wyciągnąć, co ma na dnie duszy, nie spotkałem. Tak mnie rozochocił, żem mu całe *curriculum vitae* od deski do deski, a może i za wiele nawet wygadał. Ale na duszy mi przyzbierało tęsknoty tyle, iż rada była, że ucho względne znalazła.

— Mój jegomościuniu — rzekł wkońcu pan Orondat Tarcza — ze wszystkiego widzę, żeś kawaler zacny, i winszuję królowi jegomości, iż go dostanie na tę porę. Nie zmieniaj sentymentów, w Bogu ufaj; ano On większe cuda rabiał, niż te, o którebyś Go miał prosić. Alem ja też — dodał — dworu się dotykał, patrzałem na wiele przygód w życiu; widziałem, jak to się tam ludzie psują. Zachowaj waćpan tę duszę i serce proste, szczere i prawe, nie naśladuj fałszu, choćbyś widział, że nim ludzie dochodzą do czegoś. Bo to szatańskie mamidło ta pomyślność, którą się kupuje ofiarą sumienia. A wstając, dodał:

— Teraz waści do miasta czas; nie zapomnijcież jutro rano się stawić i do Dulęby się meldować, ten już na wszystko poradzi, bo to mój dobry

przyjaciel. Ino mi też swe nazwisko daj, żebym go nie przepomniał.

Dobył tedy z kieszeni maleńkiej książeczki i ołówka, zanotował, potem się skłonił i, gdyśmy do gościńca doszli, jam do miasta musiał pośpieszać, a on — widziało mi się o mroku, iż tak o staje może, gdzie stały kolasy — do wozu jakiegoś siadł i pojechał.

Wróciłem raźniejszy do gospody. „Istna, myślę sobie, Opatrzność Boża nade mną, żem tego Orondata Tarczę napotkał".

Nazajutrz, że się po owej nocy chłodnej na wielki skwar zbierało, myślałem rano z końmi się dostać choćby do jakiej gospody w tym Wilanowie, aby ich nie pozamęczać; wyciągnęliśmy tedy uczciwie.

Droga z Warszawy nie była długa. Przybyliśmy, aliści o żadnej tam gospodzie i myśleć nie było można. Pańskie dwory i ludzie taborem pod namiotami stały, a ciżba, a tłum, jak w samej stolicy, jeśli nie gorzej. Gmachów też mnóstwo, nie wiedzieć dokąd się udać, a u każdych drzwi, co straży, pachołków, dworzan, ludzi rycerskich, cudzoziemców — nie policzyć. Znalazłem się jakby u wieży Babel, samotrzeć wyglądając tak niepocześnie, że aż mi się rumienić przyszło. Postawiwszy tedy wóz z Grzesiem wedle jakiegoś płota, gdy godzina słuszna przyszła, nabrałem otuchy i wszedłem w dziedziniec paradny. Myślę sobie: „Do tego Dulęby ja tu niełacno trafię, ale na końcu języka musi być".

Na lewo, w skrzydle, u pierwszych drzwi, patrzę: stoi sobie człek w latach, figura dosyć okazała, chociaż nie tak, jak mój wczorajszy pan

Orondat Tarcza; ręce w kieszenie włożył i pogląda. Idę do niego wprost, skłoniłem się, pytam, a ten mi zaraz:

— Otóż to nos, kiedy nos — rzecze — trafiłeś waszmość odrazu, jak w dym, na samego Dulębę. Czy kto ci go ukazał?

— Nie.

— To coś osobliwego. Ja Dulęba jestem. A że mi dobrze waści mój przyjaciel, jmć. pan Orondat Tarcza, polecił, już tu będziesz, jak w domu. Wiadomy nam ordynans: przy boku jego królewskiej mości i królewicza Jakóba zostawać będziesz; ale, nim ruszyć przyjdzie, to w Wilanowie waszmość tylko osobą swoją zostaniesz, konie i ludzie, jakich masz, odprawią na gospodę do Warszawy. Tam im oznaczą bezpieczną i dobrą, nie bójcie się! Dla waści stancję pokaże ten, którego mu dam; rzeczy waść znieść poleć, ubierz się przystojnie i przychodź do mnie, a ja sam królowi jegomości was przedstawię około południa.

Dictum, factum. Podziękowawszy, idę za dworzaninem, którego mi dano za przewodnika; poznaliśmy się prędko. Prawdę rzec, stancję dostałem na pierwszy raz niewytworną, ale dziury już porządniejszej, dla natłoku, w Wilanowie nie było. Izdebina pod strychem, a i w tej jeszcze fura była rzeczy czyichś, co je ktoś tam odjechał. Ale żołnierzowi, aby gdzie położyć głowę; Grześ przyniósł wody wiadro, omyłem się z pyłu, wziąłem na grzbiet co było najlepszego, i przed południem stawię się do pana Dulęby.

Nie powiem, żebym ja tam, wśród tych przepychów królewskiego dworu bardzo wspaniale mógł wyglądać; ale też niepośledniom się prezento-

wał, bo we mnie każdy poznał żołnierza, który o błyskotki i zalecanie się oczom niewiele dbał. Kiedym szedł przez podwórce, wodzili za mną oczami z ciekawości.

Dulęba mnie od stóp do głowy obejrzał, obszedł dokoła, to i owo poprawił wedle zbroji, bo był snać sam dawniej żołnierzem i koło żelaza chodził.

— Idźże teraz za mną — rzekł. — Bodaj, czy król jegomość nie jest w ogrodzie, ale gdzie go natrafimy, tam się mu waszmość przedstawisz.

Weszliśmy zatem na ogród, jakiegom nie widział nigdy. Woda biła do góry, posągi jakieś dziwne, drzewa osobliwe, altany różne, a kwiecia barwnego zagonami, aż się oczy napatrzyć nie mogły. Ulice szerokie, sypane piaskiem, żwirem, a dokoła chylą się drzewa najrozmaitsze. Już chyba w raju nie może być piękniej.

Uszliśmy w milczeniu spory kawał, bom z admiracji języka w gębie zapomniał. Aż patrzę, w ulicy idzie prosto na nas mój wczorajszy pan Tarcza, ubrany tak prawie, jak był, ino mu się twarz śmieje dziwnie. Dulęba też mustruje się wyraźnie, aby nie parsknąć. Rzuciłem się prędzej, by powitać.

Ano, mój wczorajszy pan, com się tak przed nim spowiadał — był to sam król jegomość Jan III.

Dłużej taić nie było można. Zląkłem się i jąłem przepraszać go, że tak *sine debita reverentia* gębę wczoraj puściłem; ale mnie wstrzymał, śmiejąc się dobrodusznie.

— Nic się złego nie stało — rzekł — nic złego. Lepiej się waszeć zarekomendowałeś, niżeliś są-

dził. Jużeśmy teraz jak starzy znajomi; tę tylko radę, którą waści Tarcza dawał, król powtarza.

Wśród rozmowy nadszedł i królewicz. Więc sam ojciec polecił mnie synowi, który, snać wiedząc o wczorajszem, śmiejąc się, głową pokiwał. Poczem, ucałowawszy rękę króla i ścisnąwszy kolana, jużem szedł nazad i był jako w domu.

Sit nomen Domini benedictum!

Wczorajsze spotkanie, o którem sam król rozpowiadał wszystkim, rozeszło się było po dworze, i ono mi też bardzo wiele ułatwiło. A że król jakoś serce ku mnie łaskawe okazał, śmiały się też wszystkie twarze. Musiałem mało razy dziesięć tego dnia powtarzać każdemu, jak się to stało, a wszyscy mi z tego prorokowali sukcesy wielkie. Szło już dalej, jak z płatka. Rozgłosiła się przygoda po mieście i omal mnie na ręku nie noszono, dopytując; a jakom ja sam później tę historję słyszał z drugich ust, już jej poznać nie było można, tak ślicznie wyhaftowana. Bo nikt nie wytrzymał, żeby do tego czego nie dodał.

A już się nie żartem brano ku wojnie, bo od księcia Lotaryńskiego i od Lubomirskiego niemal codzień naglące przychodziły wieści, które króla niepokoiły. A chociaż, jakem to teraz lepiej widział, różne wpływy przeszkadzały i starały się odciągnąć króla, zachwiać jego postanowieniem, uważałem też, że, choć dawał mówić, co kto chciał, przy swojem stał jak mur.

Jam tam na dworze niewiele miał do czynienia, bo służby żadnej nie było. Czasem króla list do Warszawy zaniosłem, albo z ustnem poleceniem się przejechałem. Grześ spał, aż boki odlegiwał, bo nie miał też pół dnia co robić.

Przez ten czas dworu-m się uczył i dobrze mu przypatrywał. Poznałem też, że, z małemi wyjątkami, ludzie to byli, acz bardzo pokaźni, ale niewiele warci. Szczerości za grosz u nich nie dostał, a drwinek nie kupił.

Z królewiczem choć się spotykało, dla nas, małych ludzi, przystępny nie był; królowę się tylko zdala widywało. Pani urody snać była bardzo pięknej, a choć nie pierwszej młodości, jeszcze w niej pańską krew i pochodzenie królewskie łacno poznać było.

Nie powiem, jak złe języki utrzymywały, żeby król miał być zawojowany, bo w wielkich rzeczach wolę swoją miał, ale w małych ulegał dlatego, że ją nadzwyczaj kochał. Nie było w żadnym stanie tak czułego małżonka, jak był ten pan dla królowej Kazimiery, ani tak wylanego ojca.

Już podówczas dobrze podstarzały, niełatwo nawet konia dosiadał, ale, gdy raz na kulbakę ze stołka się dostał, to go z niej lada co nie zruszyło. Pobożny był bardzo, szczególniej do Św. Trójcy, w której dzień, co było najszczęśliwszego w jego życiu, zawsze mu się przytrafiało.

Do mnie od owego spotkania afekt powziął szczególny, tak, że mnie już do samej osoby swej wyznaczył, odebrawszy królewiczowi. Nie było tego dnia, żeby choć kilku słów nie przemówił, nie uśmiechnął się, nie wejrzał łaskawie. Postrzegłszy zarazem, żem nie był bardzo zamożny i że przed wyprawą wiele mi braknąć może, kazał dnia jednego do ogrodu za sobą iść, i tam pocichu, tak, żeby tego nikt nie widział i żeby zazdrosnych nie czynić, własną ręką swą dał mi sto talarów bitych czerwonemi złotemi; ażeby mnie zaś nie upaka-

rzać, więc tytułem przyszłego żołdu. Jednakże, jak się później okazało, nigdzie mi tego nie zapisano i nie notowano.

A wielce mi też ten grosz dopomógł, bo dużo brakło około rynsztunku; na czas pokoju było go dosyć, ale przeciw takiej wojnie musiał się człek dobrze opatrzyć. Kupiło się to i owo, a szczególniej mi się trafił koń, któremum później życie był winien, nieoszacowany, cisawy, w siedmiu niespełna leciech, stworzenie, jakiegom drugi raz nigdy nie spotkał, prawdziwy wojskowy, mało nie człowieczego rozumu i serca. Ten mi, mogę powiedzieć, stał się przyjacielem i dobrodziejem; a nie koń był, tylko istne cudo. Gadałem z nim, a rozumiał; puszczałem go za sobą, szedł jak pies; wąchał, całował, myśli zgadywał; głód i chłód, fatygę przecierpiał, ani po nim znać było; a w bitwie nietylko, że się nie uląkł, ale, gdy się rozsierdził, to leciał i drugie konie nieprzyjacielskie gryzł, jakby wiedział swą i rycerską powinność. Mogę to do osobliwszych dzieł Opatrzności nade mną policzyć, jakom tego cisawego dostał; bo, gdyby go ludzie znali, poszedłby był wysoką ceną, żebym się go nie dokupił.

Pojechałem raz z Wilanowa do Warszawy, aby obejrzeć, co się z wozem dzieje i ze szkapami. Po drodzem myślał: jakby się trafił koń pod siodło, nie szkodziłoby. Ledwiem na gospodzie mojej przystanął, bieży znajomy mi żydek do mnie, ciągnie za rękaw i woła, że po nieboszczyku Ptaskim, który zabity był w pojedynku, rzeczy i konie sprzedają. Tknęło mnie... idę. Ludzi było dużo, co oglądali. Wyprowadzają cisawego, a trzeba wiedzieć, że chociaż maść cisawą i piękną miał,

zrazu się nie prezentował bardzo butno, co ja dziś temu niechybnie przypisuję, że poczciwe zwierzę jeszcze po swoim panu bolało. Koń był bowiem wielkiego serca. Szedł ze spuszczonym łbem, bez fantazji, ciężko, alem zaraz postrzegł, że pod kulbakę paradny. Piersi szerokie, noga sucha, łeb piękny, oko wysadzone, chrapy rozdęte i jakby krwawe, chód pewny, w zadzie szeroki. Wydał mi się wałowity, ale myślę sobie: „Od tego ostroga, a jeździec dobry ognia mu doda i szparkości dobędzie".

Co zań? — Zaprosili zrazu bardzo słono, poczęli się ludzie śmiać, bo nie był wielkiego wzrostu i w siódmym roku; potem spuszczają zaraz. Ja w targ i dobiłem do trzysta złotych, a drudzy drwinkowali, żem przepłacił. Dałem od uzdy jeszcze, i derę piękną, pod którą stał, kupiłem też. Zawiedli go do mojej stajni. Tum zaraz się sam do niego wziął. Kazałem myć, czyścić, wystrzyc, nakarmiłem; a jak to u mnie we zwyczaju, tom chodził, gadał, głaskał, aż w kilka dni koń jakby zmartwychwstał. Spróbowałem pod kulbakę, a na nim, jak w kolebce; ze szklanką wody można było jechać i nie rozlać. W kłusie rzucał, ale póki się nie wyciągnął dobrze; zato noga tak pewna, że się jak żyw nie potknął. Sadził płot, czy rów, na samo cmoknięcie i znak dany, bez forsy żadnej; słowem, cudo, nie koń.

Dopiero, jak mnie na nim raz a drugi zobaczyli, proszą się: „Odstąp". Dawał Żmigrodzki pięćset złotych, postąpił krewny mój daleki, a imiennik Mroczek, do sześciuset; alem się śmiał tylko, bo gdyby mi dał kto półtora tysiąca, nie byłbym patrzał. Taki koń, to życie i zdrowie. Ukochałem też

go, żem niemal z nim jadł i spał, a pilnował, jak dziecka; i nazwałem go Pylades, co tak bestja prędko zrozumiała, że, bywało, gdy zdala zawołałem, zaraz łeb odwraca i rży. Wnet z nas tacy byli przyjaciele, jakbyśmy rośli razem od dzieciństwa.

Nimeśmy jeszcze z Wilanowa na Falenty do Piotrkowa ruszyli z królem, na kilka dni przedtem trafiło się mi, zanocowawszy w Warszawie, powracać rano do rezydencji. Na drodze, jakom jechał, stykam się z chorążym Nałęczem i tym Herodem, Florjanem. Nierychło mnie poznali, choć wiedzieli, żem tam był; minąłem ich, ledwie obróciwszy głowę, aż mi w sercu zakipiało.

Żem był posłany od króla do pana Denhoffa i miałem się z poselstwa sprawić, wróciwszy, szedłem do ogrodowej altany, gdzie król jegomość siedział, listy pisząc i raporty przyjmując. Gdym tu jeszcze był u boku królewskiego na rozmowie, patrzę, idzie pan Nałęcz i Florjan z jakąś wojskową sprawą. Jak mnie tu znowu ujrzeli i blisko przy panu, dobrze im twarze poprzeciągały się. A tu jeszcze, jak na złość im, a mnie na pocieche, król się śmiał i po ramieniu mnie klepał; poznali zaraz, żem był w faworze.

W parę godzin, kiedym sobie już odpoczywał, patrzę, wchodzi Pakulski do mnie. Siada i poczyna prawić różne historie, ale, nieboraczysko, że chciał zachodzić zogródka, a nie był *peritus*, poplątał się szpetnie. Naostatek mówi mi, jak to piękną rzeczą zgoda jest, że ją sami bogowie pomiędzy sobą na Olimpie umieścili, i to, i owo, ażebym ja rękę Nałeczom podał, a tylko się zrzekł wszelkiej pretensji do ich siostry, to mi już będą

druhami do śmierci i obiecują gdzie indziej bogato swatać i żenić.

Dopieroż ja w śmiech, ale musiałem się gorzko jakoś rozśmiać, bo Pakulski aż się ze stołka porwał.

— Mój panie Adamie — rzekę — stare to przysłowie: palca między drzwi nie kłaść. Anim się ja z panami Nałęczami chciał kłócić, ani łaski ich i dziewosłębów dziś potrzebuję. Pan Bóg mnie zaswatał sam, to mnie i ożeni; żebym zaś miał frymarczyć przyjaźnią starościanki, rzecz to jest ohydna, iż, gdybym nie wiedział, żeś mi ją przyniósł tu przez głupotę raczej niż złą wolę, tobym waszmości uszy poobcinał, iżeś się ważył takiego podjąć pośrednictwa.

Pakulski tedy do szabli. Pohamowałem go.

— Nie czas się rąbać — rzekłem. — Pójdziemy obaj na Turka, a jeśli całe kości przyniesiemy, służę waści, jak sam zechcesz i jak się spodoba.

Poszli więc jak zmyci, dobrze markotni, a jam przy swojem został.

Zaraześmy tedy z królem i dworem poczęli ciągnąć ku Krakowu, jako się napisało wyżej: pierwszego dnia do Falent, pana wojewody pomorskiego, gdzie król odpoczywał: trzeciego dnia do Nadarzyna, a tu obiad jadł, i przybiegli posłańce, donoszący, że cesarskie wojska, z powodu bliskości wielkiego wezyra, cofają się na wyspę Szyt. Dalej ciągnęliśmy na Radziejowice, bardzo piękną rezydencję kardynała, do opactwa witowskiego pod Piotrkowem Trybunalskim, aż do Krotoszyna.

Tu też było się czemu podziwić: bo pałac hr. Denhoffa, ogród, wody w nim, jako rzadko gdzie

u nas widzieć; drzewa, wały sypane dokoła, nawet ogrodzenie pańskie i dla oka obrachowane.

Stąd już zajechaliśmy do Częstochowy, gdzie król jegomość w klasztorze u ojców Paulinów stanął i mieszkał, dla zażycia nabożeństwa u cudownego obrazu Matki Miłosierdzia, a myśmy się po miasteczku, jak kto mógł, rozgościli. Nie piszę już, jakie były ceremonje i jaka pobożność przed tak wielką imprezą, jakie wota składano i jak król jegomość z całym dworem do komunji i spowiedzi przystępował, sposobiąc się, aby czystem sercem w czystej sprawie stawać.

Tu nadbiegł Gliński od hetmana Lubomirskiego z listy od Wiednia, że się już oblężenie stolicy rakuskiej na dobre rozpoczęło i osadzili ją poganie dokoła. Król, Glińskiego do siebie zawoławszy, sam go rozpytywał i badał, a potem listy rozpisywał na wszystkie strony do książąt i panów, oznajmując, że ciągnie na odsiecz niezwłocznie, aby też drudzy obowiązku swojego chrześcijańskiego dopełniać się starali.

Żem nieźle pisał, byłem i ja pod ten czas do niektórych skryptów w kancelarji użyty, przed czem mi słowo szlacheckie dać kazano, że nic nie wyjawię z tego, co mi do uszu dojdzie. Ale to tam próżna była ceremonja, bo się to u nas nigdy nie praktykowało, żeby się jaki sekret uchował, dla tej otwartości charakteru naszego, która i siedmiu pieczęciami zamknięte usta otwiera.

Przyjąwszy błogosławieństwo przed obrazem Najświętszej Panny i solenne złożywszy wota, pośpieszniej już, dla odebranych wiadomości, ciągnął dwór prosto na Kraków, a wojska dwiema

drogami nas poprzedzały ku tarnowskim górom na Śląsku, w dwunastu milach od Krakowa.

Nie mogę wypowiedzieć, jaka nas tu w stolicy spotkała ludu, szlachty, duchowieństwa frekwencja; jaka widzenia króla jegomości chrześcijańskiego ciekawość; jaka miłość powszechna, wydająca się wszędzie; jakie procesje, nabożeństwa, bicie w dzwony, oracje, dary i jaki wszędzie nacisk zdążających za wojskami. Żem się już dworu trzymał, stałem w Łobzowie z innymi, skąd tylko do miasta za królem wyjeżdżaliśmy, głównie dla modlitwy po różnych kościołach. Byłem też, gdy król jegomość odwiedzał staruszka księdza Dąbrowskiego, w collegium niegdy nauczyciela swego, od którego brał błogosławieństwo. Rozpowiadano, czegom ja świadkiem nie był, że król się świątobliwego starca dopytywał, jak też owa wielka wyprawa poszczęścić mu się miała, i że ojciec Dąbrowski miał mu odpowiedzieć, przyobiecując zwycięstwo, lecz zarazem śmierć sobie prędko prorokując, że tej pociechy dożyć nie miał, co się później jota w jotę sprawdziło.

Król też d. 6 *augusti* jechał stąd na musztrę ciągnącej armji hetmana polnego, opatrując lud dobrze i pięknie wybrany, którego było więcej dwóch tysięcy. Sam główny korpus wojsk pod hetmanem wielkim przyszedł w kilka dni później i położył się obozem pół milki od Łobzowa. Jam tedy, otrzymawszy pozwolenie, do swoich pośpieszył, aby i poczet zobaczyć, co się tam z nim działo, i przyjaciół powitać.

Dopieroż to była radość, gdy mnie ujrzeli! Dopiero, krzyki, wołania, witania, bo byli zasłyszeli o moich sukcesach, a zazdrościli mi wszyscy po-

trosze — czemu się nie dziwuję — zbliżenia do osoby króla jegomości. Alem i kwasu miał trochę, bo mi Bulski mój konia jednego spleczył, drugiego schodził i zatarł szkaradnie, żem go z błotem zmieszać musiał. Szkoda też przez jego niedbalstwo okazała się i w wozach, jak to zawsze bywa, gdzie cudze oko patrzy, a pańskie daleko. Alem, to wszystko przy pomocy bożej połatawszy, a z przyjacioły zażywszy chwil wesołych, o frasunku zapomniał. Drudzy go też w ciągnieniu, jeśli nie więcej, mieli.

A to muszę dodać, że nie wiem, czego mi towarzysze więcej zajrzeli, czy królewskich łask, czy mojego Pyladesa, kiedym go im okazywać zaczął, bom umyślnie na nim do chorągwi jechał. Był aplauz dla cisawego powszechny, gdyż jużem go był sobie sprzyjaźnił zupełnie, i stał mi za psa, takie sztuki umiał.

Dnia piątego *augusti* przybyli do króla posłowie, panowie znaczniejsi śląscy, z tem, że wszystko było w pogotowiu w ich kraju dla wojsk naszych i wozy pod piechotę spędzone. Dziewiątego poszły ordynanse, aby wojsko ruszało i poczęło zewsząd ciągnąć ku Śląskowi. Regiment kanclerza wielkiego szedł z Żywca i inne za nim.

Dziesiątego wielkie nabożeństwo i błogosławieństwo na zamku w kościele odbywało się, któremu i ja z całym dworem byłem przytomny.

Po mszy świętej uroczystej u grobu Świętego Męczennika, nuncjusz papieski, Pallavicini, króla jegomości i wszystkich przytomnych benedyktował i ogłaszał wielkie przez Ojca Świętego nadesłane odpusty nadzwyczajne dla rycerzy chrze-

ścijańskich, z których radości wielkiej i męstwa nam przybyło.

Opisywać już nie będę, jakeśmy ostatnie dni do 15 *augusti,* to jest do Wniebowzięcia, przebyli, ciągle prawie będąc pobożni; jak nas tu żegnano, błogosławiono, otaczano. To tylko powiem, iż mimo wieści, które przychodziły o potędze tureckiej, mimo słusznej aprehensji, jaki mógł być skutek wyprawy, od wodza do ostatniego żołnierza, wszyscyśmy naówczas mieli to przekonanie pewne, iż zwyciężyć musimy. Skąd się brało owo bezpieczeństwo, nikt się nie tłumaczył, ale to pewna, że we wszystkich sercach mieszkało. One krocie pogan, o których mówiono, że niemi całe pola były okryte — nic się nam nie zdawały groźne.

W Będzinie, ruszywszy z Krakowa w dzień Wniebowzięcia, zastaliśmy oczekującego grafa Caraffę, od cesarza Leopolda wysłanego, który z bardzo kwaśną miną przybył, nie wierząc pewno, aby miał król wczas z odsieczą podążyć. Rozpowiadano tu, iż zastawszy markiza Darkena, który króla wyprzedził, obiadując z nim, gdy mu ten ręczył, iż Najjaś. Pan przybywa, odparł nieufnie, podając to w wątpliwość:

— Tak to mówią.

Aliści rozjaśniła się twarz Włochowi, gdyśmy nadążyli, a miał to szczęście, że z królem obiadował, szeroko rozpowiadając o nieszczęśliwem położeniu stolicy i radząc, jakby najlepiej Turków od niej odegnać. Nie byłem ja tam w czasie ich rozmów, ale potem sobie je powtarzano, iż zaklinał i modlił, aby król jegomość pośpieszał, jeśli na sromotne gruzy patrzeć nie chce. Cesarz też, uchodząc z Wiednia, a nie mogąc z sobą zabrać skar-

bów niezmiernych, jakie tam były nagromadzone, frasował się więcej obawą ich straty, niż upadkiem stolicy.

Tu już, gdy i królowa jejmość rozstała się z nami w Tarnowskich Górach, pośpieszaliśmy, a był wielki czas...

Trudno wyrazić, jak nas wszędzie przyjmowano, jaką znaleźliśmy gotowość, jakie żywności wszelkiej zapasy, jaką uprzejmość Ślązaków i zabiegi, aby nam na niczem nie zbywało. Wozy pod piechotę, owsy, chleby, słowem dostatek wszelki.

Odprosili się tylko Ślązacy od Litwinów, że im tam niestworzonych rzeczy nagadano na uciążliwy ich obyczaj w ciągnieniu. Jakoż, przez Węgry idąc i kraj za nieprzyjacielski uważając, niemało w istocie dokazywali. Składano to znowu na onego nieszczęsnego Tyszkiewicza, który część regimentów zbieranej drużyny prowadził i za głównym obozem podążał, na tego samego, którego strzelanie do Francuzów tyle narobiło hałasu, a co pono nie z jego naprawy wyszło, bo go pod on czas w Warszawie nie było. Tu już królowej nie znalazł, ażeby go obroniła.

Wracam do tego, jakeśmy szli dalej z pośpiechem wielkim.

Dnia *22 augusti* król, odprawiwszy przodem piechoty, pono dlatego, że się tam nie było z czem popisywać, bo nieświetno wyglądała, jechał razem z komisarzami cesarskimi na wojska ukazanie, które było prawdziwie wspaniałe. Puszczono wprzódy ten głos, aby każdy wystąpił, jak tylko mógł najlepiej, żeby przed obcymi się nie wstydzić, i wypadło też, żeśmy się i sami sobie i oni

nam dziwowali, z takiem bogactwem i świetnością szły chorągwie.

Wogóle zważaliśmy, że na panach komisarzach wojsko, jak się potem odzywali, zrobiło wrażenie wielkie tym przepychem, z jakim się prezentowało.

A tuśmy się też zaraz od Gliwic ze dworem całym oddzielili od armji naszej, zostawując ją za sobą; wziął tylko król dwadzieścia kilka chorągwi lekkich i kilkaset dragonji z sobą, a dwudziestu husarzów, którzy bez kopij na straży przy nim jechali. Jakeśmy w Śląsk weszli tylko, nieustannie nas spotykano ze wszelkiego rodzaju honorami, darami, mowami, biciem we dzwony, oracjami i tryumfy.

Radość z naszego przybycia wszędy widać było wielką, a dostatek mieliśmy wszystkiego i na kuchnię, i dla koni, że nie można było niczego zażądać, czegoby już wprzód nie nagotowano.

Jam, będąc u dworu królewskiego, opływał; i tylko mnie to trapiło — że tego, jak dla żołnierza, było zanadto — żeby człowiek nie zmiękł. Prawda, że po noclegach, najadłszy się dosytu, napiwszy często nad miarę nieco przy wesołem towarzystwie, potem musiał człek legnąć, kulbakę tylko mając pod głowę i namiot, który Pan Bóg rozpiął; ale to się już i nie liczyło.

Gdy husarzy na straż dla króla wybierano, markotno mi się zrobiło, żem między nimi chorążego Nałęcza najrzał, alem go niby nie widząc i nie poznając, dysymulował. Starał się pono o ten fawor bardzo, i nielekko mu przyszedł, bo byli Porkowskiego wyznaczyli (z Rachcic); ale ten zachorzał i miejsca mu ustąpił. Nie na wiele się to Nałęczowi zdało, bo król uprzedzony był i, choć

z innymi konwersował, na niego i nie patrzał. Posądził mnie o to chorąży, alem nie był nic winien, bo nieprzyjacielowi nogi nie mam zwyczaju podstawiać, ale staję oko w oko, jeśli stać przeciw przychodzi.

Szliśmy już coraz pośpieszniej, zdążając na Opawę, miasto wcale piękne i obronne, gdzieśmy jako tako spoczęli. Król w stodole na przedmieściu dobrowolnie się lokował. Minąwszy Raciborz, gdzie nas pańsko podejmowano, ciągnęliśmy pod morawskie góry do Ołomuńca, a góry dosyć przykro przebywać przyszło. Ale mimo tych dróg, niezwyczajnemu człowiekowi i koniowi przyciężkich, nacieszyć się nie mogliśmy pięknością kraju dla oka, które, jakby w obrazie malowany, wyglądał.

W Opawie, jak tu po drodze wszędzie, króla oprymowali temi powitaniami, i słyszałem, jak mówił, narzekając na te oracje ustawiczne, dla których się, jako pan młody do ślubu, ubierać musiał i wszędzie z paradą husarską wjeżdżać. Miasto chędogie, lud grzeczny, a co błogosławieństw było i okrzyków, wyliczyć trudno. OO. Jezuici szczególniej panegirykami kościelnemi przyjmowali, a co krok — *erat missus Joannes.*

Nigdym też jeszcze tak osobliwego zegaru nie widział, jako tutaj: bo, gdy miał godzinę wybić, występowała z niego cała procesja misternych laleczek i obchodziła go dokoła, z wielkim kunsztem kłaniając się, ruszając, głowy chyląc, gdyby żywe Pigmejczyki, czemum się mógł napatrzyć, bo królowi dali kwaterę w kamienicy naprzeciw zegara, bodaj nie naumyślnie, aby mu się dziwował.

W tym pochodzie, ile nam razy serca przybywało i ubywało, nie zapamiętam; to jeno wiem, że

ciągle gońce, posły, listy dobiegały do króla, zwiastując różne wojsk pogańskich i Tekelego, z nimi za jedno trzymającego, ruchy. Ginęli, to wychodzili z ziemi Tatarowie a Turcy, i groźno, to się tchórzliwie okazywali; wszelako im bliżej ku Wiedniowi podchodziliśmy, tem się bardziej na baczności mieć było potrzeba, aby nas nie zaskoczono kędy w zasadzce.

Ale kraj czyście piękny, jako raj; a że ciągnąć przyszło w porę jesienną, kiedy wszystko dojrzewa i rośnie naumór, więc nic wdzięczniejszego wymyślić niepodobna nad to, na cośmy patrzali.

A znać, że i lud około bożych darów chodzić umie, bo dostatnio wszędzie i chędogo; muru więcej, niż drzewa, chocia z drzewa i muru bardzo misternie budować umieją razem, czego u nas rzadko widzieć, i koło każdego domostwa owoców, winnej macicy, brzoskwiń, pachnącego ziela różnego w bród.

Na polach zboże w kopach stało, jak usłał; urodzaj nadzwyczajny, kop — jak gwiazd. W Brnie morawskiem stanęliśmy w święto i na odpust Św. Jana Chrzciciela, gdzieśmy nabożeństwa zażyli, o ile fatyga i czas dopuścił.

Sam książę lotaryński królowi *obviam* miał czynić, i spodziewano go się co chwila u nas, aby króla i wojsko znaglić do pośpiechu, bo już Turcy strasznie szturmowali, a dowódca stolicy rakuskiej, Staremberg, prawie desperował. Podkopywali się pod niego i minami szli, grożąc murom. Zewsząd też kto tylko mógł z rzeszy, ciągnął pod Wiedeń.

Dnia 31 *augusti*, gdyśmy byli obozem, a właśnie namioty rozbijać dopiero poczynano, w mo-

mencie, kiedy się z nami łączył hetman polny, który był inną drogą pod górami ciągnął, dano znać, że książę lotaryński przybywa.

Spotkali się król z książęciem w polu, właśnie przed szeregami, jakby do boju wyciągnionemi. Prezentował się tego dnia monarcha nasz tak wspaniale i z takim majestatem, jakby się na tronie urodził. Zsiadł książę z konia o dwadzieścia kilka kroków, król, też mało poczekawszy, także, i powitali się bardzo uprzejmie, razem potem idąc do obozu, który dopiero się rozścielał. Z wielkiego rozgłosu około imienia tego księcia, nie mogłem się spodziewać, żeby tak mizernie wyglądał. Człeczek był niewielki, potrosze brzuchaty, twarz melancholiczna, ospowaty szpetnie, a koło niego tak, żebyś go wziął chyba za pisarka obozowego, gdybyś go spotkał na uboczu. Suknia prosta, odarta, kapelusz zmięty i bez pióropuszu, buty zabłocone. Był przy nim Talf, który w Polsce posłował odeń, i tu go niemało ludzi znało.

I koniowi, i panu napatrzyć się nasza dwornia nie mogła, bo, choć szkapę miał niezgorszą pod sobą, ale siodlisko wybite, wysiedziane, uzda prosta i prezentacji żadnej. Wszelako król go przyjął bardzo *honeste*, a choć dopiero się nasi zabierali coś prażyć, w mgnieniu oka i ogień był naniecony, i jedzenie gotowe, i wino dobyte. Nie mieliśmy się co wstydzić popasu, bo sobie dobrze panowie podjedli, a bodaj i podpili. Stałem-ci tam, patrząc na wszystko, i widziałem, że ks. lotaryńskiego hamował od kieliszka ten jego Talf, a przecie, gdy król dolewać kazał, dobrze sobie podchmielił wkońcu, i była taka wesołość z racji naszego zbliżenia się, taka otucha, tak się im na wi-

dok wojsk oczy śmiały i serca przybywało, aż i nam go urosło. Tylko słychać było z pod namiotu wiwaty i wykrzykiwania na cześć króla naszego, dla którego imion dosyć znaleźć nie mogli, Salwatorem go mieniąc i Mesjaszem, posłanym od Boga na zbawienie chrześcijaństwa.

Rozjechali się nareszcie, w bardzo wielkich oświadczeniach przyjaźni dla króla i królewicza, bo pierwszego ojcem swym, a drugiego bratem co chwila (po winie) książę lotaryński nazywał, i to po polsku; ale mu i tego ojca i brata co chwila podpowiadać musiano.

Kto dawniej znał przed laty kilku naszego pana, że był nieco zwolniał a ociężał, teraz go poznać nie mógł, tak wymłodniał, ochoty, rzeźwości i humoru nabrał; i nie dziwić się obcym, że im majestat jego oczy ślepił, gdy nawet my, do blasku tego przywykli, coraześmy jakby nowego człowieka w nim dopatrywali. Rosnął nam codzień. Ten szybki pochód, i trud, i niepokoje nietylko go nie zmęczyły, ale zdawały się go orzeźwiać i coraz nowe mu myśli poddawać. O każdej najmniejszej rzeczy pamiętał, nie dojadł, nie dospał, ludzi zamęczał, a sam jeno się krzepił.

Gdybym na to nie patrzał, nigdybym temu nie uwierzył, ażeby człowieka duch wielki mógł tak z gruntu przeistoczyć i takiej siły mu dodać. Samo wejrzenie na twarz królewską już zwiastowało jakby rozbudzenie wielkie, jakby natchnienie boże, osobliwe.

Wszyscy tu, swoi i obcy, powiadali zgodnemi głosy, że go nigdy jeszcze takim nie widzieli; od rana do nocy zajęty, czynny i zapominający o sobie, zawsze gotów, bez uprzykrzenia, wesół

a dziwnie majestatycznego oblicza, jakby w nim Duch Święty mieszkał, przezeń mówił i kierował nim. Coś wielkiego i potężnego wydawało się w każdem jego słowie i ruchu, a co dziwniejsza, że, jakem się nieraz o tem przekonał, miewał przeczucia, proroczo widział, co się stać miało.

Z samych kart i opowiadania, dobrze wprzódy, nim pod Wiedeń przybył, nim opatrzył pozycję, mówił już zgóry, gdzie obozem stanie i skąd nieprzyjaciela atakować będzie, ciągle o Kalenbergu powtarzając, aż się ludzie dziwowali. Chodził, mówił, rozkazywał, jakby w świętej jakiejś gorączce nie zastanawiając się i nie potrzebując namyślać się, ani poprawiać.

My, cośmy osoby królewskiej bliżej byli, tylkośmy podziwiali go, a wkońcu uwierzyć musieli, że tam boża prawica nad nim spoczęła. Jako był wyszedł z kościoła po onem błogosławieństwie w Krakowie, a potem z celi ks. Dąbrowskiego, tak już na chwilę teraz nie zwątpił, nie zawahał się. Nie można wypowiedzieć, jak ta jego pewność wszystkim serca ogromnego dodawała, i nawet z ludzi poślednich czyniła rycerzy.

Niemało się też i ten pochód, przed tryumfem już tryumfalny, przez Śląsk i Morawę, przyczyniał do utrzymania króla na duchu, bo go zbawcą chrześcijaństwa całe ludy proroczo witały, jakby objawienie tego posłannictwa bożego wszystek świat przedtem miał.

Przychodziły mu też to te, to owe myśli pośród ciągnienia, jak ze snu przebudzonemu i jakby z rozkazu z góry. Jednego poranku wstaje w namiocie, gdziem i ja blisko był. Słyszę, wołanie się rozlega:

— Sam tu!... A jest tam który?

Więc na łeb lecę; król się odziewa.

— Słuchaj, Mroczek — rzecze — tyś człek rzetelny, ty grosza chrześcijańskiego nie zmarnujesz, ani z niego nie zechcesz korzystać — tobie to polecę. Widziałeś ty? Toć to w wojsku kopij i dzid połowa ludzi nie ma, a zapaśnych wcale. Bez tego w boju z nimi nie stąpić. Naści pieniądze, wyrachujesz mi się. Idź przodem, czy bokiem, czy jak ci się tam zda, a przysposóbcie mi kopij i dzid, żeby był zapas dla wojska. Niechaj to ode mnie, pana swego, mają, bo sami tu, między obcymi, nie postarają się o to. Tyś człek młody i obrotny, na ciebie to zdaję, a sprawże mi się jak się patrzy, po kawalersku. Ilu Turków te dzidy zgniotą i zmiotą, tyle waść kresek dobrych u Pana Boga, a i u mnie, sługi Jego, mieć będziesz.

Włożył tedy to na mnie, i latałem jak oparzony około roboty, Bóg widzi, że niełatwej; a potem, co mnie gdzie zobaczył, to mi się spowiadać kazał, ile już gotowego, i co, i jak. Ale mi te kopje u króla niemały fawor wyjednały, bo mi poszło, z pomocą swoich, całe dobrze i na chwałę.

Jak się w wojsku dowiedzieli tylko, że król własnym kosztem drzewce sztyftuje i rozdawać ma tym, co ich nie mają, filuty z husarzów a nawet i pancernych do mnie: — „Kupuj u nas dzidy, wszak ci to wszystko jedno". — Alem zmiarkował, o co to szło, i że byłoby z obrazą sumienia to kupować, co już było, a nie przyspasabiać więcej, jak król chciał. Więcem odrzucił, choć się na mnie za to gniewali; królowi-m przecie słowa o tem nie szepnął.

Nie wiem, skąd i kto mu powiedział o tem.

Trzeciego dnia woła mnie do siebie i daje trzosik z talarami.

— Weźmij to ode mnie, — rzecze. — Kocham waść: to za one kopje, coś ich u tych trutniów kupować nie chciał. Masz sumienie. A dużo ich tam już na wozach?

Wszystko mi to coraz więcej u niego łaski jednało.

Jużeśmy byli pod Tulm przyszli, gdzie most na przeprawę budowano, aż nas dopędził posłaniec królowej i listy z kraju; a była ich do całego wojska taka moc i zależałych, i starych, i nowych, że się każdy prawie miał czem pokrzepić; torbami je noszono i rozdawano po chorągwiach.

Jam też odebrał pisanie od pana Jacka: nic tak bardzo szczególnego, tylko mnie tknęło, że w obfitych wyrazach wspomniał, abym tam ladajakim wieściom nie dawał wiary, że wszystko u nas po staremu, a nie gorzej.

Po obozie z temi listami było wszędzie czego się nasłuchać. Temu ten umarł, owemu się narodził; ten płakał, ów się śmiał, inny dzielił się, czem Bóg dał.

Wieczorem poszedłem do swoich Podlasiaków pod namiotek, alem trafił nieszczęśliwie. Patrzę, siedzi za beczką, która za stół służyła, Nałęcz. Jak mnie ujrzał wchodzącego, tylko się poprawił na pieńku. Cofać się też przed nim nie wypadało. Zwali mnie tam, z powodu tych kopij królewskich, panem kopijnikiem; więc nuż wołać:

— Czołem panu kopijnikowi! Czołem! Czołem!... Wypijesz wina?

— Aby niezbyt — rzekłem.

Siadłem pomiędzy nich. Jak pszczoły w ulu,

gwarzyli, każdy o swojem. Przypomniał się każdemu dom, rodzina, przyjaciele, krewni — a tu bój i śmierć były za rzeką tylko, a w sercach przeczucia różne, więc i w mowie pełno żałości. Słowem gwaru, śmiechu, westchnień, i przekleństw tyle, a tak się żywo przypominała każdemu swoja ziemia, żeśmy, można powiedzieć, zapomnieli, gdzieśmy stali i z czem szli, że lada dzień przyjdzie gardła nastawić, a może kości na obcej ziemi położyć.

To ten, to ów gadał, a wszyscy słuchali pilno. Aż Nałęcz poczyna w głos:

— Mnie też Pan Bóg pociechę zesłał. Z domu mi piszą wszystko dobre; szczególniej zaś rad jestem temu, że siostrę dajemy w taki dom, który naszemu imieniu skazy nie przyniesie.

A tu mu drugi przerywa:

— Panna Helena idzie zamąż?

— Tak jest — prawi — przed adwentem ślub jej na pewno z panem Stadnickim ze Żmigroda, z onych dobrych Stadnickich, co się liczą do pierwszych w kraju familij. Czego chcieć więcej? Dobra, piękna — kawaler młody, przystojny; parantele jak najlepsze. Bogu tylko podziękować, żeśmy przecie jej uporu nadłamali, bo się była dała zdurzyć starej kwoce, podczaszynie, która jej szaraczka tam jakiegoś stręczyła i forytowała. Ale to jak przyszło z niczego, tak i z niczem poszło...

Posłyszawszy „szaraczka", myślałem, że nie wytrzymam. Dobrowolski, który siedział przy mnie, pohamował zrazu. Ten widząc, że milczę, prawi dalej:

— A jużby też na biedę poszło Nałęczom, żeby

ich dziewki za bezdomnych chudopacholków się prosiły.

Wstałem i krzyknę:

— Łżesz, mości chorąży!

Ten się zerwał do szabli, a tu trzymają za ręce, bo pod bokiem królewskim i czasu wojny burdę poczynać — sprawa gardłowa.

— Łżesz! — dodałem — i bezcześcisz szlachcica takiego dobrego, jak i ty, bo co Jastrzębiec, to i Nałęcz, albo starszy i lepszy. Anim to ja, do którego waść pijesz, bezdomny, ani taki chudzina. Jeszcze raz ci mówię w żywe oczy: łżesz! Zechcesz się rozprawić, tom ci gotów, jeno po wojnie, pieszo czy jezdno i na jaką ci się broń podoba.

I wyszedłem, trzęsąc się, z namiotu. Tknęło mnie to, co o Stadnickim powiedział, alem przecie krzty nie wierzył. A że król wysyłał z listami do tarnowskich gór, skąd już nasza poczta szła przez rozstawionych trabantów, napisałem o tem, co mi się przygodziło i do podczaszyny, i do pana Jacka, i do starościanki.

Potem-em się dowiedział, że, gdy z namiotu wyszedłem, co było w nim Jastrzębców, a tych wszędzie pełno, gdzie jeno jest szlachta polska, wsiedli wszyscy na Nałęcza, że ich coś około dziesięciu na rękę go wyzwało; i Nowowiejski mu się zaklął, że go Jastrzębce bić będą, dopóki jak wróbla nie zatłuką. Wpadł tedy przez swe głupstwo w taką kaszę, z której już nie wiedział, jak wybrnąć, bo nie mnie jednego, ale cały ród na siebie obraził.

Nazajutrz rano król dodnia wstawszy, bo się tym mostem niepokoił srodze, że go zawczasu nie

postawiono, wiedząc o przyjściu, najrzał mnie za płotkiem namiotu.

— A chodź ino tu wasze — rzecze. — Co tam za burdy wyprawiacie — hę?

— Ja, Najj. Panie? — odpowiem — Żadnej w świecie.

— A coście się to znowu z tym głupcem, Nałęczem, powadzili?

Rozpowiedziałem tedy co do słowa, jak było, a król tylko słuchał.

— N. Panie — kończyłem — na honor krwi naszej następować gdybym dał komukolwiekbądź, a cóżbym ja wart był? Przeciem tego nie poczynał. Chodzę około Nałęcza, jak około czego złego, omijając, nie zaczepiam go; ale dla świętego pokoju, choćby mi nie wiedzieć jak był miły, posponować się dać nie mogę.

Król na to:

— Ino bez burd! Jak czas będzie po temu, to się sobie w szable złożycie; ale myślę, że mu się tego, poczekawszy, odechce, bo ja mu uszu natrę.

— N. Panie — odezwałem się — jeśli mam cokolwiek łaski u waszej królewskiej mości, proszę i błagam, nie czyńcie nic, aby nie pomyślał, żem ja się tu użalał...

— A no, niech i tak będzie — rzekł król. — Tylko pamiętaj, bez burd! Cudzoziemcy na nas zewsząd patrzą: niech się to męstwo i sierdzistość nasza na pogany schowa. Tego sam Bóg, co nas tu zesłał, wymaga...

Nie wiem, jak tam już ten pan nasz na to czas znalazł, żeby jeszcze o tem pamiętać, bo nieustannie byliśmy zasypani odwiedzinami, radami i listami.

Wszystko się do nas i do króla jegomości kupiło, ściągało, przyjeżdżało, a nie można rzec, tylko, że mu honory wielkie oddawali. Tu u tego mostu pod Tulmem, skąd już jeno míl kilka do Wiednia, stać przyszło póty, póki, jako Dunaj dwiema wyspami jest przerznięty, trzech mostów dla wszystkiego wojska przeprawy nie wystawiono. A było z tem kłopotu dosyć; pięćset dragonów i półtora tysiąca piechoty do tego budowania prędkiego przeznaczono, i nie było ich za wiele.

Król sam chodził, przynaglał, rady się też wojenne raz wraz zbierały; a wszyscyśmy się wydziwić nie mogli zaślepieniu Turków i wielkiego wezyra, któryby był mógł pochód nasz, jeśli nie wstrzymać, to opóźnić i zrobić jakąś dywersję, mając siły tak ogromne. Przecie żywej duszy nie posłał przeciw, znaku życia nie dając. Istotna w tej ślepocie jego okazywała się Opatrzność nad nami, bośmy prawie aż pod sam Wiedeń nieprzyjaciela ani najrzeli.

Mówiono, że, gdy im tam Tekeli o naszem ciągnieniu dał wiedzieć, nic a nic mu wierzyć nie chcieli, śmiejąc się i mając to za urojenie.

Tu do mostu przybył na zamek grafa Ardeka do króla jegomości książę elektor saski, krom innych. Bardzośmy też i tego pana byli ciekawi, ale nie wystąpił wielce. Dosyć miernego wzrostu, otyły nieco, włosów niemal rudych, krótko pozakręcanych, z brodą ze staroświecka, lat około czterdziestu. Suknię miał i szarfę czerwoną z frendzlą. Wyglądał nam na bardzo prostego człeka i roztargnionego umysłu. Książę lotaryński, generał Caprara i inni należeli do rady wojennej.

Szóstego *septembris* poczęliśmy się przez Du-

naj przeprawiać; naprzód pan hetman wielki, potem reszta. Tegoż dnia i dwór i my obozowaliśmy, popasawszy na jednej z wysp, na drugim brzegu Dunaju; ale tuśmy czekali przez 7 i 8 *septembris*, ażby się wojsko całe przeprawiło, za którem zaraz elektor bawarski ze swymi nadążał.

Za Dunajem poczęły się góry przykre, a drogi nieznajome, gdzieby nas do nogi wybito, rozwleczonych, porozsypywanych, gdyby krztę rozumu byli mieli Turkowie, a nie ufali tyle w swego proroka. Ale prawdzi się też przysłowie stare, że „kogo Bóg zgubić chce — zaślepia".

Wojska ciągnęły wąwozami niemal aż pod sam Wiedeń, nie spotykając nigdzie niewiernych; parę razy najrzeli ciurów ich pasących spokojnie woły, ale tałałajstwo to, nie dobywszy nawet szabli, uciekało precz. Dziwniejsza rzecz, że, gdy szły piechoty nasze, które Denhoff prowadził, wpadli w jednym jarze na garść Tatarów, w ciemnej dolinie, zewsząd opasanej górami. Myśleli, że się bić będą i stało się poruszenie między ludźmi; ale starszy, co ich prowadził, podjechał do Denhoffa, nic dobywając z pochew oręża, ani się biorąc do łuku, i pyta go łamanym językiem, jacy to ludzie, których prowadzi? Ten mu wręcz odpowiada, że należą do wojska, któremu sam król jegomość dowodzi. A Tatar w śmiech, machnąwszy ręką, i woła:

— Myślicie, że nie wiemy, iż was garść tam przyciągnęła z Lubomirskim w pomoc Niemcom, — i tyle wszystkiego.

Zabrał się tedy, nie poczynając ani myśląc bić się, do odwrotu powoli; nasi też go nie napastowali, poczęści ze zdumienia samego, a potrosze

dlatego, że się rozwinąć nie mogli i nie byli przysposobieni, choć, na dobry ład, nogaby jedna stamtąd wyjść nie była powinna.

Jakeśmy stąd dalej ciągnęli, opisać to trudno. Łaska boża nas prowadziła, bo o przewodników było ciężko; wozy musieliśmy porzucić, aby innemi drogami powoli za nami zdążały; a darliśmy się na wysokości, lasami okryte, przez wąwozy, góry, przepaści, tak, że często i koło człowieka i koło konia było bardzo kręto. A co odzieży i twarzy poszarpanych, co szkap poderwanych i okaleczonych, jaka bieda i głód nawet nas tu potkał — nie wyrażę.

Nie mieliśmy już ani namiotów, ani żywności, ani nawet wody; król sam w te dni chlebem suchym się karmił, wody pożyczając od bawarskich żołnierzy, co ją w blaszankach z sobą wszyscy tam nosić zwykli. Jest to zwyczaj dobry, któryby naśladować potrzeba. Ale, jak bohatersko to wszystko czynił, z jaką wesołością i uciechą, nie wypowiem. Drudzy z ludzi stękali, on się uśmiechał, prawiąc, że przed wielką uroczystością zawsze kościół post nakazuje, aby do niej duszę przygotować, ciału ujmując.

Czasami dwór tak od wojsk odstawał, które, rozbite, po górach się kryły, że nie wiedzieć nawet, w której stronie było ich szukać; aliści gdzie z za pagórka ukażą się kopje husarzy, to już wiemy, że przed nami są. Tam to ja dopiero Pyladesa poznałem, co był za koń, że się chyba w górach rodził i znał dobrze z niemi; bo nie było ścieżki najwęższej, przez którąby się nie przedarł, z taką poczynając sobie ostrożnością, jakby rozum miał

ludzki. Jam tylko admirował, a drudzy, którym szkapy padały i kolana sobie otłukały, nie mogli się koniowi wydziwić. Jużem, cugle mu na karku położywszy, samego puszczał, bo pewnie lepiej ode mnie sobą kierował; a zdawał się w tem rozkoszować, że sobie wolno sam tej drogi zażywał, i jakby swawolił, to liści pyskiem szarpnął, to się o gałąź otarł, a w przykrzejszych miejscach nogi stawiał z taką rozwagą i namysłem, iż satysfakcja była na niego patrzeć. Co tam drudzy ze swemi końmi mieli, nie wypowiedzieć; niektórym pospadały z gór i karki pokręciły wniwecz. Na jednem miejscu wśród gęstwiny, kiedy się tak wleczemy niby ścieżyną, ale fałszywą, przyszliśmy nad wąski jarek, w środku którego rzeczka płynęła, ale łokci ze dwadzieścia albo i więcej w głębi, a brzeg jeden i drugi jaru był wysoki. Szerzyny od jednego do drugiego mogło być łokci *praeter propter* do pięciu. Wszystko się to nad jarem zastanowiło, bo wdół się spuścić nie było podobna: boki jak ściany prostopadłe i obrosłe, a gałęzi suchych i ciernia pełno. Więc się poczęli zwracać w lewo a w prawo, szukając lepszego miejsca do przejścia. Jam też z Pyladesem nad samą krawędź parowu nadążył, i co tu dalej robić, nie wiem. Cuglem mu rzucił, patrzę, a tu drudzy klną i rozsypują się w różne strony. Jednym razem anim poczuł, że konisko nogi zbiera, grzbiet dźwignął, i jak da susa, to oparłem się na drugim brzegu, tylko piasek i kamienie posypały się. Powiem szczerze: omal mnie ten skok niespodziany z siodła nie wysadził; i to szczęście, żem cugli nie miał, bobym był szarpnął, a wtedy — po wszystkiem: obabyśmy w jarze byli leżeli.

Jeden był głos, że podobnego Pyladesowi drugiego w całem wojsku koniaby nie znalazł.

Ale nie czas było o koniach naówczas myśleć, gdy wszystkie umysły tylko bliską walką z nieprzyjacielem, ostatecznym końcem naszej imprezy, naostatek ciężkiem położeniem naszem smutnie zajęte były. Można powiedzieć, że król tylko jeden nie utracił wielkiego ducha, a ten w nim rósł, owszem, z każdą godziną. W oczach nam z ciała opadł, policzki mu się ściągnęły, ale we dwójnasób ognia w oczach przybyło i takiej żywości młodzieńczej, żeśmy mu nastarczyć i podążyć nie mogli. Ja, com często koło namiotu sypiał i przede drzwiami na zawołanie stał, to wiem, że mi ciężko było tam bez snu wytrwać, gdzie król jegomość, i oka nie zmrużywszy, ani się zdawał trudzić. Ordynanse ustawicznie na wszystkie strony szły, bo, jako u naczelnego wodza, z każdego wojska szli odkomenderowani do tego ludzie przy jego boku, a listy, a rozkazy, a nieustanne odwiedziny książąt, grafów, wodzów, cudzoziemców wszelkiego narodu, najróżniejszych języków i twarzy, wolontarjuszów, kawalerów, chciwych sławy wojskowej i nauki rycerskiej pod tak wielkim wodzem.

Jednego dnia, niżeśmy jeszcze te góry nieszczęsne przebyli, nagle się rozeszła wieść, że cesarz sam przyjeżdża, aby króla naszego powitał; ale to było widocznie ułożone tylko, aby niby gotowość okazać, a w rzeczy bał się ruszyć i nie miał poco, bo tuby wcale nie poradził, a zamieszał dużo. Przybyłoby z nim ceremonji i parad, ostrożności względem poszanowania, a rycerska sprawa byłaby cierpiała na tem.

Z niezmiernym tedy trudem i uciążliwością

drapaliśmy się na górę Kalenberg, przy niesłychanym wietrze, który nam dął w same oczy, iż miejscami trudno się było ludziom na koniach utrzymać. A żeśmy się już zbliżali ku temu placowi, który miał rozstrzygnąć losy nasze, i gdzie właśnie pogan siła niezmierna leżała, więc nieustannie i prawie mimowoli przyprowadzano języka, włóczęgów od wojsk wezyrowych, zabrane bydło i konie. Aleśmy tyle tylko od Tatarów dopytać się mogli, że ani o nas wiedziano, ani się troskano: a czego król jegomość najwięcej się lękał, żeby turecka moc nie odciągnęła, nimbyśmy przybyli i szabel naszych na niej spróbowali, o tem i mowy być nie mogło, gdyż się wezyr kusił właśnie o zdobycie miasta i w siły swe ufał, jakby go nikt w świecie pożyć nie zdołał.

Nim na ostatnią górę włazić przyszło, król u stóp jej popasał i spoczywał. Tu nam zaręczono, żeśmy już wszystkie przeszkody zwyciężyć mieli, i że od wierzchołka Kalenberga pod sam Wiedeń spuścistem wzgórzem, między winnicami, wygodnie wojsko schodzić będzie mogło. Aliści się i to inaczej potem okazało.

Wojska nasze poszły wyniosłość tę zająć na prawo, Niemcy zaś, Sasi, Bawarczycy i inne w lewo, a tu już odkrył się przed nami nocą widok wielki na miasto całe i na to obozowisko wezyra, które było straszliwie rozległe, jakby miasto drugie, gdzie wśród namiotów i szałasów tysiąców tysięcy, dopatrzyłeś i księżyców złotych, i różnych wspaniałości, kolorów, chorągwi mnóstwo. Wszystko to, jako mrowie u stóp naszych leżało na takiej przestrzeni, że, obliczając, co tam ludu być mogło, przestrach ogarniał. Król się tak nie-

cierpliwił, jadąc, że, gdy widok się odkrył, dopiero odetchnął, a przystanąwszy tu, jak wryty, nie wiem, co czynił, ale zdawało się, jakby się modlił. Ludzie do niego mówili: nie odpowiadał. Stał długo; dopiero, jakby ocknąwszy się, rzecze do hetmana:

— Oszukali nas: góry tej w prawo nigdy nie okazali wprzód, a zejście dużo gorsze, niż opisywano. Przyjdzie cały szyk bojowy zmieniać.

Potem spokojnie z góry wojska te krocie przeżegnał i do konia zawrócił.

Wojsko nasze całe rozstawiono wszerz na jakie dobre pół mili po lasach, tak, że ścieżkami tylko od skrzydła do skrzydła przedrapać się można było. Król przy piechotach w odkrytem nieco miejscu na samym skraju z prawej ręki kazał sobie rozbić namioty. Dokoła pułków piechotnych obciągniono wozami i końmi, jakby obóz, i postawiono kilka sztuk dział, które były przyszły w porę. Konnice, dragony, husarze, pancerni, petyhorce, gdzie kto mógł i jak mógł po lesie; tylko szczęście, że nas w tym nieporządku nie napadli. Do późna, aż ściemniało, król nie mógł spocząć, ino patrzał, rozglądał się, posyłał, ordynował, a powtarzał:

— Cóż to za poczciwe Turki, że na nas czekali! Inom tego się lękał, żeby mi nie uciekli. Bądź, Panie, pochwalony, żeś ich tu, oślepiwszy, wstrzymał!

Mało kto tej nocy zasnął pewnie, bo niemal przez całą z dział bito ustawicznie i błyskało ciągle a huczało; drudzy też, choć zmęczeni pochodem, z ciekawości zdrzemnąć się nie mogli i niepokoju o dzień jutrzejszy. Wśród obozu mało zrazu ogniów niecono, żeby nas nie odkryto przed cza-

sem; ale w nocy przysłał król z nakazem, aby drzew narąbać i kilka stosów dobrych nałożyć, tak, aby z Wiednia je dojrzeć mogli, i żeby im to otuchy dodało. Więc około tych ognisk siła było w wigilję bitwy takich scen, żeby ich na wołowej skórze nie spisał. Różne są natury ludzkie i humory ludzi, a nigdy się to lepiej nie okazuje, niż w tych chwilach, kiedy ludzie, z karbów powszedniego żywota wyszedłszy, mniej na siebie zważają i cugli sobie puszczą wolniej. Tu się też popisywały różne usposobienia w przededniu wielkiego boju, wróżąc, marząc, zgadując i na jutrzejszy się dzień sposobiąc.

Mnie że był właśnie król na oględziny wysłał, abym powoli obozowiska objechał, humory wybadał i zdał sprawę, co po wojsku się dzieje, jak żołnierz się ma i co sobie tuszy, tom całą niemal noc spędził, od ognia do ognia się włócząc, serca dodając, śmiejąc się z jednymi, z drugimi kłócąc. A już, jako żyw, tej nocy na Kalenbergu nie zapomnę.

Młodzież też, po zwyczaju, gorączkowała, wytrawniejsi nie dowierzali i przemyśliwali; wogóle duch był jak najlepszy, ale wiał on od króla. Widzieli wszyscy, jak szedł i jak promieniało mu tryumfem oblicze.

A tu też dodać muszę, co mało komu do wiary, chociażem ja na to oczyma własnemi patrzał, a i wielka część wojska także, godna rzecz pamięci i cudowna. Jakeśmy w góry morawskie wchodzili jeno, ponad tą gromadką, gdzie i ja byłem przy królu, wzleciał orzeł ogromny, niewysoko ciągnąc, może na strzelenie z łuku; a prowadził nas tak aż na Kalenberg, to się podnosząc, to

zniżając, wciąż jednak kołując nad głową prawie królewską, przez więcej niż siedm mil. Jako przy ogniskach sobie to opowiadali, ominując dobrze.

Było rozmów, żartów, śmiechów, zakładów coniemiara. Podjeżdżam do jednych, a był między nimi Śniatyński z pod chorągwi księcia wojewody, żołnierz, jakich poszukać i nie znaleźć, stary już szpak: ten sobie na rożenku głogowym piecze jakiegoś ptaszka, oskubawszy, ale chmurny, jak ze środy na piątek.

— Czołem, mości panie.

— Czołem.

— Co się, jak ćma, po nocy tłuczecie? — pyta.

— Z rozkazaniem królewskiem.

— To co innego.

— Ale cóż to wy — powiadam — jakby nie swoi? Czy co dolega?

— A co ma mi dolegać? — rzecze ze śmiechem — skóra dobrze wyprawna, nie boli, kości też nie miękkie, mięsa zaś nie mam, a dusza do azardu przywykła.

— Przecież czegoś sumujecie — rzekłem.

— Nie, ale się przed bitwą spowiadam sam przed sobą, a całe życie przechodząc i po tylu trupach stąpając, toć wesoło bardzo być nie może.

Nazajutrz też Śniatyńskiego na świecie nie było. Innych znalazłem różnie: modlących się, odgrażających, a wrzawy, a śmiechu, ile dusza zechce. Przy jednem ognisku byli Turcy powiązani, którym świniny dawszy jeść, winem popili na wzgardę proroka, i tak to, jak drewno, legło, nieprzywykłe do trunku.

Jużem, objeżdżając swoje ognie, dotarł aż do Niemców, kiedy przybiega Łukowski, odwołując.

że tam ktoś na mnie czeka opodal. Podjeżdżam, widzę, na chudej szkapie ni to Tatar, ni ciur od naszych, ogorzały, ale gada do mnie połamanym językiem, niby naszym, a coś mruczy, że go dobrze zrozumieć nie mogę, a zerka na wsze strony, a bełkoce. Zbliżam się do niego; ten mi okazuje na migi, że ma na stronie do pomówienia ze mną.

— A cóż to za szczególna miłość waszmości dla mnie? Albo-li się to znamy?

— Tożci waszmość ze dworu od króla — powiada.

— No, od króla.

— A ja do króla — rzecze. — Prowadź!

— Z czem? — pytam.

— Z językiem.

I jakoś mu się gęba rozwiązuje, że coraz lepiej gada. Myślę sobie: „Niechże jedzie".

— Ruszaj waść za mną!

Nuż się napowrót mimo ogniów drapać przez krzaki pod namioty królewskie. Wiodę go, jakby jakiego jeńca, a że do djabła był podobny, patrzą na nas zewsząd i dziwują się.

Dobiliśmy się do namiotów wreszcie, złażę z konia, dając go Grzesiowi, aby iść z raportem; więc go pytam znów: czego chce? Ten mi swoje:

— Do króla.

— Stójże — powiadam — i czekaj! A jak cię mam oświadczyć?

Dopiero ów, przystąpiwszy tak, iż myślałem, że mi ucho odkąsi, szepcze raz i drugi:

— Mówcie od hana, od hana Mirza Mehmed Abdula. Król mnie zna; powiedzcie mu, że ten z pod Chocima.

Poszedłem tedy do namiotu. Tylko co się była

ostatnia rada wojenna skończyła. Zastałem króla jegomości zamyślonego nad kartą, ale nie smutnego, rzeźwej myśli. Odwrócił się.

— A co?

Poczne tedy mówić, com widział i słyszał, aż nareszcie o Tatarze. Król się wzdrygnął mocno.

— Gdzie jest?

— Przed namiotem.

Pomyślał chwilę:

— Dawaj mi go tutaj!

Więc ja po mojego Tatara, i prowadzę. Nikogo nie było, przeto mi król przykazał u drzwi pozostać.

— Słuchaj — rzekł — choćby cię pieczono i warzono w smole, nie powiadaj, co się dzieje w szkole; rozumiesz?

Nie trzeba mi było tego dwa razy powtarzać. Wszedł ogorzały ów z pokłonem, milczący, patrząc w króla, jak w tęczę, a król w niego długo i pilnie.

— A co wy tu robicie? — zapytał pan po chwili, jakby ochłonąwszy z podziwienia i poruszenia, które się w twarzy wydawało.

Tatar miał głowę spuszczoną, patrzał niedobrze zpodełba, nierychło i niełatwo zebrał się na słowo, ale począwszy od bełkotania, potem już mówił coraz płynniej po polsku.

— Musimy — rzekł — swoich posiłkować. Idziemy z Kara Mustafą za chorągwią proroka; alebym to ja, królu, mógł was zapytać lepiej: co wy tu robicie? Wszak to ziemia nie wasza.

— Sprawa to Boga naszego — odparł król — i ten mnie tu zesłał.

Tatar zamilkł na chwilę.

— Mamyż i my potykać się z wami? — spytał — my, stare wrogi i stare druhy? Siedzi naszych braci wiele a dawno na ziemi waszej, i dobrze im z wami. Byliście im gościnni, jak bracia. Choć musimy bić się z wami, nieradzibyśmy. Dajecie nam podarki i pokój mamy od granic. Zacóż krew nasza i wasza o cudzy spór się ma przelewać?

Teraz król milczał.

Po chwili rzecze:

— Pocoś tu przyszedł? Zbliża się godzina, kiedy boża prawica między nami a wami ma rozstrzygać. Nie pora na słowa. Pocoś tu przyszedł?

— Jam tu tak przyszedł — odparł Tatar — jakem przychodził do was pod Chocimem: z ręką wyciągniętą. My się z wami bić nie chcemy i nie będziemy. Han mnie przysyła pozdrowić was i powiedzieć: „Pokój z wami!“ Nie napadajcie na nas, a my bez boju zejdziemy z placu.

— Chcesz, bym temu uwierzył? — spytał król. — A cóż mi ręczy, że słowa twe nie są zdradą?

— Przekonacie się, wielki królu — rzekł Mirza. My nie pójdziemy na was. Han wie, że was tu siła boża prowadzi, że jesteście większym czarownikiem, niż my. Nie chce walczyć i próżno krwi przelewać. Przysłał mnie ze słowem zgody i pokoju; przychodzę. Posłem jestem, jakem już raz był — pamiętacie.

Zamyślił się król i rzekł po chwili:

— Uczyńcież, jako obiecujecie, a braci waszej u nas będzie, jak w domu rodzicielskim. Potwierdzimy im przywileje i swobody. Nie chcę, byś bez upominku odszedł.

Wziął król z kufra, który stał w namiocie, kiesę ze złotem i dał ją z rąk własnych Tatarowi, mówiąc:

— Oto będzie znak, że i ja was odsyłam do hana ze słowem zgody i pokoju. A ten oto — wskazał na mnie — odprowadzi was do przednich straży.

Tatar czoło pochylił.

— Nie trzeba — rzekł. — Znalazłem ja tu drogę pośród obozu waszego, odszukam ją i napowrót, mimo nocy. Niech Bóg wszystkim ludziom dobrym da błogosławieństwo!

To mówiąc, jeszcze się raz pokłonił i wysunął.

Jam stał jak oniemiały. Król skinął na mnie, abym go przewiódł. Ruszę więc wślad, ale tuż za namiotem w tę noc ciemną padł, jak w przepaść; tyle go oczy moje widziały.

Powróciłem tedy do króla. Modlił się już przed obrazem N. Panny. Po chwili wstał z wesołą twarzą.

— Milczeć-że mi — rzekł sucho. — Nie wierzę ja w te tatarskie offerty: *timeo Danaos et dona ferentes;* ale nie godziło się odpychać. Jeśli jest komu zostać na straży, idź wasze spocznij, bo jutro będzie robota ciężka i, bodaj, długa, a dobrze się już i tak zmachałeś.

Wyszedłem, ale nie spać, bo wcale mi się na sen nie zbierało; a żem o południu trochę się zdrzemnął w czasie odpoczynku, mogłem całą noc trwać obudzony, jak sobie postanowiłem. Szedłem tedy do swoich, gdzie dwór leżał, ale tu już mało nie połowa spała. Kilku zapamiętałych jeszcze kości rzucało; inni gawędzili o różnych wyprawach na Turków, jak sobie z nimi poczynano.

Ledwiem się pokazał, potyka mnie pan Hrehory Szamowski, łapie za połę i woła:

— Dobrze, że cię mam, bo potrzebuję. Chodź ino ze mną!

Idziemy, nie mówiąc nic, ku ogniom. Patrzę: siedzi Nałęcz z kubkiem w ręku. Chciałem się wycofać, ale ten trzyma.

— Jutro, nie chybi — rzecze — gra o śmierć lub życie; przyjdzie niejednemu nałożyć głową. Nie godzi się iść na sąd boży nieprzejednanemu. Musicie sobie podać ręce z Nałęczem, nic nie pomoże.

— Alem się ja — powiadam — nie kłócił, ani też i godzić myślę. Siła od niego poniosłem, siłam przełknął, a cierpię, milcząc. Nie możecie żądać większego upokorzenia ode mnie.

Hrehory mi na to:

— On też sam ci pierwszy rękę poda i przejedna się z wami, tylko o pannie ani słowa.

Ledwieśmy to sobie powiedzieli, widzę, idzie pan chorąży z panem Florjanem ku mnie, wołając:

— Panie Mroczek, dosyć tam już tych kwasów! Jutro z nas jeden może Świętą Trójcę zobaczyć, bo kule a postrzały chodzą, nie przebierając, czasu bitwy; więc dajmyż sobie ręce po szlachecku, po bratersku, a spór odłóżmy na spokojniejsze czasy!

Wyciąga mi dłoń. Nie mogłem swojej odmówić.

Podałem rękę w milczeniu.

Wołają tedy:

— Zapijmy zgodę!

— Byle nie wielkim kubkiem — dodałem.

Roześmieli się. Pan Florjan dobył srebrnego, co go zawsze przy sobie nosił, naleli wina i wychyliliśmy. Poczem już niewiele mówiąc, ale ze lżejszem sercem, powróciłem do namiotu królewskiego.

Wrychle też szarzeć poczęło. Obóz, co był nadedniem nieco ucichnął, powoli rozbudzać się i poruszać zaczął.

Czyli król tej nocy co spał, nie wiem. Jak dzień, znowu były narady wojenne; przyciągnęli książęta i wodzowie; a że z tych kart, które były wcześniej królowi przysłane, niedobre miał wyobrażenie o sytuacji, przyszło cały szyk boju i plan batalji odmienić. Ponieważ zejście z Kalenbergu wśród winnic a jarów wcale nie było tak łatwe, jakeśmy sobie zrazu wyobrażali, i spadzistość daleko przykrzejsza, niż mówiono, i zawad różnych wiele, przeto król jegomość postanowił, że przez trzy dni mieliśmy iść do głównej armji tureckiej i dopiero trzeciego stoczyć bitwę stanowczą. Oznaczył też na karcie i na ziemi od oka te miejsca, do których każdego dnia dojść byliśmy powinni. Tak było ułożono po ludzku, ale Bóg to lepiej sam sprawił, jak się zaraz okaże.

Mieliśmy zrazu, wedle myśli króla jegomości dawniejszej, całemi regimentami razem przeć linję nieprzyjaciela; teraz zaś to odmieniono tak, że niewielkiemi partjami znosić trzeba było pojedyńczo ich kupy, zdobywać pozycje i wyruszać z posterunków, samym one zajmując.

Myśmy z wojskiem naszem prawie całem, wyjąwszy kawalera maltańskiego, Lubomirskiego, zajmowali prawe skrzydło, obejmując zdala, szeroko, półksiężycem plac, by się osłonić od tatar-

skiego jakiego z boku natarcia, król bowiem owym obietnicom hańskim wcale nie ufał. Książę lotaryński stawał z przeciwnej strony, od lewego skrzydła ku Dunajowi, zajmując górę Kalenberg i sąsiednie pagórki. Z tego powodu, będąc bliżej nieprzyjaciela, miał też nań wprzód nacierać. Elektor saski ze swymi był po prawej stronie księcia lotaryńskiego; bawarski też koło niego, także z prawicy. Wszyscy książęta na czele swych ludzi osobami swemi potykali się.

Na zaraniu wszystko się to szykować zaczęło. Król już był na nogach, dawał rozkazy, a w chwilach spoczynku modlił się, nic od rana w usta nie wziąwszy, gdyż postanowił spowiadać się i komunikować przed bitwą.

Nieopodal stała niewielka kapliczka Św. Leopolda, gdzie właśnie mszę świętą z błogosławieństwem miał dla nas odprawić włoski kapucyn, ks. Marek Aviano, mąż pobożny a prawie święty, o którym wieści takie chodziły, że za łaską bożą cuda miał czynić.

Gdy król się udał do kaplicy, kto tylko mógł, to się tam za nim cisnął; drudzy z odkrytemi głowami stali przede drzwiami, bo ledwie dla przedniejszych miejsca stało we środku. Kapelani też i różni duchowni po chorągwiach, gdzie było można, na ołtarzach z darni i pniów, wprędce przysposobionych dla wojska, wszędzie mszę świętą odprawiali, czemu się obcy dziwowali niemało, żeśmy tak się okazywali pobożnymi aż do ostatniego ciura.

Gdy król przede mszą się wyspowiadał, królewicz też i hrabia Malini, wyszedł ksiądz ów ze mszą cichą, po której przyjęliśmy wszyscy ko-

munję z rąk pobożnego starca, i naostatek błogosławieństwo na bój, do czego dodał po łacinie przemówienie ku nam i królowi.

Te tylko słowa jego zapamiętałem dobrze, iż odezwał się, kończąc:

— Jeżeli ufność macie w Panu, otrzymacie zwycięstwo. *Si habetis confidentiam in Deo, obtinebitis victoriam.*

Zaczem święty ów człowiek pokląkł, a potem położył się krzyżem i modlił, a gdy przyszło iść już na nieprzyjaciela, ująwszy krucyfiks w ręce, szedł przodem z nami, tak mężnie i spokojnie sobie poczynając, jakby jeszcze w kościele był, nie na bojowisku.

Wracając z kaplicy Św. Leopolda, król, który od wczora kropli wody w ustach nie miał, a sił potrzebował, musiał zasiąść pod namiotem, dla niego postawionym prawie w przodku szyku, poniżej zamku, gdzie mu obiad przygotowano, który spokojnym umysłem pożywał. Była godzina, myślę, około jedenastej na półzegarzu, kiedy wstał od obiadu.

Wdział był król na ten dzień uroczysty kontusz sukienny, niebieski na żupan biały, jedwabny; konia pod sobą miał maści płowej, bardzo dobrego i wytrwałego, pewnych nóg i wielkiej mocy, bo też miał co i nosić. Krom Pyladesa, który był przyjaciel, nie koń, i stworzenie rozumem obdarzone, takiego drugiego w całem wojsku nikt nie miał. Do samej nocy, idąc z królem po najgorszych drogach, nie utknął. Jechał koło króla jegomości, poprzedzając go, giermek z puklerzem, w kształcie herbowej Janiny, i chorąży z proporcem, do

którego przymocowano u góry, na znak przytomności królewskiej, pęk skrzydeł sokolich.

Królewicz Jakób prezentował się też kawalersko, w lekkim szyszaku na głowie, ze zbroją piękną na piersiach i szpadą u boku. Przyczepili mu wszakże po naszemu do siodła szablę krótką a szeroką, bo, gdyby sam bronić się potrzebował, szpadąby niewiele dokazał.

Obyczajem rycerskim, iż się bitwa z nieprzyjacielem za największą uroczystość liczy, każdy też brał, co miał najlepszego i przystrajał się a przesadzał w rynsztunku, rzędach, siodłach i zbroi. W chorągwiach niemieckich tegośmy zwyczaju nie postrzegli, ale u nas się to działo od wieka i przechodziło tradycją z ojca na syna, aby do bitwy stawać, jak do ołtarza, w paradzie. I wszystko się odbywało uroczyście dnia tego, począwszy od mszy świętej, benedykcji, pieśni pobożnych, które nucili chorągwiami wszyscy, prócz piechoty cudzoziemskiego autoramentu, aż do samego iścia i spotkania, które czyniono jako powinność wielką, z duchem do Boga wzniesionym i dobrą sprawą przejętym.

Gdy wszystko było w pogotowiu, wojsko z okrzykiem na całej linji w Imię Boże posuwać się zaczęło. W pośrodku stanął sam król, któremu zdano całkowite dowództwo i przykaz od cesarza samego, by jego ordynanse święcie spełniano. Książe lotaryński przysłał na ten cel do orszaku królewskiego dosyć swoich wojskowych, aby z ordynansami było kogo rozsyłać. Dział mieliśmy i niewiele, i małych; przeto, choć je na górze ustawiono, a ognia z nich dawano, kule albo nie sięgały Turków, lub mało co im szkody czyniły.

Byłem przy królu jegomości, gdy na koń siadał, i mogę zaświadczyć, bo na to własnemi oczyma patrzałem, że z niecierpliwości i tego pragnienia boju, jakie miał, gorzał wyraźnie. Wydawało się to na jego twarzy, która cała była jaśniejąca i na podziw rozweselona, promienista, jakby na największą szedł ucztę. Z góry już stąd cały porządek bojowy doskonale oglądać było można.

Turcy się prawie nie ruszyli, i zdawało się, że, nie zważając na nas, coraz zapamiątalej do miasta szturmują; zajęli tylko z wieczora samo podnóże gór pod zamkiem, w dziesięć do dwunastu tysięcy ludzi, których, ukrytych w głębokim rozdole, ledwie wierzchy chorągwi widać nam było, bo ich góra zasłaniała.

Od rana poczęły się już były na lewem skrzydle szarmycle, ale małemi kupkami, jakby na próbę, ze szczęściem różnem. Występowali do nich dragoni sabaudzcy, trocha Sasów i nasz też oddział z kawalerem maltańskim, Lubomirskim, marszałkiem naówczas nadwornym koronnym. Już żwawe były utarczki wprzódy, nimeśmy też my poczęli, a pułkownik chorągwi Lubomirskiego, niejaki Kiński, dostał szablą przez głowę od Turka tak szpetnie, mimo, że sobie zrana w czapkę włożył był podkowę od cięcia, iż we trzy dni potem Bogu ducha oddał.

Turcy tem zrazu Niemców oszukiwali, iż, wedle swego obyczaju, zsiadłszy z koni, potykali się, a dawszy ognia, koni znowu dosiadali, na których sądzono, iż uciekać myśleli, więc się jazda na nich oślep rzucała w gąszcz, a oni ją, obstąpiwszy, siekli, że ledwo kilku z życiem uszło.

Już, gdyśmy z królem naszym na konie wsie-

dli, bitwa się była na lewem skrzydle rozpoczęła na dobre, a i koło nas też pukano. Taki harc po tych górach, rozdołach i jarach wszczynał się coraz żywszy, że aż gorączka brała samemu tam wpaść i szabli też dobyć a pohulać; ale obowiązek za nogi trzymał.

Turcy się byli pozaszywali wszędzie między owe winnice, poza murki, w jary, w doły, a wyprzeć ich posterunki nie wszędzie było łatwo i krwi to naszej kosztowało dosyć. Aleśmy się posuwali wdół i całym ciężarem padaliśmy na nich zewsząd, jak grad z góry.

Prawie w samym bitwy początku spotkał króla i nas smutny *omen,* z którego, gdyby nie lepsze serce i ufność w Bogu, można było bardzo źle wróżyć o dalszych naszych losach. Chorągwią husarską ojca swojego, kasztelana krakowskiego, Jędrzeja Potockiego, dowodził zawołany rycerz, wypróbowanego męstwa i sławy już wielkiej a nadziei dla ojczyzny młodzieniec, starosta halicki. Znaliśmy go wszyscy z najpiękniejszych duszy i serca przymiotów, jako męża rycerskiego, któremu hetmańską buławę prorokowano, boć nie nowina była Potockiemu hetmanić. Ten to był, który zmłodu wiele już podróży odbywszy, z Włoch powracając do Belgji, ze statkiem prochami wysadzony został niedaleko miasta Brukseli, ale prawdziwie cudownie, za łaską widać tego św. Wincentego, którego ciało w Rzymie papież mu był ofiarował, salwował się z życiem, cało i zdrowo na kępę będąc wyrzucony. Gorącego temperamentu w potyczce, nie zważając na żadne niebezpieczeństwo, starosta halicki prowadził husarzy na okrutną rzeź, gdzie wielu godnych kawalerów

poległo i on sam, mimo koszuli żelaznej, którą był okryty, śmiertelnym strzałem nawylot rażony został. Znaleziono potem ciało jego wśród winnicy, z ręką na piersi, ale już zimne, które nieszczęśliwemu ojcu odwieziono i pogrzebiono w Stanisławowie.

Kiedy o tem znać dali, król aż zapłakał, bo go kochał, jak syna i wiedział, jaką to sprawi boleść kasztelanowi krakowskiemu; ale to w niczem jego męstwa i ufności w Bogu nie zachwiało. Szliśmy tedy naprzód, wciąż posuwając się, a raczej wdół, gdy przypadło drugie poselstwo, że wyprawiony przed pół godziną przez króla jegomości pan podskarbi nadworny, Modrzejewski, gdy z rozkazami przed linją przejeżdżał, od postrzału także zginął.

Tak się nam ten dzień od fatalnych klęsk poczynał, jak gdyby Bóg stałości naszej chciał próbować, ale i król, mimo żalu, i ks. Marek zagrzewali, ażeby choć do tego miejsca dotrzeć, kędyśmy wedle myśli królewskiej stanąć na noc obozem byli powinni. Gdyśmy się spuszczali coraz z gór, już i cała ona armja Kara-Mustafy pokazywać się nam zaczęła, odsłoniona, a było tego, jak mrowia, tak, że my, choć rozłożeni na przestrzeni znacznej, kupkąśmy się przy nich wydawali. Na samym skraju obozu stały siły główne tureckie, ku nam obrócone, chociaż inne tymczasem dobijać się do miasta i szturmować nie przestawały.

Od rana dnia tego skwar był tak okrutny, jak w kanikułę nikt nie pamiętał; słońce piekło, gdyby rozpalonem żelazem, że się nam szyszaki na łbach palić zdawały, a pot z koni i ludzi strumieniami się lał; pragnienia zaś nie było czem ugasić, ni człeku się czem orzeźwić.

Gdy tak posuwamy się pod tą spieką, jakby pod piecem rozpalonym, król skinął ręką na mnie, abym się zbliżył, i wskazuje ku husarzom na prawo, by co rychlej ruszyli się zajmować pogórek.

— Leć wasze do nich, a powiedz — woła — na Boga żywego, niech mi co najprędzej biorą ten garb, a wyforują to tałałajstwo tam z nory!

Od spodu bowiem kupa była Turków zasiadła i przyczaiła się.

Spiąłem ja Pyladesa, który tego dnia cudów dokazywał, i pocznę sadzić; ale spadzistość miałem na drodze tak wielką, iż myślałem naprzód, że koń padnie, potem, że ja mu na łeb polecę. Na grzbieciem mu się kładł, by usiedzieć. Gdzieby był człowiek innym razem ledwie się stępa ważył, tu było w cwał potrzeba. Ciężar jeźdźca i broni zdawał się konia przygniatać, ale ten nieoszacowany Pylades wyrywał mnie ze wszelkiej toni; jam się, przeżegnawszy, modlił, on swoje robił. Tuż wpadam na husarzy trzeci szereg, alem się utrzymać nie mógł i poleciałem do pierwszego. Znalazłem się więc razem z nimi, którzy, nie czekając rozkazania, na Turków wsiedli podczas samej bitwy. Tłukli ich dobrze. Wzięła i mnie tedy chętka, bo cóż, miałem być nieczynnym spektatorem i martwym rozkazodawcą? Puszczę się w kupę z drugimi między one kaftany i pozawijane łby, a dobywszy szabli i zrobiwszy nią krzyż w powietrzu, kiedy nie pocznę siec w lewo, w prawo, nie patrząc! A mój koń też, poczuwszy, co to za gra, gryzie sobie i chwyta, co napotka!...

Turek bestja, olbrzym ogromny, w czerwonym kitlu, zakasawszy rękawy, z nożem w zębach od zapasu, sadzi na mnie wprost, krzywego handża-

ra podniósłszy; ja też nań. Płatnę go raz, tylko świsło w powietrzu, nic... zgiął się tak na siodle i położył, jakby go na szkapie nie było; aż znienacka pochwyci się, podniósłszy, i przyskoczy do mnie wraz z koniem, gdym wcale nie był gotów.

Tylkom się przygiął, myśląc sobie: „Tu mi dopiero koniec!“ Aż Pylades ze mną przeciw niemu kiedy nie chluśnie, potem pyskiem za gardło poganina, który się podał nieco, i ścisnął go tak, że mu szabla z rąk na ziemię wypadła, umarłemu. Tak mnie to poczciwe, rozumne zwierzę od niezawodnej śmierci salwowało swojem męstwem i roztropnością. Nie było czasu koło trupa chodzić, choć wydał mi się jakiś znaczny komendant, tylkom trochę zlazł, by mu żeber pomacać; ano niedarmo, bo za pazuchą kiesę napytałem dobrą, i zegarek złoty, wielki, jak rzepa. Tom tylko wziął, — siadłem na koń i dalejże znów, choć miałem przykazanie, wydawszy ordynans, powracać zaraz; ale już, pot poczuwszy, głowę straciłem. Puszczę się raz jeszcze w tłum; natyka mi się właśnie Nałęcz, jakby mnie Opatrzność dla niego zesłała: z ręki mu krew chlusta, a bije się ostatkiem sił. Bryzgnęło na mnie krwią, aż mało mi oczu nie zalało, i całą twarz miałem umazaną. Dwóch Turków na nim siedziało, a bronił się im, nie było co rzec, bardzo rycersko. Wtedy ja, choć niebardzo miłemu, ale bratu mojej panny, na odsiecz wedle powinności chrześcijańskiej pośpieszyłem. W samą porę, bo słabł od utraty krwi. Z boku z Pyladesem przyskoczyłem, i jednego z pogan poczęstowałem tak pięknie zaraz, że się mi aż do ziemi pokłonił. Nie czekając więc, przesadziwszy trupa, szedłem na drugiego i płatnąłem w ramię; Nałęcz

też go pobłogosławił, aż padł. Odwróciwszy się, chorąży mnie dopiero poznał.

— Co tu waszmość robisz? — rzecze — anom ci życie winien...

Chciał, jak siedział, ściskać, ale rękę mu tylko podałem, a widząc, że krew uchodzi z rękawa, jakby butel odetknął, związałem chustą, którą miałem u pasa, i wołam, by ustępował, bo i mnie też wielki był czas powracać do króla.

— Do żywota ci tego nie zapomnę — rzekł, całując mnie. — Poczciwieś począł!

Jużem milczał, rzekłszy tylko:

— Niema za co dziękować.

— Anom myślał, że mnie w rzeczy samej Pan Bóg prowadził na to szczęśliwe spotkanie.

Chciał jeszcze chorąży zostać ze swymi, ale ręki tak, jak nie miał. Wziąłem go z sobą i pojechaliśmy, gdzie stał król, a on na tył do wozów, bo, mimo obwiązania mojego, cyrulik był koniecznie potrzebny. Ani chlebem tam, ani pajęczyną takiej rany zatkać nie było podobna.

Właśniem do króla powracał na to miejsce, do którego był przez ten czas doszedł, gdy czerwony namiot wezyrski (pod którym, jak później się okazało, wtenczas właśnie wezyr z dwoma synami swymi i hanem tatarskim wespół kawę pił) król ujrzał przed sobą. Oczy mu się zaraz zapaliły, spiął konia co prędzej naprzód; my też wszyscy za nim. Ręka mu drżała, gdy na ten czerwony daszek wskazywał. Było przy nas nie więcej nad trzy małe działka, które powoli podtaczano na kółkach, z biedą wielką ustawiając tu i ówdzie, bo ich inaczej po górach przewieźć nie było podobna.

Król do mnie, ujrzawszy namiot, odwrócił się, patrzy (a miałem całą twarz we krwi) i woła:

— A gdzieżeś się tak umalował?

Dopiero postrzegł i ja, że cały byłem pomazany przez Nałęcza, i począłem się uśmiechać.

— N. Panie, nie moja to jeszcze krew, chociem trochę z husarzami poharcował.

Pyta:

— I zdróweś?

— Nic mi, N. Panie, ani mnie drasnęli.

— To dobrze. Lećże, mój Mroczek, na rany Chrystusowe, do naszych działek, niech mi wszystkie walą w ten oto, widzisz, czerwony daszek. Za każdy strzał pięćdziesiąt talarów dam, by gęsto a raźnie! Niech dobrze celują, proś Francuza, zaklinaj!

Francuz był przy tych działach, Murié, aleśmy go zwali Marmurek, bo miał twarz od ospy tak popsutą, że wydawała się, niby żyły na marmurze.

Jużem się kopnął z miejsca, a król jeszcze za mną woła:

— Na krew Pańską, powiedz Francuzowi, niech nie odpoczywają, a do czerwonego namiotu walić!

Lecę tedy na złamanie karku, wprost do tych dział z rozkazem, i trafiam na największy zamęt: rozstąp się ziemio, nie ma flejtuchów do nabijania. Rozsyłają po obozie, by ich dostać, bo się w porę nie zaopatrzyli. Powiadam Francuzowi owo poselstwo królewskie i o talarach obiecanych; skręcił się, gorąca sztuka. Patrzę, porywa się za łeb, zerwał sobie perukę, bierze rękawice, chustkę z szyi, ano i tego mało, wyrwał z pluder pakę papieru drukowanego, skręcił to wszystko razem i w działo wpakował. Uśmiałem się z Francuza i jego go-

rączki, choć nam tam nie szło wówczas do śmiechu; ale kula, znać niedobrze wycelowana, poszła, djabli wiedzą gdzie, razem z peruką Francuza.

Szło tedy dalej wojsko, padając z tej góry na nieprzyjaciela, coraz szybciej; nadeszły w tym punkcie piechoty nasze i zawzięła się bitwa okrutna, na którą król patrzał, nieustannie rozsyłając gońców w różne strony, a pobudzając wszystkich do czynienia powinności. Sam też naprzód się darł i pędził, że go ledwie utrzymać było podobna i z nim zrównać. Mimo skwaru okrutnego i znużenia, dziwnie się zdawał rzeźwym i wesołego oblicza.

Byłem raz jeszcze wysyłany do hrabi Maliniego, który razem z koniuszym koronnym szedł na Turków przodem, by to wzgórze zajmował, które pierwszego dnia za metę i spoczynek wyznaczone było. Powróciwszy, stałem już u boku królewskiego znowu, gdy jakoś wprędce ujrzeliśmy, że się stało wedle ordynansu, a wojska nasze zajęły łatwo oznaczone miejsce i tu przystanęły, jak rozkazano było. Król plasnął w ręce i konia sparł. Pośpieszyliśmy ku nim. W dole, pod nami, srogi trwał bój.

Dotąd, a było już nad wieczorem, Turcy nam opór dzielny stawiali i ani myśleli pierzchać. W chwili, gdyśmy przybyli na skraj góry, król konia wstrzymał i począł się mocno wpatrywać.

Poglądaliśmy i my, i wszyscy tam zgromadzeni dowódcy wojsk cudzoziemskich, ale nikt nic nadzwyczajnego nie dopatrzył, żadnego szczęśliwego ani złego znaku; tylko królewskie oko, bystrzejsze, nawykłe do tureckich wojen i ich sposo-

bu poczynania, czyli też jakąś osobliwszą łaską bożą oświecone, więcej od wszystkich dopatrzyło.

Jak stał król, tak nagle ruszył się, rękę podnosząc do góry:

— Niech będzie Imię Pańskie błogosławione! — zawołał — Bóg z nami! Pierzchną, złamani są! Husarzy naprzód! Husarzy, na miłość Chrystusa, naprzód!

Że wprzódy wydany był rozkaz, ażeby tu stanąć i spocząć, aż do jutrzejszego rana, wszyscy się dziwili niepomału, ale wnet, posłuszni, rozbiegliśmy się z nowym ordynansem.

Król, nie zważając na zdziwienie powszechne, bo tam, oprócz niego, nikt nic osobliwszego między Turkami nie dopatrzył, ciągle powtarzał:

— Na rany Chrystusowe, teraz pora, lub nigdy! Do jutra się opamiętają. Teraz im na kark wsiąść, kto w Trójcę Świętą wierzy!

Ta ufność, z jaką król ciągle jedno a jedno powtarzał, i po polsku, i po łacinie, i po francusku, tchnęła też we wszystkich jakąś wiarę niezmierną; ogarnęła chęć walczenia, męstwo i gorącość nadzwyczajna każdego; ruszyli się wszyscy, każdy sobie, żywo a mężnie.

Pchnął król zaraz jednego z oficerów księcia lotaryńskiego do niego o posiłki, drugiego do husarskich chorągwi, by na łeb na szyję szły naprzód. A tu w istocie na skręcenie karku jazda iść już musiała, bo przez takie wertepy z góry na dół, po murkach, przez winnice, nierównym strasznie gruntem, że się tam innego czasu ledwie pieszemu człowiekowi można było na nogach utrzymać. Zdawało się, że to wszystko pospada; przecież ludzi, bodaj nawet konie, jakiś duch ożywiał, które-

go nikt nie pojmie, kto go w sobie nie uczuł. Waliło się to z odgłosami, z okrzykami radosnemi, a ochotą i sercem tak wielkiem, żeśmy się sami nie poznawali.

Król też nie pozostał w miejscu, i z wojskiem, które miał przy sobie, ruszył z impetem wielkim; ks. Marek z krzyżem przy nim. My wszyscy, dwór, straże, puściliśmy się ku samemu środkowi wojska wezyrowskiego. Tylko, nimeśmy ruszyli z tego miejsca, król, przyzwawszy do siebie hrabiego Maliniego, szwagra swojego, człeka mężnego i statecznego w boju, oddał mu królewicza Jakóba, by był nieodstępnie przy jego boku; sam zaś, przeżegnawszy się, z rozweseloną twarzą konia spiął — i poszliśmy, jak w otchłań, na to pogan mrowisko.

A była to owa chwila stanowcza, w której nam Bóg dał zwycięstwo. Wszystko winno było wojsko jednemu temu wejrzeniu i natchnieniu króla, który dalej i lepiej, bo proroczo widział, gdzie dla drugich ciemno było, a sam tylko przeczuł ową jasną przyszłość, która nam zgotowana była.

Wstąpił taki duch we wszystkich, taka gorącość i ufność w pewne zwycięstwo, że, choć na dziesięćkroć liczniejszego szliśmy nieprzyjaciela, jużeśmy w sercach czuli, że go złamiemy. Od tego rozkazu posunięcia się naprzód zależało wszystko: los dnia, stolicy chrześcijaństwa może, a sławy naszego oręża.

Husarze z pod chorągwi królewicza Aleksandra poparli przodem w sam środek wojsk Kara-Mustafy, i przełamali je zaraz. A tu już słów zaprawdę brak, by opisać, jak się reszta dokonała, bo w tej zamieszce, wrzawie i weselu onego nie-

słychanego, a gwałtownego tryumfu, człek ani się rozpatrzyć, ani mógł opamiętać. Tośmy tylko przed oczami mieli, że otrzymujemy zwycięstwo, że się nam nic oprzeć nie potrafi. Król był jakby rozpromieniony, jasny, a dyszał i oczyma stał się cały; ksiądz, podnosząc krzyż wgórę, śpiewał już natchniony: *„Te Deum laudamus"*. Już nas wszystkich jakaś moc nieziemska prawie unosiła.

Nie było czasu dawać i odbierać rozkazów, samo się to już składało doreszty. Przed naszymi husarzami, jako wymiótł, pierzchało wszystko, a skoro pierwsze chorągwie tureckie tył podały, stał się niewypowiedziany popłoch i tumult w wojsku nieprzyjacielskiem, a trwoga taka, jakby sam Pan z niebios na nich zstąpił. Rzesze te niezliczone waliły się, cofały, uciekały, rzucając oręże i krzycząc, potraciwszy głowy i przytomność wszelką. Namioty gruchotano, pole uścielało się trupami, konie po ciałach żywych i zabitych, po targających się i obalonych rumakach, po wszelkim rynsztunku, nagromadzonym kupami, przeskakiwały. A tu, kto chciał, mógł sobie uczynić zadosyć, bo ledwo dziesiąty z Turków odwrócił się a odciął, reszta, parta całemi masami, uciekała, nie wiedząc dokąd, w najstraszniejszej rozsypce. Tu i ja straciłem wszelką przytomność, dostawszy tej, co i drudzy, gorączki. Puściłem się naprzód, koniowi wodze podawszy, począłem siec i rąbać, co się nawinęło. Ani wiem, gdziem był i co robił; tyle tylko pamiętam, że mnie Pylades niósł do góry i na dół, takie skoki czyniąc, iż się cudem na kulbace utrzymałem.

Jednym razem czuję, mimo ciągłego gorąca, które jeszcze nie ustawało, w nodze lewej, jakby

mi kto ukropu nalał do buta. Zdziwiłem się, co tam piecze; dopieroż spojrzę, a but pełen krwi i leje się już przez wierzch. W tem zamieszaniu płatnął mnie ktoś w udo tak szpetnie, i nie poczułem wcale aż do tej pory.

Więc stanąłem, myśląc co począć. Jeszcze nie osłabłem, ale mi w oczach coś latać poczęło, jakby obłok biały się przesunął. Drganie tylko pod sobą konia czuję i tyle. Potem sunę się z siodła, chwytam i utrzymać się nie mogę — siły pas. Mruknąłem tylko: „W ręce Twoje, Panie, oddaję ducha mego", i przytomność postradałem.

Była już noc, kiedym oczy otworzył i zmysły odzyskał, budząc się, jakby ze snu. Zaraz uczułem boleść wielką w udzie, jakby mi kto całą nogę skrępował. Obracam oczy — słabo coś świeci; macam wokoło — leżę, jakby na pościeli czy na wojłokach.

— Jest tam kto? — pytam.

Aż głos słyszę Grzesia:

— Jam tutaj.

— Chwałaż Ci, Panie! A co się tam dzieje?

— Nic, wszystko dobrze, panie — rzecze. — Pan Bóg dał wielkie zwycięstwo, takie, jakiego jeszcze oko ludzkie nie widziało i pamięć najstarszych ludzi nie przypomni. Obozujemy już na tureckich namiotach, a król nasz i pan tak wyrósł przez dzisiejszy dzień, że mu już ludzie ledwie do nogi dostają, a chwalą, całują, a wielbią, a na rękach noszą, boć to wszystko jego jest dzieło.

— Chwała niech będzie Panu — rzekłem — a cóż ze mną? Czemu tu leżę? Co się z koniem stało?

— Oj — zawołał Grześ — toście też podobno

swemu koniowi życie winni, bo gdyście się z niego zsunęli, wiele krwi utraciwszy, stanął nad wami, rozparłszy się, i nikomu przystąpić nie dawał, dopókiśmy was nie znaleźli; gryzł a rwał się, obraniając, by was nie stratowano. Ano, teraz śpijcie spokojnie, jesteście w namiocie i pośród swoich.

Ale mi się na sen wcale nie zbierało, tak ciekaw byłem dalszej historji bitwy, której części tylko dano mi być świadkiem, i onego wielkiego zwycięstwa, jakiem nas Pan Bóg obdarzył.

Pytam tedy Grzesia, kto mnie tu zanieść kazał i umieścić? Powiada, że sam król miał to staranie, a że się wojsko niezmiernym łupem żywiło, więc król i o tem pamiętał, abym i ja też miał część swoją, i naznaczył mi ten namiot, w którym leżałem, nieopodal od wezyrowskiego, około którego sam król nocował, i postawić kazał straż, by się z niego nic nikt tknąć nie ważył, a cokolwiek w nim było, moją stać się miało własnością.

Zdziwiłem się temu jeszcze więcej i rzeknę:

— A cóż tu ma być w tym namiocie? Wojłoki i drelichy, lub też jaka stara kulbaka; niestraszny-ć łup...

Grześ na to, głową potrząsając, rzecze:

— Spojrzcie-no, co koło was stoi!

Patrzę, skrzynia lekka, taka, jaką na mułach i wielbłądach w podróży przymocowują. Podniósł Grześ trochę wieko: pełna mi się wydała jakichś worów skórzanych i różnego kruszcu. Myślę sobie: „Niech to mnie nie korci".

— Zamknij — rzekłem — niech to będzie na potem.

Chciałem już sam usnąć, ale drzemać ani myśleć nie mogłem; coraz to się o coś pytać chciano.

Dokoła gwar, wrzawa obozowa, szmer, gdyby w ulu, a z pośrodka niego wyrwie się czasami krzyk, jak pchnięcie noża ostry. Człek się zerwie i ledwo głowa na wezgłowiu, znów coś go budzi.

Była taka chwila, że zdała mi się dniem sądnym. Przymrużyłem oczy. Jednym razem ziemia się wstrzęsła pod nami, namiot, łoże; przez wszystkie szczeliny światło poszło, jako we dnie; potem huknęło, jakby się świat cały walił z nami — a tu naraz cisza znowu i ciemność. Nie wiedziałem, co myśleć, tylkom sądził, że całe wojsko bezmała wysadzili Turcy miną w powietrze, i drżałem. Grześ padł na ziemię struchlały. Czekamy, nic... cicho. W dobre ćwierć godziny, gdym go chciał wysyłać na wywiady, podnosi się płotek u namiotu i wchodzi pan Konstanty Dychawka, szlachcic Podlasiak, z pocztu pana Strzyżewskiego, blady, jak chusta. Słyszę, pyta:

— Tu Mroczek?

— A tu — powiada Grześ — i zaraz: panie, co się to stało?

— Nic się nam nie stało, krom bardzo wielkiej szkody, a osobliwego widoku, jaki mieli ci, co na to patrzyli. Sam król jegomość, choć deplorował stratę, ale mówił, że pragnął raz w życiu tak straszliwe mieć widowisko. Proch ciury wypadkiem zażegli, i wyleciało go w powietrze tyle, że byłoby czem i Wiedeń wysadzić.

Zobaczywszy Dychawkę, nie chciałem go już puszczać, żeby mi opowiadał, jakeśmy dokonali wiktorji. Dopiero od niego nieco, a nazajutrz dowiedziałem się reszty od innych, jak on cud się stał.

Było zaś tak: Począwszy od mojego spadnięcia

z Pyladesa, kiedy się chorągiew husarska królewicza Aleksandra wparła w sam środek armji wezyrowskiej i onę złamała, wszyscy Turcy, jakby ich ręka boża tknęła i popchnęła, rzucili się uciekać, potraciwszy głowy. Naprożno Kara-Mustafa usiłował ich wstrzymać, zaklinając na imię proroka: uchodziło to, gnane miotłą Pańską. Wezyr obrócił się do hana tatarskiego, Gieraja, żeby mu ten posiłkował, ale i han swoich nie mógł powściągnąć.

— Znamy — rzekł — tego króla, nie ma z nim innego ratunku, chyba w śpiesznym odwrocie.

Tatarowie też zaraz poszli precz, gdzie i jak mogli. Wezyr starał się jeszcze zgromadzić trochę swej jazdy, ale husarja z kopjami łamała tak szyki, iż niepodobna było oporu stawić. Powiadali później jeńcy odbici, co tam byli, iż, zapłakawszy i uścisnąwszy synów swych, których z sobą miał, wezyr, nie mogąc ciężkiego konia, całego w żelezie, który dlań przygotowany był do tryumfu, dosiąść, dopadł prostej szkapy, jaka mu się nawinęła, i umknął z innymi, w jednym kaftanie, jak stał.

Widziałem później tego konia, który się królowi dostał; cały był ze staroświecka okryty blachami żelaznemi, nabijanemi złotem, roboty bardzo misternej; cugle ze sznurów karmazynowych, jedwabnych, siedzenie także i dywdyk. Ze strzemion złotych jedno się tylko królowi dostało, które mu, nalazłszy, przyniósł Turek jakiś, i to podobno zawieszono, jako wotum, w Krakowie, przed cudownym Chrystusa ukrzyżowanego wizerunkiem.

Ponieważ, jak się to wyżej powiedziało, lotaryńskie książę, które lewe skrzydło wiodło, bliżej

zaszło było na Turków, a ci już, złamani, uchodzili, przeto i Niemcy wprzódy od nas obóz opanowywać zaczęli. Około wpół do siódmej na półzegarzu król wtargnął samym środkiem, kędy stały wezyrowskie namioty. Zaraz mu tedy, jako zwycięzcy, młody Turek poddał onego konia wezyrowskiego, osiodłanego, jakoby nań czekał tylko. Inni przyszli ukazywać, gdzie były główne namioty Kara-Mustafy i wyprawiono jazdę, aby je zajęła, bo się niedarmo wielkich łupów spodziewano, i bał się król, żeby wojsko się dla zdobyczy nie rozprzęgło, a Turcy na rozproszonych, opamiętawszy się, nie wrócili. Kazano więc stać wszystkim w gotowości do boju i nie tykać niczego. A był ten obóz i samo owo wezyra mieszkanie w nim, istnym cudem.

Jednakże gawiedzi, ciurów i pachołków tegoż wieczoru od łupieży nie było można wstrzymać. Wszystko stało otworem, a skarby niezmierne były i osobliwości. Jeszcze nasi, jak nasi, ale około namiotów egipskiego baszy, Dunwal dobrze się, słyszę, pożywił i obłowił tejże nocy. Opowiadał Dychawka, com też nazajutrz oczyma własnemi oglądał, iż Turcy, widząc się zgubionymi, wielkie na więźniach i kobietach, które z sobą mieli, popełniali okrucieństwa. W namiotach, około wezyrowskiego, pełno było niewiast z poucinanemi głowami, z poprzebijanemi piersiami, pozabijanych lub poranionych strasznie, które potem leczono i kilka z nich się przy życiu utrzymało.

Jedno chłopię, bardzo śliczne, ale szkaradnie porąbane, przyprowadzono też królowi.

Kiedyśmy już około siódmej obóz zajmowali, do Wiednia jeszcze z dział tureckich strzelano; wi-

dać, że mieli rozkazanie takie, aby się trzymali do końca, i było tego do dziesiątej w noc. Książę lotaryński przysyłał do króla jegomości, ażeby stamtąd Turków wyprzeć, ofiarując się dokonać ostatka; ale król dla sławy swej im nie dopuścił, rozkazując tylko obóz objąć cały. Wśród nocy janczarowie, widząc, że ich porzucono, sami przekopy opuścili i z aproszów uciekli.

Mówił Dychawka, że król, Bogu podziękowawszy, okrutnie znużony, pod drzewem, które stało niedaleko, położył się na spoczynek, kulbakę wziąwszy pod głowę, choć miał namioty wygodne, ale znać wojsku chciał dać z siebie przykład. A że już później od Wiednia droga otwarta była, zaraz Staremberg przysłał królowi kolację pod drzewo, win, cukrów i innych przekąsek.

Z przekopów reszta Turków w tej ciemnej nocy tak uszła, iż się nikt nie opatrzył pośród powszechnej zamieszki. Znaleziono potem tylko dwudziestu trzech janczarów w murowanej kamienicy, która była postawiona na wzór Solimanowych oficyn, a ci się długo odstrzeliwali, aż póki na imię królewskie nie zdali się, darowani życiem i mieniem.

Przegadaliśmy z Dychawką duży czasu kawał, blisko do dnia; a spisywać trudno wszystkiego, co się tego wieczoru i następnego rana działo na porzuconem przez Turków obozowisku, które poczynano szarpać, każdy sobie.

Obudziłem się dodnia, bo koło namiotu wrzawa była taka, że usnąć nie dawała. To ten, to ów wbiegał z plotką, a ciury przychodziły ze wszelaką zdobyczą, którą byle za co sprzedawali. Tuż mi się trafiło, że jakiś drab, nie wiem nawet z pod ja-

kiej chorągwi, wpadł do mnie, trzymając w ręku pas, cały sadzony kamieniami białemi, nie naszym obyczajem zrobiony, ale dosyć kształtny. Jemu, jako i mnie zdało się, iż szkła to były krzyształy, foremnie rzezane; a do czego taki pas miał służyć, trudno było odgadnąć. Powiada, że chce sprzedać. Zrazum i kupować nie myślał; potem, gdy się napierał, rzekłem sobie w duchu, że dla osobliwości podczaszynie go zawiozę w podarku. Dałem tedy kilka talarów onemu drabowi, a pas kazałem rzucić do skrzyni i więcej o tem nie myślałem. Dopiero nierychło, gdy po obozie różne rzeczy rozpowiadano, mówi mi Ślaski o pasach diamentami sadzonych, których wiele znajdowano w namiotach, że ich kilka król kupił. Ja mu na to:

— A to może i mój też diamentami sadzony.

— Gdzie? Pokaż!

Dobyliśmy — ano w istocie się okazało, że, choć diamenty nie były najpiękniejsze, przecie nie co innego, tylko one. Co siodeł bogatych, makat, sukna, materyj, broni i różnych osobliwości nabrano, wyliczyć niepodobna.

Czułem się mimo rany tak nieźle, żem mógł pomyśleć, co dalej czynić z sobą. Bo długo tam w tym namiocie pozostać nie było można: król dalej w pogoń za Turkami chciał iść, a na łasce Niemców nawet rannych nie można było zostawić, taka zaraz po tej wiktorji okazała się niechęć i zazdrość, żeśmy im z przed nosa zwycięstwo wzięli. One dawniejsze czułości dla nas, grzeczności, zalecania, mało nie tej samej godziny zmieniły się w zawiść i otwartą nieprzyjaźń. Ile król na tem ucierpiał, nie tu pisać. Następnego ranka (to jest zaraz po zwycięstwie) wybrał się, jak mi powiada-

no, do Wiednia, aby tam w kościele Panu Bogu złożyć publicznie dzięki za pobłogosławienie orężowi naszemu. Tu go jeszcze ludność przyjmowała, całując po nogach, cisnąc się, aby oblicze jego oglądać mogła; ale już starszyzna hamowała.

Zpołudnia próbowałem się ruszyć; szło ciężko, alem się przekonał, że na wozie za wojskiem pociągnąć będę mógł, bom zostać nie chciał w żadnym razie, czekając w ostatku rozkazania królewskiego.

Tego dnia dopierośmy wszystkie straty nasze obliczyli, ilu nam godnych ludzi nie stało: ten zabity, ów kaleka, inny nie wiedzieć, jako i gdzie się podział, tamtego odszukano. I tak cały dzień. Od Turków też przyszły wieści, bo ich ścigał Miączyński, że precz z całą armją poszli, nie pytając reszty. Tu się tedy rozbijały zdania, co król uczynić powinien i co zrobi? Ma-li zaraz, ocaliwszy stolicę, do domu powracać, czy iść dalej i bić się jeszcze? Było wielu takich, a wielkich statystów, którzy utrzymywali, że nam, poselstwa naszego dopełniwszy, koniecznie do siebie na swe śmiecisko iść było potrzeba, a kto wie, czy, ewenta późniejsze zważywszy, nie było to najlepsze.

Król z rana pojechał oglądać przykopy, miny, obozy, potem na nabożeństwo do miasta, gdzie go gubernator przyjmował, a nad wieczór powrócił, ekspedjując na wsze strony listy i posły, oznajmując o zwycięstwie, szczególniej do Ojca Św. do Rzymu i do innych chrześcijańskich monarchów. Tu mnie też to szczęście spotkało, że, jadąc do wezyrowskiego namiotu, zsiadłszy z konia, gdy mu ktoś powiedział, że Mroczek leży blisko, wszedł sam osobą swą pod namiot mój, kiedym się wcale

tego spodziewać nawet nie mógł. Nie chciałem zrazu oczom mym wierzyć, gdy go ujrzałem. Twarz miał pan rozpogodzoną, spokojną, ale znać było, że nie bez troski o jutro.

— Cóż ty myślisz, nieboraku, hę? — rzekł do mnie. — Płatnął cię dobrze poganin. Ale to nic wyliżesz się, mospanie, z tego, a będziesz miał pamiątkę poczciwą i przypomnienie miłe, żeś ze mną był na tych godach. Ale ja tu długo popasywać nie myślę — dodał — ruszymy dalej. Waćpanu zaś za wojskiem wlec się, rannemu, niema poco, ani tu zostawać nie życzę. Więc zbieraj się, jeśli możesz, a siły czujesz, do domu.

Podziękowawszy za łaskę królowi, że o mnie, mizernym słudze swym, raczył nie zapominać, rzekłem, że uczynię, jak mi rozkaże. Król pomyślał nieco:

— Posyłam ja tam — rzekł — do królowej z darami; jedzie kilku posłańców. Przyczep się waszmość do nich, bo nie masz tu co robić. Doktora przyślę, żeby cię opatrzył.

Jakoż w istocie, nad wieczór przyszedł Włoch od króla, Pecorini, który moją nogę opatrywał, ranę znalazłszy nie tak straszną, ale z utraty krwi osłabienie wielkie. Przewijano mi nogę, co nie przyszło bez boleści wielkiej. Dopierom i ja sam się przypatrzył, jak mnie poczęstowano. Płatnięty byłem w udo szpetnie bardzo; szczęście, że cięcie głębokie, zaraz jakoś waląc się z konia, tak uciśnąłem, iż się rozpadłe ciało zeszło, a że rana była świeża a krew młoda, więc się spoiło to, co szabla rozpłatała. Dał mi Pecorini balsam jakiś do przykładania na ranę, kazawszy ją obmywać i patrzeć, aby czysto zawsze utrzymywana była

i niczem jej nie zaogniać. Stało mi go mało nie do domu, a potem się już innemi od cyrulików maściami, choć mniej skutecznemi, wygajało.

Dowiedziałem się też dnia tego, że pan Nałęcz leżał, nie lepiej wyszedłszy, niż ja, z tej bitwy, i że go też do domu odsyłać miano. Niewiadomo z czego, pochwyciła się go była później gorączka mocna, tak, że przez kilka dni ludzi nie poznawał, i dziwy tam o tem pletli, że nań czary jakaś Turczynka rzuciła. Ja, czując się wcale, jak na rannego, niezgorzej, a myśląc już o podróży, bo tu po odciągnieniu króla i wojska pozostawać nie było czego, jąłem się zaraz wozy sztyftować, mając z łaski królewskiej, choć sam za zdobyczą nie chodziłem, łup cale od drugich nie gorszy. Opatrywałem ową skrzynię i znalazłem w niej ze trzy tysiące czerwonych złotych monetą, różne kosztowności, kulbakę sadzoną, piękną, strzelb kilka, żegarek, słowem, dodawszy do tego, com wprzódy zdobył, miałem za co ręce założyć. Koni też po Turkach, co je łapano wówczas, cztery kupiłem za bezcen i wóz drugi do rzeczy dostałem łatwo. Namiocik, pod którym leżałem, dla pamiątki zwinąć też kazałem, aby nie przepadł. Podlejszych tego dnia i następnych można było dostać za „Bóg zapłać“, ile kto chciał, bo nie wiedzieli już, co robić z niemi.

Ten dzień mnie, mogę powiedzieć, tyle prawie zmordował, co sama bitwa; bo się ze wszystkiem potrzeba było pośpieszać, a sił nie miałem wiele i ludzie spoczynku nie dawali. Dychawka mi doniósł, że między innymi i pana Florjana nie stało, bo padł od postrzału jeszcze w winnicach, i dopiero nazajutrz ciało, odarte szkaradnie przez ciurów,

z piersią nawskróś przestrzeloną i głową posiekaną, znaleźli słudzy. Zmówiłem zań Anioł Pański, nie myśląc się cieszyć, choć mi Pan Bóg w nim nieprzyjaciela wziął.

Ponieważ po spodziewanem odejściu króla z wojskami naszemi, które nazajutrz nastąpić miało, niepodobna było dłużej na obozowisku pozostać, a nie mogłem też zaraz i w drogę ruszyć, musiałem się dać przewieźć do Wiednia, dopókiby wszystko do podróży nie było gotowe, i ja też z moją raną. Przejeżdżam na wozie ono pole ogromne, zajęte przez obóz wezyrowski, tak cudownie zdobyty, a choć tędy przeszły już ręce grabieżników, jeszcze to, co pozostało, napełniało podziwieniem. Z jaką się wspaniałością i wygódkami wybrali byli Turcy na tę wojnę, wysłowić i opisać trudno: wezyrowskie namioty miastem prawie były niemałem, z ogrody, fontannami, zwierzyńcem i wszelakiej fantazji dogodzeniem. Toż baszów innych, choć mniejsze, ale wspaniałe mieszkania, seraje, w których trupy tylko kobiet znaleziono; nareszcie pospolitego żołnierza namioty rozlegały się na niezmiernej przestrzeni, tak, że brał je potem, kto chciał. A co nasi łupów, komu szczęście posłużyło, nazdobywali, nie wypowiedzieć. Byli tacy, co się zbogacili; królowi też niemałe skarby i różne osobliwości stąd przyszły, broni kosztownej, kamieniami sadzonej, rzędów, siodeł, dywdyków, opon, kobierców, namiotów, bez miary.

Ledwie się dokonała sprawa nasza, a Turcy pierzchnęli, zaraz inny wiatr począł wiać od dworu cesarskiego i Niemców, którzy się z tem nie kryli, że nas krzywem okiem widzieli, zazdrościli,

i, zamiast wdzięczności, zawiścią jakąś tchnęli. Było to tak widoczne i królowi i całemu wojsku, że omylić się niepodobna. Mnie też tu wśród niegościnnych Niemiaszków długo się nie chciało siedzieć, a jak — skoro król odciągnął — Pecorini, który z polecenia jego do mnie zaglądał, osądził, że jechać mogę, kazałem wozy sposobić, a sobie mój węgierski wysłać, tak, abym leżeć mógł, i w Imię Boże ruszyłem się, już nieco lepszemi drogami, ku Krakowowi. Co się po gościńcach spotkało, nie wymieniam; co po gospodach doświadczyło, niech Bóg nie pamięta ciurom, których wszędzie było pełno, a z którymi się o nocleg drzeć i codzień prawie rozprawiać przychodziło na szable. Dużo leniwych i rannych, jak ja, wracało do domu, a większa część nie próżno, bo ci, co najmniej się bili, łupili najlepiej.

Chociaż miałem Grzesia z sobą i dwóch ludzi wziąłem od przyjaciół dla bezpieczeństwa, gdyby nie pan Paweł Parczewski z pod chorągwi wojewody pomorskiego, który miał z sobą trzech pocztowych, mało co poranionych a rzeźkich chłopaków, całobyśmy nie wyszli, i my, i juki, i wozy. Gorzej było po gościńcach, niż z Turkami pod Wiedniem, od wszelkich włóczęgów, którzy nikogo nie poszanowali.

Lżej odetchnąłem, gdym naostatek Wawel i wieże P. Marii zobaczył, gdy wozy moje weszły do gospody i jam też, zniósłszy rzeczy, roztasował się w izbie wygodnej i bezpiecznej, aby się doreszty wygoić, nimbym do domu się dostał.

Parczewski poszedł po doktora. Było nas takich czterech, cośmy jego rady potrzebowali: ja, on i dwóch szlachty, co z nami jechali. Moja rana

w drodze się od niewygód zaogniła mocno, jako też innym, i mięso psuć się poczęło, bo nie umieli koło tego chodzić. Musieliśmy tedy o sobie myśleć.

Napisawszy do pana Jacka, jakom żyw i co się tu ze mną dzieje, zażywałem wczasu, o ile choroba pozwalała. Mogę też powiedzieć, że od przyjazdu do Krakowa gęba się i drzwi nie zamykały. Procesją szli do mnie i znajomi i nieznajomi, rozpytując, bo naówczas mało co jeszcze wiedzieli o wyprawie naszej a zwycięstwie. Bałamuctw się też i srogiego łgarstwa namnożyło, tak, że, ktoby był wszystkiemu wierzył, w głowieby mu się zawróciło. Tryumfowano po kościołach, odprawowano nabożeństwa, dziękowano Bogu, a cześć dla króla, bohatera naszego, prawie półświętym go uczyniła. Było i żałoby niemało, bo się nią każdy tryumf opłacić musi: ale na onych pogrzebach i egzekwjach laury na trumnach kładziono; rycerzowi chrześcijańskiemu za wiarę paść szczęściem było i ozdobą. Przez Kraków podówczas w szyku ciągnęło zło i dobro, owe ciała zabitych i wozy z łupy, wieści zwycięskie i postrachy głuche, bohaterowie okaleczeni i tchórze, co od boju uciekali; tak samo prawda i fałsze z nietoperzemi skrzydły.

Nie będę opisywał, jakom tu przeleżał i przemęczył się a czas spędził, boby niemal każdy dzień potrzeba było notować, i owe gazety, które od wojsk dochodziły, zwłaszcza po bitwie pod Parkanami, gdzie król mało życia nie postradał, a drudzy też go już za zabitego głosili. Wszelako Bóg strzegł jakoś od tak wielkiego nieszczęścia. Dostałem listy od pana Jacka, ale te mnie nie dźwignęły z pościeli, i owszem, na czas smutkiem

do łoża przykuły, bom się z nich dowiedział, że starościanka, nie mogąc dłużej opierać się naleganiom dwóch braci, pozostałych w domu, aby koniecznie za obranego przez nich szła zamąż, opuściła dom i czasowo przeniosła się na mieszkanie do klasztoru panien zakonnych Św. Franciszka w Wilnie. Nie uczyniła tego, jak zaręczała podczaszyna, w myśli tej, ażeby zostać w zakonie, ale oczekując, aby się okoliczności zmieniły i unikając nalegań a napaści takich, które jej prawie gwałtem groziły i nieznośnemi się stały.

Noga się była zrosła, choć ból jeszcze trwał i na koń siąść nie było sposobu; mogłem wszelako choć o kuli do stajni pójść codzień, aby to poczciwe zwierzę zobaczyć, któremu życie byłem winien. Gdy godzina przyszła, kiedym nawykł do stajni iść, to Pylades głowę trzymał obróconą ku drzwiom, a byle kroki posłyszał, rżał zaraz i rwał się do mnie. Ano, co mnie nalizał, co się ze mną napieścił, tegoby i pies nie potrafił. Dziwno by rozum i czucie było w tem zwierzęciu, jakoby ludzkie. Jużem od wiedeńskiej potrzeby nikomu na niego siąść nie dawał, a gdy przeprowadzić dla zdrowia musiano, brali go na powód, siadał Grześ na karego podjezdka i tak go pod tureckim dywdykiem paradnym prowadzono, jako królewskiego rumaka. Stroiłem go, jak lalkę, i wyglądał, gdyby na obrazku, a co mi zań podówczas dawali, nie do wiary; alem się śmiał tylko, bo, choćby mi wioskę kto ofiarował, nie wziąłbym. Konia sprzedać nie nowina, ale przyjacielem frymarczyć — grzech i żydowstwo.

O kuli jeszcze obszedłem kościoły krakowskie z nabożeństwem, gdziem we dwóch wota moje za-

wiesił Panu Bogu na podziękowanie, żem i cały wyszedł i ze czcią, a było też w nich i do przyszłości coś.

Pan Jacek naglił, abym powracał do Wólki. I mnie samemu pilno było; ano, już nie tak ciągnęło, jak gdy starościankę spodziewałem się tam znaleźć. Tęskno się przemyśliwało, co dalej będzie, jako się to da poprowadzić do końca i z tymi braćmi.

Jednego dnia przychodzi do mnie Parczewski, który się też w Krakowie zatrzymał, i prawi, że słyszał, jakoby mnie ktoś po całem mieście szukał. Nad wieczór zmierzchało; chłopiec był jeszcze świec nie przyniósł. Słyszę, ktoś się w przedpokoju dopytuje:

— Tu pan Mroczek?

Poznałem głos chorążego Nałęcza.

— Niech będzie pochwalony! Czołem waści, panie Janie!

Zerwałem się i postąpiłem krok.

— Czołem! Ano, jak się macie i skąd to Bóg prowadzi?

Wtem Grześ ze świecą nadszedł. Przypatruję mu się: blady strasznie, wychudł, wymizerniał, postarzał. Jak stał, tak na krzesło padł.

— Co się z wami działo? — pytam.

— Dużom biedy się najadł — rzecze — od czasu, jakeście mi życie salwowali. Nie chciało mi się wojska opuszczać, myślałem, że ręka prędko wydobrzeje. Poleżałem w Wiedniu i niezadługo też odzyskałem w niej władzę, a potem i wojsko nasze nagoniłem, choć rana nie była jeszcze całkiem wygojona. Cośmy tam biedy zażyli, trudno opisać; dosyć, że mnie znów tatarska strzała z że-

leżcem pod szyję, jak na rożen, wzięła, żem po wyjęciu jej przez starego żołnierza lizał się długo, nim dziura zarosła. Tego mi już było dosyć. Wymęczywszy się dobrze, ot, jak widzicie, wlokę się do domu. No, a wy, panie Janie?

Jam mu też opowiedział, co się działo ze mną, i, kończąc, dodałem, że, skoro wydobrzeję, do domu ruszyć zamierzam.

— Jedźmyż razem — rzecze — obaśmy kaleki, to jeden drugiego ratować będzie. Myślę, że stare nasze waśni rzuciliśmy pod Wiedniem, gdy moja krew waszmości twarz oblała, a waścina szabla resztę mi jej ocaliła. Bądźmyż odtąd jako bracia i przyjaciele.

Podziękowałem chłodno, bom znów tak bardzo cisnąć się do łaski nie chciał. Kazałem przynieść wina, i poczęliśmy potrosze pić i opowiadać. Przyszedł Parczewski, zeszło się jeszcze kilku, a było o potrzebie wiedeńskiej całej na jakie dwa lata powieści, choćby dzień i noc gęba się nie zamykała. Rozochociliśmy się wszyscy, aż miło.

Wtem chorąży zagadł:

— Jużem też sądził, że dawno w domu jesteście. A co, to wam do Wólki nie pilno?

Mówię:

— Nie uciecze ona. Jacek tam gospodarzy. Zresztą, nie byłem zdrów, musiało się żyć na łacińskiej kuchni.

Pokręcił głową.

— Pewnieście — rzekł — mieli pismo od pana Jacka.

— A jakże — powiadam — nie bez tego.

— No, to zaraz rozumiem, dlaczego wam niepilno było do domu.

Na tem rozmowa prysła, i znowu do innych przeszła rzeczy.

Wtem Parczewski, który był później nadszedł, prawi:

— A to istne dziwy z tą naszą wiedeńską potrzebą! Co człek, to historja nowa. Wystawcie sobie asaństwo, co mi dziś opowiadają. Na Kleparzu stanął wracający jakiś od wojska szlachcic, snać majętny, z wozami wielu, a zgadnijcie, co za łup osobliwy wiezie z sobą do domu.

Jak powiedział: „na Kleparzu", uważałem, że Nałęcz drgnął i obrócił się; słowa jednak nie rzekłszy, za kufel wziął i wina popił.

Poczęli wszyscy zgadywać. Ten mówi wielbłąda, ów konia, inny strusia, małpę i t. p. Parczewski tylko ramionami rusza i uśmiecha się, aż rzecze:

— Nikt nie zgadł. Ów sobie najlepszą wybrał cząstkę, bo słudzy opowiadają, że, gdy na obóz turecki napadli, rycerz ten, ranny będąc, za obozem na wozie jechał. Stał wóz na skraju namiotów prawie opuszczony od ludzi, bo się wszyscy byli na łupież puścili. Noc już dobrze zapadła, gdy z ciemności ukazała mu się niewiasta nadzwyczajnej piękności, ubrana bogato od łam złocistych, maneli i pierścieni, a ze strachu napół żywa. Była się gdzieś skryła czasu bitwy, aż dopiero wyszła, chcąc ratować się ucieczką, a postrzegłszy, iż w ręce żołdactwa wpaść może, sama się oddała pod opiekę naszemu panu. Jak i co tam później zaszło, nie wiem: ano pewna, że ją wiozą do Polski ochrzczoną już, i że, jak słudzy mówią, ów szlachcic ma się z nią żenić.

Patrzałem na Nałęcza, który wino popijał i nie

mrugnął czasu tej powieści; dopiero, gdy Parczewski dokończył, wstał i rzecze spokojnie:

— *Per Dominum nostrum* waści to ludzie opowiedzieli. Ja coś o tem więcej bodaj wiem, bo owa Greczynka ze mną jedzie, i tym szlachcicem ja jestem, jeśli wiedzieć chcecie.

Zamilkliśmy na to, jak makiem zasiał; ale Dychawka, śmiały i rezolutny, a do tego mając potrosze w czubie, ozwie się śmiejąc:

— Ano, kiedy tak, panie chorąży, to powinniście nam lepiej opowiedzieć od pana Parczewskiego, aby bałamuctwa nie chodziły po świecie.

— Czemuż nie? — zawołał Nałęcz — alboż to ja się myślę kryć z tem? Posłuchajcie, i owszem. Kiedy mi poczciwy Mroczek życie ocalił, miałem rękę szpetnie pociętą; potrzeba było na wóz iść i dalszej siekaniny zaniechać. Odsadził mnie ten poganin od godów, jak kota od mleka, małom nie płakał; bo co to patrzeć na drugich, jak zwyciężają, rąbią, sieką, a samemuby w niewoli siedzieć! Ale wola boża. Wlokłem się na swoim wozie wciąż za chorągwiami, jak było można najbliżej. Wieczór był i mierzchło, gdy obóz zdobyto. Ale, jak skoro się wojsko dobrało do namiotów opuszczonych — choć był najwyraźniejszy rozkaz królewski, żeby się nikt łupić nie ważył — i święciby już nie utrzymali. Od mego wozu też ludzie prysnęli. Zostałem sam: noc nadeszła. Patrząc ze wzgórka małego, na którym się były konie zastanowiły, gryząc trawę, na to obozowisko, na latanine wśród niego ludzi, ognie, strzały luźne, na wrzawę i zamęt, w głowie się kręciło. Buchnęło, jak z kotła, okrzykiem jakimś, to znów tylko szum, jakby lasem burza miotała. Przede mną była uliczka po-

między namiotami, tak, że dosyć w głąb między nie widać było; a że wprost przed oczyma leżała, snuł się tam wzrok mimowoli. Jednym razem patrzę, leci ulicą postać jakaś, ręce w górę, jak na Rawiczu pannę malują, szaty za nią, jak skrzydła, i tuż dwu ludzi ją ściga! Nie byłbym już szlachcicem i rycerzem, gdyby na widok niewiasty, choćby poganki, w takim ucisku, krew we mnie nie zawrzała. Nie zważając na ranę, nie myśląc, co czynię, rzuciłem się z wozu. Pod ręką miałem muszkiet nabity. Wyrwałem się kroków kilka: ta prosto ku mnie leci, i nie wiem, co się stało, u nóg moich padła zemdlona. Wtedy wrzasnąłem na ścigających takim głosem, podniosłszy muszkiet, że ich w ziemię wryło. Chcieli zrazu pójść ze mną w zapasy, ale jeden z nich mnie znał, nie wiedział, żem ranny, więc poszeptali z sobą coś i znikli.

Tum ja dopiero został z tą niewiastą sam jeden; rób teraz, co chcesz: leży, jak martwa, a tu, ani wody, ani lekarstwa, ani zresztą wiadomości, co z omdlałymi czynią, by ich do życia przywrócić.

Zbliżyłem się i przykląkłem. Padła była nawznak. Przypatrzyć się mogłem, że była to niewiasta osobliwszej piękności, młoda jeszcze bardzo, dziecko prawie, a strojna, jak na wesele. Na szyi sznurów pereł kilkanaście, na rękach, na głowie diamentowe spięcia, pas też szafirami i diamentami sadzony. Domyśliłem się zaraz, iż być musiała albo wezyra, lub którego z synów jego żoną. Ale co tu z nią począć? Miałem we flaszce trochę wina. Pomoczyłem jej skronie i to pomogło, że powoli do zmysłów przychodzić zaczęła. Ale z tego strachu, żalu, przerażenia zdawało się,

jakby pomieszania dostała i nie była przytomną. Uczepiła się też do mnie tak, żem już, rad nierad, przez samą ludzką litość opiekować się nią musiał. Wierzcież mi panowie, że rannemu, z ciężarem takiego rodzaju, nie było łatwo dać sobie rady, a dużo przyszło wycierpieć, choć nie było za co. Szanowałem kobietę i żal mi jej było, a w obozie śmiechu i szyderstw, i wymówek, i zazdrości nie było kupić. Nazajutrz zaraz, unikając sobie i jej niesławy i wstydu, zawiozłem ją do Wiednia, gdzie mi kupca Greka, niejakiego Kallimachiego, nastręczono, który też i po turecku miał umieć. Kallimachi był człek sędziwy, poważny, a w domu jedną tylko miał córkę, wdowę.

Zaraz, skorośmy przybyli, okazało się, że moja niewolnica nie jest Turczynką, ani niewierną, ale chrześcijanką i Greczynką, porwaną przez korsarzy, którzy ją w Stambule sprzedali Kara-Mustafie. Więc, chociażem się ofiarował odprawić ją i uwolnić, nie chciała słuchać. Kupiec Kallimachi oszacował te klejnoty, które miała na sobie, na dziesięć tysięcy czerwonych złotych, krom jednego nadzwyczajnej wielkości szmaragdu, jak dobre jaje gołębie, przedziwnej wody, na który ceny nałożyć nie umieli nawet.

Wszystko to naturalnie jej oddałem, bo stanowiło majątek jej i przyszłość. Ani mi w głowie postało, dawszy jej wolność, aby gdzie indziej udać się miała, tylko do swego kraju, kędyby rodzinę znalazła. Zaś Kallimachi do tego łatwo jej byłby pomógł. Rozmówić mi się z nią było ciężko, choć trochę z włoska, językiem na Wschodzie pospolitym, mówiła, a jam to z łaciny potrochu też wyrozumiewał.

Stanąłem na dole u tego Greka kwaterą z moją ręką, chcąc się podleczyć, i Greczynka mi się zaraz ofiarowała opatrywać ranę. Trudno się było oprzeć, a mówiła, że ma sekreta na takie wypadki, które u nich w kraju często się trafiają. Słowem, niebożątko, sierota, im więcej ja stroniłem od niej, tem się bardziej przywiązywała do mnie. Zmiękło mi też serce dla niej, ale co począć? Żyć w grzechu nie mogłem, porzucić nie miałem siły; wypadło z tego ożenić się koniecznie, a u nas, jak wszyscy wiecie, małżeństwo niekoniecznie jest tylko dla tych dwojga, co się biorą. Ma ono swoje warunki, wymagania, prawidła, od których szlachcicowi odstąpić trudno. Żona wieśniaka i gospodarza musi być z jego plemienia, narodu, klasy, do żywota naszego przywykła i wprawiona do jego ciężarów. Najpiękniejsza Greczynka będzie nieszczęśliwą w szlacheckim dworze, a nasz brat szlachcic z nią. Cóż potem z dziećmi czynić, jeśli je Bóg da, które matka wychować musi? Ano, uczyni je obcemi nietylko krwią, ale językiem, obyczajem, nałogiem, duszą.

Tom sobie wszystko myślał, a myślałem napróżno. Niewiasta była piękna, dobra, łagodna, a w każdy dzień do mnie przywiązywała się więcej. Ani się rozstać, ani się zostać.

Bóg świadek, żem dużo cierpiał. Myśląc, że się to da przerwać, jak skoro ręka nieco wygojona była, wyjechałem za wojskiem, porzuciwszy sierotę ową u Kallimachiego; a tu mnie owa strzała tatarska potkała i znowu zmusiła kąta szukać, aby się leczyć. Powrócić musiałem do Wiednia, a chociażem u Greka nie stanął i unikał kobiety, znalazła mnie ona i nie chciała już odstąpić. A co pła-

czu było, co lamentów i jakie się tam okazywało przywiązanie prawdziwe, trudno wyrazić. Bóg świadek, żem wiele wycierpiał, póki się nie poradziłem księdza znajomego, któregom tam w Wiedniu przypadkiem natrafił. Rozsłuchawszy się w całej sprawie, rzecze mi:

— Duszę naprzód ratować potrzeba, i waszecinę i jej. Jeśli się już tak kochacie, bierzcie się, aby zgorszenia nie czynić. Niech kościół pobłogosławi, reszta w rękach bożych, a może wypaść nie tak źle, jak się obawiacie.

I otoż, jakem się ja z Sofją ożenił — dodał chorąży.

— Jakto, ożeniłeś się waszmość? — spytał Parczewski i my za nim.

— A cóżeście myśleli, że ja sobie panią duszkę wożę w biały dzień, na urągowisko poczciwym niewiastom? — odparł Nałęcz, wzdychając — Ano, to — rzekł po chwili — nie sztuka było się ożenić, nie sztuka żonę do domu przywieźć; sztuka teraz największa z rodziną, braćmi, krewnymi i ludźmi tak począć, aby mi ją przyjęli poczciwie i goryczy mnie i jej zażyć nie dali. O niczem bracia nie wiedzą.

Zamilkł, pomilkliśmy i my, bo nie było w istocie z czego się śmiać, ani o czem szeroko rozprawiać.

Siedział Nałęcz u mnie, widocznie chcąc drugich przesiedzieć. Przecież się też porozchodzili, a on został. Dopiero przysiadł się na łóżko moje, podał mi rękę i rzecze:

— Słuchaj, Mroczek, ocaliłeś mi życie, jesteś człek zacny, król cię lubi, męstwem zarobiłeś sobie sławę poczciwą. Ja, com tobie siostry dać nie

chciał, pokarany zostałem od Boga tem, żem się sam nie po szlachecku ożenić musiał. Otóż, przychodzę ci to powiedzieć, że, jeśli Helusia trwa przy swym zamiarze, a ty masz serce ku niej, ja wam nietylko stawić przeszkody nie myślę, ale pomóc przyrzekam.

Za szyję go pochwyciłem, całując, ale ten zaraz rzecze:

— Cicho z tem tylko, bo z braćmi moimi i ja i ty niemało jeszcze biedy mieć będziemy. Ja stąd do Wilna piszę do Heleny, aby zaraz do domu przybywała. My pojedziemy razem, reszta się złożyć musi, choćby kozłami stawali przeciw nam.

Nie wiedziałem, jak mu dziękować. Na naradach zeszła część nocy, a gdy mnie pożegnał chorąży, północ wydzwaniano u Panny Marji.

Podziękowałem Bogu za niespodziewane szczęście, jakie mnie spotkało, a nazajutrz raniusieńko poszedłem na tę intencję mszy świętej wysłuchać. Wprost potem z kościoła do gospody na Kleparz szedłem. Łatwom się dopytał o Nałęcza, bo tam, dla tych plotek o Turczynce, kupa ludzi przed gospodą stała, że jej rozpędzić nie było sposobu. Znalazłem ich oboje doma, już przybranych do kościoła. Greczynka była nie naszej piękności kobieta, to na pierwszy rzut oka widać było, ale dziwnie urodziwa. Płci takiej białości śnieżnej i takiej świeżości kwiatu wiosennego nie widziałem nigdy. Wyglądała, gdyby róża, tylko co rozwita i jeszcze rosą poranną oblana. Włos kruczej czerni, oczy wielkie, ciemne, lśniące dziwnie, a wszystka twarz tak złożona, iż defektu najmniejszego oko w niej dostrzec nie mogło. Przytem wyraz oblicza był bardzo miły i wdzięczny, cała postać nader

kształtna. Ale, bądź co bądź, jabym się w niej nie rozmiłował, choćby piękniejsza stokroć była. Dlaczego? Jużci nie wiem; otoż może, iż naszych niewiast uroku rozumnego nie miała. Coś w niej dziecinnego było; patrzała i nie myślała; śmieszyło ją i bawiło wszystko; rwała i rzucała każdą rzecz łatwo, a śmiałość, choć niewinną, miała dziwną dla nas, snać wychowanie odebrała do innego życia. Była podobna do wesołego ptaszka więcej niż do niewiasty, na trud i pracę przeznaczonej.

Zapoznawszy się z nią, puściłem ich kolebką do kościoła, sam zaś powróciłem na gospodę, rozmyślając, co z tego wszystkiego będzie. Że z braćmi pana chorążego z racji tej Greczynki kłopot miał być niemały, to wątpliwości żadnej nie ulegało, jako i to, że mojemu małżeństwu ze starościanką będą przeciwni. Obaj oni bracia, pan Mateusz i pan Felicjan, na tym punkcie koligacji, krwie i paranteli byli nieprzełamani. Miałem jednak po sobie teraz chorążego, który tam dla mnie miał niejaki obowiązek i sam też siebie musiał bronić; stałem więc już lepiej. Zresztą Panu Bogu ufałem. *Sit nomen Domini benedictum.*

Z Krakowa, już wcześnie o sobie oznajmując, napisał chorąży do braci, dotknąwszy i tego, żem mu życie pod Wiedniem ocalił, ale nic o siostrze nie mówiąc. Napomknął też o swoich projektach małżeńskich zdala, dając do zrozumienia, iż się coś święci. Przewidując wszakże niemałe z braćmi trudności, że majątek był niedzielny, *fundum* jedno, frasował się, gdzieby żonę zawiózł, pókiby z nimi nie skończył sprawy. Ale natośmy w drodze radzić mieli.

Późną jesienią, o mrozach i grudzie, wyruszy-

liśmy nareszcie z Krakowa, ciągnąc na Lublin ku domowi. Jechaliśmy razem, a im więcej zbliżaliśmy się, ja do Wólki, a pan Nałęcz do swoich, tem smutniej nam było, bośmy zgóry wiedzieli, co nas czeka. Znał chorąży bardzo dobrze rodzinę i nie mylił się. Nimeśmy się dostali na Podlasie, już nas poprzedziły głosy o tem, co zaszło: wielu szło, jak my, powracających, którzy też niestworzone rzeczy pletli, osobliwie na owo małżeństwo Nałęcza i o żonie jego. Nie mogli bracia starszemu woli odebrać, ale larum ogromne uczynili między swymi przeciwko małżeństwu, zaklinając się, że z bratem, który jakąś niewolnicę pojął, nigdy do stołu nie siędą, a obrusy przed nim porzeżą. Doszło ich i to, że ze mną jechał, że na moje ożenienie się zgadzał; a bodaj, czy ich to gorzej od pierwszego nie zabolało. Woleliby byli, aby siostra w klasztorze pozostała, a majątek na nich przypadł, miarkując, że, gdyby brat mi nie pomagał, możeby się na tem skończyło.

Myśmy, ciągnąc ku domowi, wcale o tem nie wiedzieli, ale podróż była smutna i — gdyby jej wesołość chorążyny, która, jak dziecię, bawiła się lada czem, nie ożywiała — obu nam małoby się na łzy nie zbierało...

W Lublinie stanęliśmy gospodą przy Grodzkiej ulicy, a że na wozach pełno było tureckich zdobyczy, namioty widne, buńczuki w miechach i t. p., więc ludu się dosyć za nami cisnęło, aby nas oglądać. Ledwieśmy się wtoczyli w dziedziniec, kazawszy bramę zamknąć, słyszymy, dobija się ktoś. Skoczę z woza, widzę... szlachcic. Poznałem go zaraz, że był od Nałęczów, bo widywałem go często u nich. Zwał się Marszewski, a myśmy go tam

Biesem przezywali, że był zajadły i przebiegły, jak mało ludzi. Nie wiedzieć skąd się jeszcze za ojca Nałęczów przybłąkał do nich, i tam się tak dobrze zasiedział i jak kleszcz wpił, że już bez niego w niczem się nie obeszli. Człek był już cale niemłody, szpak, ale krzepki, facjata pokiereszowana od szabel, u rąk kilka palców brakło i na jedno oko niespełna widział, bo mu je gdzieś przytłoczono w bójce. Nie chciałem mu zrazu otworzyć, ale furtkę sobą poparł i wcisnął mi się do gospody niemal nagwałt, pytając o chorążego. Ten był żonę poprowadził do izby; chciał za nim Bies podążyć, alem go pohamował, że chorąży doń zejdzie. Stanął tedy, rozpatrując się a wąsa muszcząc.

— Coś widzę, waszmość razem i w dobrej komitywie. Powinszować, powinszować! — rzecze.

Ja mu na to:

— Lepsza zawsze zgoda, ladajaka nawet, od najpiękniejszego swaru: a myśmy i nielada jaką zawarli, bo krwią nasz sojusz na placu boju pieczętując.

On na to nic. Posłałem Grzesia po chorążego; zszedł, a jak tylko Biesa zobaczył, twarz mu zapłonęła cała; zrozumiał, że przysłany od braci. Nuż się witać. Ten mu do kolan, a rozczula się, że go całym i zdrowym widzi. Chorąży na to:

— Podziękujcie za to panu Mroczkowi! Gdyby nie on, byłbym pod Wiedniem w kurhanie z innymi piasek gryzł.

Na dole była stancja dla mnie, więc tam weszli. Ja przy wozach jeszcze pozostałem, bo mi o Pyladesa szło, aby go przy ladajakim żłobie nie postawili, w nieczystem miejscu, z czego często na konie przypada nieszczęście. Zaje-

dzie kto z chorą szkapą, zaplugawi miejsce, to potem ani się opatrzysz, jak biedy napytasz.

Wracając od stajni, słyszę głosy w izbie rozlegające się: gadają żywo bardzo; ale, gdy ja na próg, umilkli. Nie zważałem na to. Bies począł o wyprawę pytać, a o domu rozpowiadać. Chorąży po miód posłał, i dalej już o wiedeńskiej potrzebie, a o nas nic. Myślę sobie: „Jeszcze lepiej!" Gdyśmy się nagadali, Nałęcz za czapkę wziął i razem z Biesem wyszedł. Nie pytałem, gdzie i poco.

W dobrą godzinę wrócił, ale mocno zadumany. Przypadłem do niego i pytam, co słychać, jakie wieści z domu, alem go znalazł milczącym. Wykręcał mi się tem i owem, ale między nami jakby kto mur postawił; jużeśmy nie ci byli, co wczoraj. Bies swoje zrobił...

Poczułem, że coś jest, nie domyślając się wszakże, coby to być mogło. Zajechałem z jednej, z drugiej strony, względem powrotu braci; widzę, mydli chorąży, płacze się, odpowiada mi trzy po trzy. Dałem tedy pokój...

Kiedyśmy już mieli iść spać, zszedł do mnie na dół i, usiadłszy przy oknie, rzecze:

— Dobrzebyście zrobili, panie Janie, żebyście jechali przodem do domu sami, a ja za wami podążę. A no, nie przystało jakoś razem nam się tam jawić. Ja tu muszę pobyć, a potem...

Jużem mu więcej mówić nie dał. Zmiarkowałem, iż jest coś; a że nikomu i za nic narzucać się nie zwykłem, tknęło mnie to i odpowiedziałem zaraz:

— Jutro jadę.

Zmiarkowałem, iż go to zabolało, gdy urazy się domyślił. Począł do mnie czule: jako nigdy

nie zapomni, iż mi życie winien; jak pragnie, abym mu przyjacielem dozgonnym był; w jak trudnem z familją jest położeniu, i że resztę czasowiby zostawić potrzeba.

Domyślałem się, czyja to była sprawa, i że mnie tu sprzedano; alem słowa nie pisnął, ani żalu po sobie nie okazał. Postrzegłszy, jako z tej wielkiej przyjaźni zeszliśmy odrazu na inne pole, postanowiłem wcale się nie upokarzać i nie modlić: co Bóg da, to da...

I tak rozstaliśmy się. Kiedy już Nałącz odchodził, rzeknę mu:

— Bywajcież mi zdrowi, bo dodnia dalej ruszę...

— Ale co się tak śpieszycie? — wybąknął.

— Komu w drogę, temu czas — powiedziałem. — Jużbym też spocząć rad.

Dopiero gdy odszedł, buchnęło ze mnie żalem i gniewem, i, jeślibym tak starym nie był, pewniebym płakał; ale, Bogu utrapienie ofiarując, zacisnąłem usta, postanowiwszy o pierwszym brzasku gospodę opuścić. Przywołałem Grzesia: zdziwił się, ale mu gadać nie dałem, tylko rzekłem, aby mi na zaraniu było wszystko gotowe. Samem się i spać nie kładł, tylko przesiedziałem pod oknem. Około trzeciej z północy zszedłem, aby koniom obroku dano, ale już znalazłem chłopca na nogach.

Słońce wschodziło, gdy wóz mój na progu stuknął i miałem wyruszyć; aż dziewczyna zgóry zbiega i hamuje, prosząc od chorążyny, abym chwilę tylko poczekał, bo się pożegnać chce koniecznie. Trzeba wiedzieć, że to Greczynka w ciągu podróży naszej i w Krakowie bardzo na mnie łaskawa była, okazując mi przyjaźń wielką. Wyu-

czyła się już była tyle po polsku, że się z nią mogliśmy rozmówić.

W tejże chwili patrzę, zeszła ze wschodów i pyta, cała blada: co się stało i czego ja odjeżdżam? Zawahałem się: co mówić i czy się jej tłumaczyć? Ale z oczu postrzegłem, że napół wie, a pyta tylko, aby się utwierdziła, Nie potrzebowałem kłamać, więc mówię jej:

— Moja mościa dobrodziejko, chorągiewkę wiatr obrócił. Jestem wam niepotrzebny; jadę prosto do domu. Bies te rzeczy tak nastroił.

— Słuchajże — odpowiedziała żywo — nie myśl źle o mnie; ja naprawię, co on popsuł, tylko mi czas dajcie! Chorąży bodaj to dla mnie uczynił, a ja cudzego szczęścia ofiarą swojego okupować nie chcę. Nie byłoby dla nas błogosławieństwa bożego.

Łzy miała na powiekach, kiedy dodała jeszcze:

— Bądźcie spokojni, bądźcie spokojni!...

Takeśmy się rozstali.

Niewesoły teraz był mój powrót do domu, gdym z wielkich nadziei spadł znowu na dawną niepewność. Drugiego dnia, pod wieczór, z za lasku pokazała mi się owa Wólka moja; pobłogosławiłem ją krzyżem świętym i łzy miałem na oczach. Im bliżej bramy, tem się serce w piersi dobijało mocniej.

Jakim cudem się stało, że pana Jacka znalazłem, chociaż on o moim powrocie nie myślał, a ja mu znać o dniu nie dałem, tego nie wytłumaczę. Zdaleka już stojącego we wrotach z różańcem poznałem. Zlazłem z wozu o kuli, i rzuciliśmy się sobie w objęcia, słowa nie mówiąc.

Jakem w domu znalazł, gdzie ten prawdziwy

przyjaciel gospodarzył, nie wypowiem. Lepiejbym pewnie sam nie zarządził. Dopieroż przy ogniu w kominie na całą noc nieprzegadana materja... ledwie ze dniem trochę się oczu zmrużyło.

Jęliśmy się rozpakowywać, bom też chciał przed przyjacielem pochwalić się ze zdobyczą, krom tej, jaką sam dostałem, wiele mając różności, po drodze od wracających za lada co nabytych. Turecką kulbakę ze srebrnemi strzemionami i całym rzędem turkusami sadzonym, a wcale pięknym, ofiarowałem przyjacielowi. Brać nie chciał, alem go, ukląkłszy, prosił, więc musiał. Uważałem, że z szabel jedna mu w oko wpadła, ale noża i ostrza żadnego bratu dawać się nie godzi: wymogłem od niego, że mi za nią talara zapłacił i wziął, bo do siodła pod udo, starym obyczajem, pasowała. Dopieroż, gdym mu trzosy podobywał, ów diamentowy pas i inne kosztowności, za głowę się chwycił, Panu Bogu dziękując.

— Tylko mi tych pieniędzy na prowizję nie dawaj nikomu — rzekł — ziemię kupować trzeba! Wólka mała, a szlachcic, aby dobrze stał, musi szeroko siedzieć. Jest w okolicy Ryżawka na sprzedaż po wdowie Ryżawskiej, bo wnuki tu mieszkać nie chcą, a gdzieś indziej dobra większe mają: kupimy Ryżawkę!

— Nic przeciwko temu nie mam; kupujemy Ryżawkę... ale, co z tego wszystkiego, jeśli starościankę mi wychwycą?

— Pojedziemy do podczaszyny — rzekł pan Jacek — a toć jej się i tak należy pokłonić. Staruszka do rady dobra, i waszmości sprzyja. Ilem tam razy był, zawsze mnie tem spotykała: —

„A cóż nasz Mroczek? A miał ci tam waszmość wiadomość? A nie zostanie kaleką?“

Więc tego dnia zpołudnia postanowiliśmy jechać do niej. Chciałem też z wyprawy gościńca przywieźć staruszce; ale trudno było wybrać. Pas ów djamentowy dobrej wioski był wart, jak się okazało; anim ja go mógł dać, aniby ona chciała wziąć; więc, rozpatrzywszy się, wzięliśmy różaniec kamienny, bardzo pięknej roboty, znaleziony w moim namiocie. Może się kto podziwić, że u Turka się to trafiło, ale to pewna, że i oni na takich różańcach się zabawiają, i mało który go nie ma. Czy się tam po swojemu z różańcem do Mahometa przymilają, czy do jakiej innej służy praktyki, tego nie wiem.

Przekąsiwszy doma, co Bóg dał, wzięliśmy półkrytek pana Jacka, bo mi jeszcze na koniu jeździć było trudno, i ruszyliśmy do staruszki. Wielka radość była, gdy mnie tam poznano. Siedziała podczaszyna w swoim gabinecie nad listami, kiedy jej o nas oznajmiono; ale zaraz do sali wyszła. Zobaczywszy mnie o kuli i kiju, bom jeszcze ich używać musiał, o mało się nie rozpłakała, a posadziwszy, kazała sobie rozpowiadać wszystko. Stało tego do wieczoru. Przyszliśmy do ratowania Nałęcza, do jego obietnic i do podróży z nim aż do Lublina; nic było co taić. I ona też zmiarkowała, że mnie sprzedano, ale radziła czekać i nic gwałtować, ale powrotu starościanki z Wilna i jej postanowienia patrzeć. Chorążego z żoną jeszcze, jak powiadała, nie było, ale na niego już oczekiwano, a skoro przybędzie, postanowiono majętności rozdzielić. Już była pierwsza determinacja panów braci wydania panny Heleny za Stadnickie-

go spełzła na niczem, bo się ów ożenił z Ossolińską. Teraz miano na widoku, jak się okazywało, jakiegoś Kossakowskiego, który ofiarował się kwitować z posagu, a oprawę zapisać na majętnościach. Obiecywał też panom braciom złote góry, bo był stary kobieciarz i młodej żony mu się chciało, choć sam przeszło lat sześćdziesiąt liczył i dwa razy owdowiał, ale bezdzietny. Bardzo im było na rękę sumę posagową chwycić, zwłaszcza, że się nadtracili znacznie i coś tam kręto było około nich.

— Cierpliwości — mówiła podczaszyna — a wytrwania: resztę da Pan Bóg!

Uradowała się też z tego, gdyśmy jej powiedzieli, jak mnie Bóg pobłogosławił w tej wyprawie, i że mogłem Ryżawkę kupić, a może jeszcze co do niej.

Nazajutrz pojechałem do proboszcza, nie zapominając z jakiem sercem obcego mnie tu przyjął, gdym po śmierci stryja na objęcie Wólki bez grosza przy duszy przybył. Starowina znów rozpowiadać kazał, a nie było temu końca.

Pan Jacek, nie tracąc czasu, sam do Ryżawskich pojechał, lecz wrócił z niczem, bo cenę mu zaśpiewali okrutną, i jeszcze rok sobie wymawiali trzymania wioski. Ale w kilka dni przybył do mnie młodszy Ryżawski i sam zaczepił. Powiedziałem, że nie dam, ino to, co im ofiarowałem, i natychmiast posesję obejmować muszę.

Z tem odjechał. Aż wkrótce — jakoś dni parę minęło — przybywa Jacek poczciwy, i, na progu ściskając mnie, winszuje, jako dziedzicowi Ryżawki, Pląsek i Surowina (szło to wszystko troje razem).

Ja się patrzę na niego, nic nie wiedząc, a ten mi nato:

— Dobywaj trzosów i każ przynieść czem zalać sprawę, bo to na sucho ci pójść nie może! Ryżawscy jadą z regentem; za godzinę będą tutaj, i rzecz skończona.

— A posesję kiedy obejmuję? — spytałem.

— Od Św. Wojciecha, inaczej nie było można.

Uściskaliśmy się.

Tegoż dnia wyliczyliśmy pieniądze i tranzakcję spisali.

Tak tedy, przy pomocy bożej, już nie na małej Wólce, ale na dobrym szlacheckim majątku o czterech wsiach zasiadłem, a co gorsza, albo lepsza, z Ryżawką pod sam bok wlazłem Nałęczom na sąsiada, bo się nasze pola stykały. Jużem wiedział, że chorąży z ową Greczynką przybył do domu, i że go tam bracia, kręcąc nosami na bratową, przyjęli, ale połajawszy. Do mnie się był dotąd chorąży wcale nie zgłosił, a jam milczał, bo mi nie wypadało się nastręczać.

Gruchnęło tedy, żem Ryżawkę kupił; winszują wszyscy. Kupno było niezłe, ale majątek po staruszce, która niby to sama gospodarowała, a rzeczywiście urzędnicy i faworyci, tak opuszczony i wyniszczony, że fraszka to, co w Wólce zastałem. Gdym oglądał, aż mi się zimno zrobiło; ale myślałem to zawsze: „Co człek popsuł, to i naprawić może". Posłałem tylko zaraz od siebie na straż Gawrońskiego, żeby mi doreszty płotów nie poopalali i strzech nie powysmykiwali.

Winszują wszyscy; zeszliśmy się na probostwie z Nałęczami, oprócz chorążego, który nie-

domagał. Ci winszują także, ale zpodełba na mnie patrzą. Ja nic.

Tymczasem i król był z owej ciężkiej wyprawy swej do Jaworowa, jak mi mówiono, powrócił. Mnie noga wydobrzała, żem już o kijku tylko mógł chodzić, a starościanka nie wracała. Postanowiłem więc pojechać i pokłonić się królowi jegomości. *Dictum, factum.* Zima była tego roku dobra, i sanna się ugruntowała doskonale; wziąwszy tedy wozik na płozy, ruszyłem, zdawszy gospodarstwo na pana Jacka.

Nie miałem w drodze żadnego wypadku, prócz, że mi kilimek turecki, bardzo ładny, na noclegu skradziono z winy Grzesia, który miał sen twardy.

Przybywszy do Jaworowa, a zobaczywszy tylu znajomych i przyjaciół, aż się dusza rozweseliła. Choć mi było smutno w sercu, musiało się to rozejść.

Nazajutrz rano poszedłem do króla, który już o mnie wiedział. Jak ujrzał, położył mi obie ręce na ramionach i mówi:

— A co, panie Mroczek, wszyscyśmy to dobrze pono wyszli na wiedeńskiej! Gdyby nie to, że się ratowało Krzyż Pański, przychodziłoby żałować, żeśmy się tak w pomoc Niemiaszkom śpieszyli. Hej! hej! mospanie, waćpan cięty, ja okiereszowany, ludzi tylu zacnych głowami nałożyło... A toż nas potem zbywali się, jak nieprzyjaciół, i pomagali Turkom nas niszczyć. Ale, co się stało, to dla imienia chrześcijańskiego i dosyć... Cóż wasze?

Ja dopiero, ścisnąwszy kolana pańskie, począłem o swej biedzie. Król się odwrócił do stołu i począł w papierach szukać.

— Mała to już rzecz — rzekł, podając mi kartę — ale ot, dla waści pamiątka. Nie przejesz się tym chlebem, ale zawsze ci się kąsek należał z *panis bene merentium*.

Nie wiedziałem, co to ma znaczyć... Król się uśmiechnął, klepiąc mnie po ramieniu.

— Aniś prosił, aniś myślał; alem ja o waści nie zapomniał. Było tam starostweczko nad Bugiem. Myślę sobie: „Jak tam Mroczka posadzę, to mi będzie węgorze łowił i przyśle na post".

Znowu ja do kolan, prawie ze łzami, a król nato:

— Dość, dość! A cóż tam z waściną bogdanką? Jak Nałęcze? Hę?

Wszystko mu było wiadome; a jak podżyłym dobrze był i już nie do miłostek, tak w królowej kochał się wiekuiście, niby wczoraj po ślubie, i drugich rad widział w amorach wiernych. Nic mu milszego nie było nad to, gdy słyszał, że kto uczciwie i statecznie do niewiasty się przywiązał.

Powiedziałem, jak rzeczy stoją, że Nałęcze ani słuchać o mnie nie chcą.

— Jedź-no waszeć do domu — rzekł — i siedź cicho. Z Kossakowskim ja pogadam, żeby ci w drogę nie lazł, a chorążemu uszu natrę.

Bawiłem w Jaworowie dni kilka, a to moje starostwo oblewać musiałem. Niewielka to w istocie była rzecz, piaski a błoto; ale zawsze na coś się przydało i było oznaką łaski pańskiej, co więcej znaczy nad wszystko.

Zboczyłem z drogi, wracając na Warszawę i na Mazury umyślnie, by tam dalekich krewnych obaczyć, których tylko z odgłosu znałem. Radzi mi też byli, jak nie mogłem lepiej, i musiałem z ni-

mi trzy tygodnie jeździć od komina do komina, a pić i wczasu zażywać, choć do domu korciło.

Tu mnie gwałtownie nacisnęli, żeby koniecznie u nich się żenić z powinowatą. Wynaleźli zaraz, nic mi nie mówiąc nawet, pannę skarbnikównę Teklę Zarzycką, która była jedynaczką u ojca i dziedziczyła po nim ślicznych parę wsi, a gospodarstwo zasobne. Panna też była miła bardzo, postawna, młoda, rezolutna i dosyć dobrem okiem na mnie patrzała; alem im zaraz oświadczył, żem zaręczony i do grobowej deski nie złamię wiary Helusi, czego mi za złe nie wzięli, ale stękali bardzo, że się nie udało, bo i Zarzycki był za tem, a stary potrzebował wyręczenia i zięcia mu się nagwałt chciało, żeby gospodarstwo nie podupadło.

Przeprowadzili mnie Mroczkowie i inni powinowaci mil sześć na gościniec, gdzieśmy jeszcze we dworze u znajomych trzy dni zapustowali ochoczo; poczem już do domu pilno mi było, bom dawno wiadomości nie miał.

Wprost zajechałem do pana Jacka. Tu, pod moją niebytność, bieda zawitała niemała. Odprowadzając gości na ganek po wieczerzy w wielkie zimno, tknięty był nieborak paraliżem. Zastałem go w łóżku; mowę miał ciężką, jedną rękę i nogę odjętą. Odesłałem wóz do domu, a samem przy nim został, boć go należało pilnować. Zarazem spostrzegł po twarzy i minie, że źle koło starego musi być. Była już i bratowa, i synowiec, i staranie wszelkie; ale nanic się to nie przydało.

Dawał mu cyrulik raz wraz na transpirację i nie wiem, czy nie zaszkodził gwałtownemi lekarstwami, bo z tego przyszło, że go apopleksja raziła i do drugiego dnia nie żył.

Rodzonegobym ojca nie opłakiwał więcej, i, jak rodzonego, chowałem, sam mu ostatnią oddając posługę i ostatnie pożegnania słowo wyrzekłszy, choć publicznie mówić niebardzom lubiał, drugim to zostawiając.

Było u nas zawsze na to ochotnika dosyć, alem się ja nie kochał w oracjach, które cudze pióro pisze i za butel wina się z pod rewerendy dobywa, albo z księgi kędyś wyłata. Nie smakowali też może w mojej pogrzebowej mowie przytomni, bom się na koncepta nie sadził i od serca tylko przyjaciela pożegnał.

Spłakany, wróciłem do domu, gdzie mi teraz było samotniej, niż kiedy. Zarazem też pojechał do podczaszyny, bo mi dała znać, że się ma ze mną rozmówić. A że dni parę ubiegło, nim się na zawołanie stawiłem, z rana się oznajmiłem, że tego dnia u niej będę, czy nie przeszkodzę. Były bowiem u niej takie nabożeństwa i aniwersarze, że nikogo nie przyjmowała. W godzinę wiedzieć mi dała, że czeka na piątkowy kapuśniak.

Przybyłem bardzo smutny, bom tego poczciwego przyjaciela na sercu miał jeszcze utraconego. Spostrzegła to staruszka, a kazała mi sobie opowiadać o wszystkiem, o Ryżawce, o Jaworowie, o starostwie nad Bugiem i t. p. Gdy mi winszowała, rzekłem:

— Pani dobrodziejko! Wszystkobym to oddał z dodatkiem, byle pragnienia serca mojego do skutku Bóg doprowadzić raczył.

Ona mi na to:

— Mości starosto, nie razem Kraków zbudowany. Czekajcie, i to przyjść może.

Siedliśmy do stołu, i już się obiad kończył, gdy

zajechała kolebka i dali znać, że chorąży z żoną przybył.

Od rozstania się naszego w Lublinie wcalem się z nim nie widział, chyba zdaleka w kościele. Owe obietnice jego wielkie poszły w niepamięć; owa dozgonna przyjaźń jakby nigdy nie istniała.

Przykro mi się zrobiło, żem go tu spotkał; wszakże uciekać nie wypadało. Musiałem zostać, zwłaszcza, że podczaszyna spojrzawszy na mnie, uśmiechnęła się. Wyszliśmy do sali.

Witamy się uprzejmie. Greczynka przychodzi do mnie wesoło, a gdym ją w rękę całował, ścisnęła mnie, jakby dając do zrozumienia, że o sprawie mojej nie zapomniała. Po dobrej chwili, chorąży zbliżył się do mnie i bierze do okna.

— Bracie — rzecze, ściskając — daruj i nie pamiętaj! Robiłem, co mogłem, by tych zapamiętalców przekonać; ale z nimi rady niema. Mają do waści niejedną urazę, a może też i to, żeś mnie życie ocalił, bo i ja u nich łaski mam niewiele. Trzeba na to radzić inaczej.

Spojrzałem mu w oczy.

— Helusia powraca — rzekł — posłano po nią, pojechał Bies z ludźmi. Za dni kilka będą z nią nazad, a jeśli tu przyjdzie, nastaną na nią i gotowi dla Kossakowskiego gwałt popełnić, by wiana nie dawać.

— Jeśli o wiano idzie — rzekłem — a starościanka zgodzi się, jużci go też nie szukam, ani się dla niego żenię. Ustąpię i ja.

— Nie o to idzie — odpowiedział chorąży — przynajmniej nie mnie. Niech każdy ma, co mu przeznaczono, cudzego nie pragnę; ale z braćmi, którzy się na was zacięli, rady sobie nie dacie.

Jedno wam tedy mogę dać *consilium:* jedźcie z przyjaciółmi; napotkacie kawalkatę w drodze; potrzeba starościankę odbić, księdza znaleźć, ślub wziąć, a resztę ja zagodzę. Ale — dodał — na miłość bożą, mnie do tego nie mieszajcie... niech ja zostanę, jakbym nie wiedział o niczem.

Stanąłem słupem; nie podobało mi się to wcale, żebym, jak rozbójnik, żonę na gościńcu zdobywał.

Odparłem mu tedy, że to tak dla sławy ich domu i imienia, a potem mojego też nie uchodzi. Ale mi zaraz począł przywodzić podobne przypadki, jak Mniszek z klasztoru sobie żonę wyłamał, gdy mu jej rodzina dać się wzbraniała, jak ten i ów orężnie zdobywali panny, i że w tem nic tak złego niema. Nareszcie rzecze:

— Wszystko to do tego przygotowane. Helusia nawet, o ile miarkować mogę, i osoba tak poważna, jak podczaszyna, tego nie gani, bo innego sposobu niema. Nie przeciwko władzy rodzicielskiej to bunt, ale przeciwko niesłusznej opresji rodziny, która nieszczęścia jej może być przyczyną... Trzeba, żebyś waszmość jechał zaraz, wszystko przysposobił, na drodze zasiadł, a dobrych sobie wziął rębaczy, bo z Biesem do czynienia mieć będziecie. I to dodaję: żeby ślub zaraz był, nim bracia się dowiedzą, żeby klamka zapadła, nim oni się porwą przeciwko waści. Ale jeszcze raz, na rany Chrystusowe, jam o niczem nie wiedział... o niczem wiedzieć nie chcę... cicho!...

Odszedł zaraz od okna i poczęła się inna rozmowa. Greczynka chwalić się jęła, że po polsku ją wyuczyli, a spoglądając na mnie, znaki mi dawała, że o wszystkiem wie. Mnie się to jakoś dziwnie zawsze zdawało, żonę tak zdobywać, ale co

miałem robić? Przesiedziałem ich u podczaszyny, aż, gdy odjechali, zwierzyłem się jej ze wszystkiego, prosząc o mądrą radę.

Staruszka popatrzała mi w oczy.

— Zacny z waćpana człowiek — odezwała się — że ci gwałt wszelki jest obmierzły; ale są wypadki, w których i do ostatnich środków uciec się trzeba, gdy o przyszłość osoby drogiej idzie. Podobno chorąży to jedno radzi, co rzecz najlepiej załatwi.

Postrzegłem tedy, że inaczej być nie może, a raz na to się zdeterminowawszy, nie miałem co czekać. Pojechałem tejże nocy do Zegrzdy.

Była mila okrutna; noc śnieżna, zawieja, godzina spóźniona. Ledwieśmy się do dworu dobili, a tu we wrotach nawiało kupę taką, że ani wjechać. Musiałem pieszo się przedzierać; psy opadły, że ledwiem kożucha nie postradał, alem do okiennicy zastukał, wiedząc, gdzie sypia. Pozrywało się wszystko, bo tylko co byli usnęli, i myśleli, że albo złodzieje, lub przypadek jaki. Zegrzda z szablą w ganek wypadł; ledwiem go uspokoił. Począł się śmiać, gdy mnie poznał, i weszliśmy z nim do izby. Dorozumiał się zaraz, że muszę mieć sprawę ważną. W dwóch słowach rozprawiliśmy się; ale z tym poczciwcem dobrze było bić się, tylko mędrkować niekoniecznie, bo do przebiegów i sztuk się nie zdał.

Z tego, co mi chorąży mówił, uważałem już, że chwili nie było do stracenia, a raz odważywszy się na przedsięwzięcie, chodziłem, jak w gorączce, by je przyprowadzić do skutku.

Zegrzda, powstawszy, powiada:

— Kochanie mileńki (miał to przysłowie), ja

ci szablę i dłoń ofiaruję, ale nie potrafię tego urządzić; na to nam Grabowskiego wziąć potrzeba... Każę konie zaprząc: jedźmy do niego!...

Gadamy tak, a tu do drzwi pukanie, bośmy kobiety pobudzili i popłoch poszedł: czegom przybył i czy gardłu jegomości co nie grozi? Weszła sama jejmość w nocnym stroju, dopytując. Zegrzda począł kłamać okrutnie o jakichś wilkach, pocałował żonę, polewki ciepłej przygrzać kazał, latarkę dał do stajni, i w godzinę byliśmy znowu na gościńcu.

Zpółnocy, o drugich kurach stanęliśmy u Grabowskiego, ale baliśmy się przestraszyć matkę staruszkę, i zajechaliśmy na folwark. Zbudziłem ekonoma; a że się Grabowski o woły karmne troszczył i nocą do nich budzić kazał, powiedzieliśmy mu, by, nic nie mówiąc, niby dla wołu chorego, jegomości tu przywiódł.

W ćwierć godziny słyszę, chlapie się Grabowski w butach z futrem, a klnie ekonoma, co wlezie, za tego wołu, cośmy go zinwentowali sami. Gdy, do izby wszedłszy, zobaczył mnie z Zegrzdą, grzejących się u komina, oszołomiał i stanął, jak słup, nie wiedząc, co to znaczy. Dopieroż my w śmiech z niego, i, do alkierza go wziąwszy, począłem rzecz opowiadać.

Ale z Grabowskim wiele gadać nie było potrzeba, bo człek domyślny i na wszystkie sztuki noszony... Tylkom napomknął, w to mu graj: pochwycił mnie ściskać, mało nie nosić na rękach.

— Niech ci Bóg płaci — woła — że mi takie dajesz zajęcie! A toć rok już awantury żadnej nie miałem... aż mi się życie przykrzyć zaczęło.

I cośmy mieli jego uczyć, to on już wziął

wszystko na swoje barki. Domyślił się, kędy jechać mają, obliczył i wybrał, kogośmy z sobą wziąć powinni, wyznaczył konie, ludzi, miejsce...

Tak te rzeczy dobrze znał, że, od Wilna począwszy, na palcach wiedział noclegi, popasy, gdzie stanąć musieli i jak drogę rozłożyć. Miarkował i to, że wielkiej siły z sobą Bies ciągnąć nie mógł, bo się niczego nie spodziewał; więc ze trzema lub czterema mogliśmy mieć do czynienia, a Grabowski swojej szlachty drobnej, jak nazywał, szabel usłużnych, sejmikowych, co nie pytali nigdy za co i na kogo szli, a oślep rąbali, kogo im pokazano, miał sam choćby dziesiątek. W dodatku byłem ja i Zegrzda. Mieliśmy więc siły poddostatkiem.

Pchnął więc Sydora swojego Grabowski, pod pozorem sejmików, by szlachta na południe się stawiła, a mnie kazał do domu jechać i z saniami, ludźmi, końmi, co było potrzeba, powracać.

Mieliśmy zasiąść na gościńcu wileńskim w Zahorzanach, gdzie był proboszcz znajomy, nawet podobno Grabowskiego daleki krewny po matce. Stała tam gospoda, której Bies minąć nie mógł. Myśmy się mieli rozsiąść we dworze u dzierżawcy, a czaty postawić po drodze wzdłuż ku Wilnu na mil kilka, aby nam o przybywaniu znać dawały, wyprzedzając starościankę. Dobraliśmy konie pod tę straż takie rącze i młode, żeby się ubiec nie dały, a choćby który padł, bierz go licho.

Szło tylko o to, czy starościanka z Wilna wyjedzie rano, czy zpołudnia, gdyż od tego zależało, wedle rachuby Grabowskiego, czy na popas, czy na nocleg miała być w Zahorzanach.

Jam sądził, że, ponieważ z klasztoru wyjeżdża-

ła, pewnie nie inaczej niż po nabożeństwie, zatem nie tak rano; Grabowski twierdził, iż Bies, ze strachu, aby wpobliżu wielkiego miasta nie nocować, gdzie się zwykły łotry włóczyć, wyruszy dodnia. Woleliśmy wieczór niż południe do tej sprawy, bo gospoda stała pośrodku mieściny, w rynku; na tumult zbiegliby się ludzie: krzyk, hałas, i rzecz niemiła być na oczach motłochu, gdzie o kobietę chodzi. Ale, bądź co bądź, musieliśmy tu na nich czatować i rychło jechać.

Nazajutrz wszyscyśmy byli w pogotowiu. Szlachta pojedyńczo powymykiwała się przodem i miała stać po żydowskich domach w rynku, nie razem, a na dany sygnał, trzykrotne huknięcie, zbiec się ku nam. Warty poszły gościńcem na wyznaczone miejsce; my pojechaliśmy do dworu, do dzierżawcy; Grabowski osobno do księdza.

Szczęściem sanna była doskonała, śniegu przysypało w polu, koniśmy nie żałowali i o zachodzie słońca stanęliśmy w Zahorzanach.

Pierwsza rzecz: posłałem do gospody, pytać, czy przejeżdżali? Żyd wymienił podróżnych, jacy tam stali od dni kilku, ale o starościance nie wiedział. Znał konie i ludzi, byłby ich poznał i pamiętał.

Dobra tedy nasza. Rozgościliśmy się u dzierżawcy, a był szlachcic serdeczny i gościnny na podziw. To też, choć ogromnie zarabiał, nic nie zebrał. Będąc w przyjaźni z Grabowskim, a z Zegrzdą w koligacji, nie znalazł dla nas miejsca, tak ugościć pragnął. Nic mu się nie mówiło, o co idzie, chociaż musiał czegoś się domyślać.

Przenocowaliśmy u niego. Grabowski z pro-

bostwa przyszedł na wieczerzę i szepcze mi w ucho:

— Ksiądz nasz! Ślub będzie, wszystko w pogotowiu... byle pannę nam odbić.

Podług naszej rachuby, albo nazajutrz w południe albo na wieczór powinni byli nadciągnąć, a przed nimi, co najmniej na godzinę, straż nam wiadomość dać musi...

Ale, jak to zwykle się trafia, wypadło nam jak najniefortunniej. Było na gościńcu trzech wartowników: jeden się spił, drugi zasnął, trzeciemu koń zachorzał. Spokojni więc, siedzimy sobie u dzierżawcy, bynajmniej nie gotowi, i to jeszcze zaledwie zpołudnia, gdy z gospody Żydek leci do dworu i oznajmuje, że starościanka przyjechała, a skoro konie wytchną i przegryzą, zaraz pośpieszy dalej. Zerwaliśmy się, głowy potraciwszy, oprócz jednego Grabowskiego, który, jakby go zimną wodą oblał, wnet się opamiętał, szablę do pasa, ludzi rozesłał — i na miasteczko z nami.

Zajezdny dom stał w rynku samym, z dwóch stron przyparty ścianami do innych kletek żydowskich, od przodu tylko i ztyłu przystępny. Sanie jedne i drugie były przed gospodą, ale konie powyprzęgane, ludzie się porozłazili, starościanka weszła ogrzać się nieco, a Bies kazał sobie dać wódki. Widać było, że się w biały dzień niczego nie spodziewali. Grabowski, jak to zobaczył, prosi i modli się:

— Dajcie mi samemu iść, a jak was zapotrzebuję, huknę!

We mnie się serce tłukło, jak młotem, alem mu ustąpić musiał. Później mi opowiadał, jak sobie począł. Wszedł do gospody przez stajnię i wprost

wkroczył do tej izby, gdzie była starościanka. Bies miał na to oko, żeby nikt nie wchodził, począł więc nań wołać:

— A poco tam?... Kobiety są!

— Toć ich nie zjem — odparł Grabowski, i wszedł — ale tylko znak dał starościance, a już Bies za nim wszedł. Znali się dawniej, przywitali... Ciągnie go rębacz do drugiej izby, prosząc, aby spoczynku nie przerywał paniom. Ze starościanką była staruszka, jej ochmistrzyni, i dziewczynka do posługi.

Grabowski, już upewniony, że rady sobie dać może, siadł na ławie spokojnie i kazał sobie dać miodu szklankę.

— Wiesz, rzecze do Biesa, jaki oni tu stary lipczyk mają, tom jeszcze takiego nigdzie nie pił, choć i sławnego kowieńskiego próbowałem, i lubelskie miody znam. Co ty tam tę śmierdziuchę wódkę pijesz? Napiłbyś się oto tego nektaru.

— No, no, nektar — rzekł Bies — ale po nim sen człowieka napada, a w drodze spać stróżowi niebezpiecznie.

— Choćbyś się zdrzemnął — rzecze na to Grabowski — toć już tu nic ci się nie stanie; u nas o rozbojach nie słychać, a przed wieczorem w domu będziecie. Ja wasze konie znam: kłusa mają takiego, jak tu żadne. Ale winszuję waszeci, żeś tę wileńską drogę i lasy cało przebył, bo tamto często bywają przypadki.

Bies się uśmiechnął:

— Ja się żadnych nie obawiam.

— A dużo masz ludzi? spytał Grabowski.

— Jest nas sześciu ze mną, tobyśmy się dwunastu nie dali...

— A trzynastu? — pyta Grabowski.

— No, nie zlękłbym się jeszcze.

— A piętnastu?

— Kto wie? Broniąc się, tobym się im nie dał...

— Toby to ciekawa rzecz była spróbować — rzekł Grabowski, dopijając. — Chcesz, chodźmy o zakład!

Bies się począł śmiać.

— Ale ja nie żartuję — zawołał Grabowski. — Chcesz, o co? Zakładam się...

— A skąd waść ludzi weźmiesz?

— Ja? Alboż to waść nie wiesz? Ja tu w każdem miasteczku mam swoich na wszelki wypadek. Nigdy człowiek nie przewidzi, co go spotkać może. Jabym dał znak tylko, toby mi tu z pod ziemi jakich dwunastu, trzynastu ludzi wyskoczyło.

Stary wciąż się śmiał jeszcze.

Grabowski z za stołu wstał powoli i patrzy nań; a miał Bies szabelkę u pasa swoją zwyczajną, którą zwał *żonką*. Żonka ta jego dobrze była znana naokół, bo niejednemu wypisała paragraf na twarzy, a sławiła się z tego, że żelazo rąbała, jak wióry.

— Jaki to z waszeci wierny mąż! — rzecze Grabowski. — Widzę, bez żonki nie stąpisz. A żebyś mi też pokazał ją nagą, jak ona wygląda. Słyszałem o niej cuda, a nie widziałem nigdy.

Bies był tak głupi, że mu do rąk szabelkę dał; Grabowski z nią poszedł do okna, niby oglądać. Wtem, jak palnie w szybę, posypało się szkło, i, złożywszy kułak, huknie trzy razy. Szlachcic zrazu myślał, że ów zwarjował, i rzucił się do niego; ale wnet słyszy w rynku bieganinę, widzi pod

oknami ludzi, a tu i ja wpadam do sąsiedniej izby po starościankę. Dopieroż mu się oczy otworzyły, i rzucił się do Grabowskiego; ten mu się własną jego szablą zastawia, a ztyłu dwóch, porwawszy go, ręce mu związało i gębę zakneblowało. Ludzie od sań poszli do wody z końmi: nie było komu stawić oporu.

Jam tymczasem, wszedłszy do starościanki, przyklękł przed nią i mówię:

— Starościanko, dobrodziejko, nie mojej to głowy ani woli sprawa, ale rada ludzi skłoniła mnie do tego, że, cobym był chciał uzyskać za zgodą rodziny waszej, tego muszę się dobijać na gościńcu przemocą. Darujcie mi i za złe nie miejcie!

Starościanka, ujrzawszy mnie, zrazu się przelekła, potem rozpłakała. Na to wszedł Grabowski i rzecze:

— Starościanko dobrodziejko, zdobyliśmy panią dla pana starosty. Spodziewam się, że nas za to łajać nie zechcesz. Jam tu drużbą i swatem. Ksiądz czeka w kościele, chwili niema do stracenia, chodźmy!

Z podziwienia wyjść nie mogąc, płakała jeszcze i wzdragała się, gdym ja pocichu ją o zezwoleniu starszego brata i radzie podczaszyny upewniał, a począłem w nogi całować, aby mojego szczęścia odwlekać dłużej nie chciała.

Więc tak, jak staliśmy, poszliśmy natychmiast do kościoła. Ksiądz już czekał w zakrystji w komży i stule; pierścionki wziąłem u złotnika, a w pół godziny, zaślubieni już, przeszliśmy na plebanję, rozstawiwszy straże dla bezpieczeństwa. Ale to było nadaremne, bo zakneblowany Bies leżał

w izbie, a ludzie, sami sobie zostawieni, wcale się opierać nie myśleli. Szło nam o to, aby się rychlej, niż potrzeba, wiadomość do braci nie dostała; musieliśmy więc, dla ostrożności, ludzi także powiązać, krzywdy nikomu nie czyniąc, krom jednego, który, że się opierał, coś mu się tam dostało.

Tak to wszystko poszło szczęśliwie, mimo wart, które się nie sprawiły, żem Grabowskiemu nie wiedział jak dziękować. Ale to była dopiero połowa sprawy; można się bowiem spodziewać było, że obrażeni bracia na tem nie poprzestaną i, bodaj siłą, zechcą siostrę odebrać, w klasztorze osadzić, a mnie o rapt i wiolencję i *de nullitate matrimonii sine parocho* proces przed trybunałem i w konsystorzu wytoczyć. Anim mógł ufać w perswazje chorążego, który z nimi sam ledwie mógł sobie dać rady i lękał się ich przemocy.

Powinienem był jechać z żoną do Wólki, ale tu napadu w małym dworku nie było czem odeprzeć, ani się jak obronić, nawet dobrego ostrokołu nie miałem. Do Ryżawki należał Surowin, który jużem był objął na siebie, a w Surowinie folwark stał na starem, jak tam nazywali, horodyszczu; nawet wioska się pono dawniej Horodyszcze Surowińskie zwała.

Urzędnik mój mieszkał we dworze, za wałami, szczupłym, ale niezłym, obwiedzionemi częstokołem; a że dokoła były trzęsawiska, przez jeden tylko most dostąpić tu było można. Grabowski mi radził i ja sobie sam miarkowałem, że, póki burza nie przeminie, gdzie indziej się schronić bezpiecznie nie mogę, tylko tam na ten ostrów. Ludzi więc Nałęczowskich dawszy szlachcie pod straż, sanie i konie też, bośmy nic, prócz rzeczy starościanki

brać nie chcieli, ruszyliśmy dalej do Surowina. Pchnąłem tylko Grzesia do Wólki, aby stamtąd co potrzebniejszy sprzęt zaraz nam przywieziono. Żeśmy się napadu spodziewać musieli, kazałem strzelb i amunicji nabrać, ileby się znalazło. Grabowski, Zegrzda i sześciu szlachty nam towarzyszyli. O weselu nie było co myśleć, bo mnie o życie szło a mojej pani i dobrodziejki bezpieczeństwo. Szczęściem, noc była pogodna i jasna, i konie nakarmione; więc, prawie bez wytchnienia, manowcami zrobiliśmy mil pięć, a nadedniem stanęliśmy na surowińskiej grobli, gdzieśmy już byli bezpieczni.

I szczęście to wielkie, żeśmy nie pojechali do Wólki, a o Surowinie cale zamilczeli przed ludźmi; bo chłopak Nałęczów, który z końmi od wody powracał, kiedy się ta historja odbywała, jak siedział oklep na koniu, tak drapnął i nie oparł się aż na dziedzińcu w domu, donosząc, że pannę starościankę porwano i do kościoła poprowadzono, że ludzie pobrani, a Bies zamordowany.

Rzucili się panowie Nałęcze natychmiast, rozdzieliwszy na dwa oddziały, jeden z piętnaście koni na miasteczko, drugi we dwadzieścia kilka na Wólkę, gdzie, mnie nie znalazłszy, tylko ludzi poprzestraszali. Grzesia, szczęściem, jeszcze nie było, bo pod bizunami byłby im moje schronienie wyśpiewał.

Co tam było z Biesem, gdy go związanego, z zakneblowaną gębą znaleźli leżącego w alkierzu, z którego stróże oknem pouciekali; jakie wymyślania i odgróżki na księdza, co wrzawy i hałasu, ludzie potem nie mogli się przez pół roku naopowiadać.

Myśmy zaraz, do Surowina przybywszy, o sobie dobrze myśleć musieli, jak w czas wojenny. Postawiono straże przy smolnych stosikach po trakcie, z rozkazem zapalenia, gdyby co niebezpiecznego ujrzeli; na grobli czaty, po wsi czaty; ufortyfikowano bramę, podpiłowano most; Grabowski do siebie posłał po śmigownicę, którą miał w skarbcu; broń była ponabijana, ludzie gotowi.

Około południa przybył Grześ z prowjantami, bronią, amunicją i jeszcze kilku szlachty, a na wieczór jużeśmy byli tak spokojni, że mogliśmy gości naszych przyjąć i trochę weselej a śmielej na świat spojrzeć. Aleśmy się mieli na baczności.

Do północy gwarzyliśmy u kominów. Ja tylkom klęczał przed Helusią, całując jej ręce i prosząc, aby mi tego za złe nie miała; alem tak statecznej i mężnej niewiasty, jak ona, nie widział. Raz odszedłszy od ołtarza, nie okazała więcej ani strachu po sobie, ani niepewności.

— Jeśli nas zabić zechcą, to razem umrzemy — mówiła do mnie.

Z północy, żeśmy wszyscy straszliwie byli znużeni, każdy jak stał, tak, gdzieś przyparłszy się do kąta, drzemał. Ognie poprzygasały.

O świcie czuję, budzi mnie ktoś i szepce do ucha. Otwieram oczy — Grześ przy mnie i mówi: „Niech-no pan wstaje!“

Wyszedłem na palcach do pierwszej izby, i już mi nie potrzeba było tłumaczyć, poco obudzono. Patrzę, aż dwa moje stosy łuczywa płoną... Targnąłem Grabowskiego i Zegrzdę; wstaliśmy cicho do ludzi, i w pół godziny było wszystko w pogotowiu.

Posłałem Grzesia do wsi na wzwiady na pod-

jezdku, przykazując jechać bokiem drogi, aby tętentu nie było słychać.

Za ostrokołem uszykowaliśmy ludzi, czekamy... cicho. Ale trzeci stos się pali, a ot czwarty... W ostatku przez mostek huczy, powraca czata moja... Wyleciałem przeciw niemu.

— Co słychać?

— Do sta ludzi — powiada — ze wszech stron Surowin otacza.

Zaczailiśmy się za płotem, stoimy... Kazałem we dworku światło nawet pogasić, żonę tylko obudziwszy, aby jej, uchowaj Boże, strzały nie przestraszyły... Klękła zaraz modlić się, a ja poszedłem do ludzi.

Poczęło dnieć. Widzę, na grobli jedzie kupka. Posłałem na most podpiłowany, cicho dyle powyjmowano. Słomą pookręcaliśmy pale, osmarowali smołą i chłopak miał rozkaz podpalenia, gdy mu znak na to damy. Ale ichmość poczynali sobie ostrożnie i zdawali się tylko położenie opatrywać.

Chociaż wszystko u nas było wpogotowiu do obrony, dobrzem ja to zawczasu obrachował, że, uchowaj Boże strzelania, a nużby kula którego z braci żony trafiła?! I ona i ja drżeliśmy na tę myśl, aby z bratniej ręki nie zginął, boćby to między nami szerszą jeszcze postawiło przepaść. Musieliśmy się bronić, ale w ostateczności i gdyby nam oni sami nóż na gardle położyli.

Zbliżyli się do mostu ci ichmość; z koni pozłazili i poczęli go opatrywać; zobaczyli, że dyle wyjęte, że pale pookręcane, że tam już i piły były w robocie, więc zmiarkowali, żeśmy nie żartem o sobie myśleli. Dopatrzyli też wprzód tych sto-

sów pozapalanych i wiedzieli już, że mieliśmy się na baczności.

Spodziewaliśmy się napadu, ale widać, że po naradzie z sobą inaczej postanowili, bo się cofali powoli za groblę, i tam się ich kupa, zewsząd zebrawszy, zastanowiła. Dniało już coraz lepiej, widać więc było dobrze wszystkie ich ruchy: ale zrozumieć nam było trudno, co przedsiębrali, przekonawszy się, że nas nie ubiegną niegotowych.

Dwór w Surowinie, jakem powiedział, stał na starem horodyszczu, opasany wałami i częstokołem, a zewsząd prawie błotami i małą rzeczułką gniłą, która nigdy dobrze nie zamarzała. Nie obawialiśmy się najścia z żadnej strony, tylko od grobli i mostu, bo od tyłu przestrzeń otwarta była i człowiekowi niedostępna łatwo. Dobrze znając miejscowość, można się było przebrać, ale brnąc czasem po kolana, a niekiedy i po pas. Nikomu z nas i na myśl nie przyszło, żeby to, co broniło, mogło się dla nas stać niebezpieczeństwem. Obaczywszy, że nas bez bójki, i to krwawej, nie wezmą, panowie Nałęcze wpadli na to, iż nas oblec mogą i głodem do zdania się na łaskę przymusić. Byliśmy w istocie nie z wielkim zapasem żywności we dworze, a ludzi kupa, bo któżby się był spodział, że trzymać się będziemy musieli? Zrazu nam to i do głowy nie przyszło.

Tymczasem, gdy się całkiem dzień zrobił, postrzegliśmy, że jakby obozem legli u grobli, a reszta, co ich było, rozłożyli się w karczmie i we wsi. Postawili straż, kilka razy wyszli jeszcze do mostu, wrócili za groblę znowu i stoją.

Grabowski, jak to mu nigdy na dobrym humorze nie zbywało, szczególniej, kiedy był w robo-

cie, myślał, że na coś czekają, i śmiał się, że snać po artylerję posłali. Nazywał Nałęcza Kara-Mustafą i oblężenie to równał z wiedeńską wyprawą.

Nadszedł biały dzień. My także, u wrót ludzi postawiwszy, poszliśmy co przekąsić i spocząć. Wtem woła mnie Helusia do alkierza i szepce na ucho:

— Powiedz mi, co będzie, jeśli to potrwa? Na trzy dni nie mamy w śpiżarni zapasu, ani mąki, ani chleba...

Stanąłem osłupiały, postrzegłszy, że to już nie żarty; a teraz mi to w oczach stanęło, że oni na to rachować muszą, iż nas w tydzień głodem wezmą. Nie trwożąc innych, wziąłem Grabowskiego na bok i opowiadam mu, jak rzeczy stoją. Spoważniał. Poszliśmy do śpiżarni i obliczyliśmy gęby: jawna była rzecz, iż nad trzy dni nie dotrzymamy. Dowieźć zapasu nie było podobna, bo nas formalnie oblegano.

— Sprawa głupia — rzekł mi Grabowski — ale jakąś radę na nią dać przecie sobie musimy. Jużci się tak w tym kojcu wziąć im nie damy.

Poczęliśmy liczyć, ilu ich tam jest, ilu nas, czyby wycieczki nocą nie zrobić, wziąwszy panią we środek, ale niebezpieczna to była rzecz. Źle. Jemy wszakże śniadanie, ba i obiad, nie mówiąc nikomu nic i nie żałując sobie chleba i mięsa. Na następny dzień było trochę wędliny, słoniny, szynek, mieliśmy jaja, krupy, ale do czwartego dnia załoga byłaby głodna, bo jedli nasi, zdaje się, jak nigdy, gdyby na złość, a ochotnikowi odmówić nie było podobna.

Cała moja nadzieja była w Grabowskim, który chodził, cmokał, namyślał się, ale serca nie tracił.

Z południa poszedł opatrywać położenie, raz i drugi wały przebiegł, każdy kąt opatrzył, ano, nic nowego. Z tamtej strony grobli położyli się obozem i leżą. Nadchodzi wieczór, nic; przyszła noc, ani słuchu... Ale nam już zasnąć trudno... Jakoś u naszej załogi poczęło serce mdleć z tego wyczekiwania i nudy. Byliby się bili w pierwszej chwili jak najlepiej; ano, tem staniem przepadli.

Zarazem postrzegł, że drudzy się już radzi byli wysunąć. Nocą jeden szlachcic przelazł przez częstokół i cichaczem groblą drapnął, myśląc, że się przekradnie. Z północka robi się larum za groblą, krzyk... Wszyscyśmy się zerwali na nogi. Widzimy, że Bykowskiego brak, i dorozumieliśmy się, co zaszło. Czekamy, co będzie. Aż, tak w godzinę niemal, Bykowski, zawstydzony, że dezerterował, powraca. Czekaliśmy nań już u wrót; otwarto mu furtkę.

Wsiądzie na niego Grabowski:

— A, ty tam taki, owaki! A czy ci nie wstyd?

— Daj mi pan pokój — odpowiada szlachcic. — Pójść się z szablą wyrąbać, tom gotów; ale tu siedzieć zamkniętemu, jak w więzieniu, a jeszcze, jak rychło przyjdzie, o głodzie, nie mogę, i dużo naszych nie będzie mogło. Doma żona chora, gospodarstwo, bieda; ja tu nie wytrzymam. Widzicie, panowie, że mnie Nałęczowscy puścili, a wiecie z czem? Oto, żebym wam powiedział, iż stąd nie pójdą, aż wezmą panią i sprawcę, choćby tu i pół roku stać mieli...

Grabowski począł się śmiać, ale nam było nie do śmiechu. Wziął mnie za rękę i szepcze:

— Bądź spokojny, znajdzie się na to rada!

Wyjąwszy z kieszeni talara, daje Bykowskiemu i powiada mu:

— Idź waszeć do nich, a proś tu do mnie na most jednego z tych ichmościów na rozmowę!

Szlachcic się poskrobał w głowę, ale rad nierad powlókł się. Noc była dosyć widna. Patrzymy, w pół godziny idzie nazad, a za nim konny. Grabowski do mostu pośpieszył sam.

Starszy z Nałęczów do niego wyjechał, i poczęła się następująca pomiędzy nimi rozmowa:

— Czego ichmość tu chcecie, nadchodząc dwór szlachecki?

— Nie dwór szlachcica, ale zbójeckie schronienie obsaczyliśmy. Porwano nam zdradą siostrę, stała się wiolencja i rapt. Nie mamy innego sposobu, tylko siłę siłą złamać.

— Nie tak sprawa stoi, jak ją waszmość malujecie — rzekł mój poseł. — Siostra waszmości pełnoletnia, dobrowolnie rękę przed ołtarzem oddała równemu sobie szlachcicowi; wiolencja jest z waszej strony, a ucisk niesłychany. Jeśli macie słuszność, idźcie do sądu, niech trybunały rozstrzygną.

— Oto mój sędzia — odparł Nałęcz, bijąc się po szabli. — Ja innego nie znam, a z hołotą się po trybunałach rozpierać nie myślę.

— A ja waści mówię — dodał Grabowski — że nas tu nie weźmiecie. Będzie-li nieszczęście i krew się czyja poleje, niech spada na waszmościów.

— Niech spada choćby i na mnie — rzekł Nałęcz — ja tam o to nie dbam, a gwałtu sobie czynić nie damy.

— My też — rzecze Grabowski.

— Siedźcie w tej mysiej dziurze, jeżeli chcecie

— począł ów — a ja was tu głodem zmorzę i wybiorę.

— Starościcu, po ludzku mówmy! Co wam z tego przyjdzie? Ludziom śmiech, domowi wstyd, obmowa, szyderstwo z tego. Siostra zamąż wyszła, ksiądz przy świadkach ślub dawał; od męża jej nie odbierzecie. A to wam powiedzieć kazała, że rychlej umrze, niż mu wiarę złamie.

— Waszmość mnie uczyć nie będziesz, co mam robić, ani co imieniu mojemu ode mnie się należy — rzekł Nałęcz. — Róbcie swoje, my też.

— O co wam idzie? Próbujmy skończyć po szlachecku.

— Zaczęliście po zbójecku, a kończyć chcecie, ze strachu w układy idąc — zaśmiał się Nałęcz. — Wydajcie nam siostrę i tego panicza, to wyliczymy mu na skórze pamiętne i rzecz się skończy... Ot, co jest!

Buchnął tedy Grabowski gniewem, ale się pohamował i zawołał tylko:

— Ruszaj waść, skądeś przyszedł! Zobaczymy, czyja skóra garbować się będzie.

I tak się rozjechali w największej złości.

Rachowałem ja na chorążego, na podczaszynę, na to, że, jak się ludzie dowiedzą i hałas uczyni, to ich odwiodą od tego zamachu na nas; ale potrzeba było czasu, a tu głód za pasem. Jeszcze nie szarzało na dzień, Grabowski do mnie przychodzi i pyta:

— Znasz ty błoto dobrze?

— Niebardzo — rzeknę mu — jam tu nowy dziedzic.

— Dawaj mi przewodnika! Wydobyć się stąd muszę, aby wam odsiecz sprowadzić, bo szlachta

nasza do wybitej doskonała, ale jak chleba i wódki zabraknie, to się wszystko rozlezie. *Periculum in mora.*

Był chłopak wyrostek przy folwarku. Grabowski zmiarkował, że musiał na jaja czajek po błotach się włóczyć, i kazał mu się tyłem przeprowadzić. Jużem go nie śmiał od tego odwodzić, choć bez niego prawej ręki mi brakło. Chłopak zobowiązał się iść z nim na błota i, niepostrzeżenie, po kątach, między trzcinami, bezpiecznie go przewieść do szlacheckiej osady za rzeczką.

Jak raz to sobie w głowę wbił, już go odciągnąć nie było podobna. Wdział siermięgę, kożuch i czapkę chłopską, tylko dwa pistolety olstrowe włożył za pas, pod sukmanę, i tyłami wysunął się z chłopcem. Żegnając mnie, ścisnął za rękę i powiada:

— Dawaj im jeść, co wlezie; nim jutro przyjdzie, posłyszysz o mnie! Mądrzy oni, ale Grabowski też niegłupi.

Patrzałem się z wału, jak go chłopak poprowadził dosyć szczęśliwie. Załamali się trzykroć, ale niegłęboko; potem, jak się wszyli w trzcinę, tylkom im pobłogosławił... przepadli.

Natenczas pomyślałem sobie: — W ostatnim razie wezmę Helusię na ramiona i wyniosą stąd, gdy będzie potrzeba. Ukryjemy się kędyś w chacie, a tymczasem coś się do zgody uczynić musi.

Zaczęło dnieć; my — na swoich posterunkach, oni też. Most kazałem do reszty porozrzucać, a, wierząc słowu Grabowskiego, śniadanie sprawiliśmy sute i wódki nie pożałowaliśmy.

Uchodzą godziny na wyczekiwaniu tej odsieczy; przyszło południe, nastąpił wieczór, zmierz-

cha się; nastawiają wieczerzę dla panów braci, i dla zabawy, do wódki wytoczyliśmy im półbeczek kwaśnych ogórków. Patrzę naokół: nic się ani ruszy.

Nie zwątpiłem bynajmniej o moim Grabowskim, ale w tej biedzie różne przychodziły myśli. Wyrostek, który miał powrócić, nie przychodził; a nuż gdzie potonęli? Rzeczka była oparzelista, ranek chmurny, chłopiec niebardzo rozgarnięty... Nuż go tam pochwycili gdzie!... A to, a owo... Gdy noc przyszła, już mi bardzo zrobiło się ciężko. Poszedłem do alkierza, patrzę: Helusia płacze. Chciałem ją cieszyć, ale słów zabrakło; wskazałem krucyfiks i Matkę Boską, i wysunąłem się.

Wychodzę do wrót, by czaty opatrzyć... Ciemno już było bardzo. Aż mi Zegrzda drogę zabiega i woła:

— Coś za groblą się stało, bo tętent, krzyk, a, bodaj, parę strzałów słyszałem.

Drudzy mówią, że to we wsi szlachta zahulała. Niema nic... ucichło. Widać, wrotami gdzieś trzaśnięto, a zdało się, że strzelają.

Umilkliśmy wszyscy i nastawujemy ucha; ano, szmer, jakby się w garnku gotowało, i kiedy niekiedy okrzyk, a potem znowu daleka wrzawa i cisza.

— Ani chybi — powiada szlachcic stary — że chłopów tłuką, jeśli im się postawili naprzekór.

Wtem na zachodniej stronie ponad stawem, kędy droga szła, przypatruję się: mknie jeden jeździec, za nim drugi, potem dwóch, ale co koń wyskoczy i do siodeł poprzytulani, aż leżą. Za nimi znów jeden... i znowu kilku... Od ostatnich błysnę-

ło, strzelili... aż i huk wyraźny... No, więc coś jest... Ale, kto tam wygrał, niewiadomo.

Jużeśmy aż za wrota powyłazili; czekamy tylko. Upłynęło pół godziny, może i więcej. Sprzykrzyło się darmo wyglądać; we wsi cicho.

— Niewiadomo, co tam było — mówię do Zegrzdy — chodźmy się ogrzać do izby!

Wtem szlachcic przypada do mnie:

— Patrzajcie! Patrzajcie!

Spojrzeliśmy na groblę. Kaduk wie, co tam takiego, zrozumieć trudno. Od karczmy szereg świateł, jakby pogrzebowych, pozapalane smolne łuczywa, czy co, ciągnie na groblę ku nam. Stoimy, patrzymy: nieprzyjaciel, czy odsiecz, nie odgadujemy.

Kiedy się zbliżyli do mostu, słyszę głos; przez kułaki Grabowski woła o przeprawę. Skoczyliśmy ku niemu, ja, Zegrzda i ilu nas było...

Zbliżywszy się pod most, patrzę: a oto czysta komedja. Grabowski na beczce ogromnej, beczka na wozie, parą wołów ciągnionym, dalej wóz drugi, trzeci, czwarty, a około nich szlachty ćma z pochodniami, niektórzy z szynkami na kijach, inni z kiełbasami na szyi, ostatni po parę bułek pod pachami... i wszyscy chórem śpiewają jakąś pieśń żołnierską, podpili widać... Kiedy lepiej się przyglądam, widzę: Grabowski z głową związaną, u drugiego ręka na chuście, trzeci o kiju się wlecze, stękając.

Most połataliśmy naprędce, jak było można. Rzucam się ku Grabowskiemu, aby go ściskać, a ten mi woła zdala:

— Dobra nasza! Górą Jastrzębce! Nałęczem sobie Nałęcze rany obwiązują!

— Co się stało? — mówię.

— Zaraz opowiem. Ale naprzód wprowadźmy obrońców na waszecin zamek, ugośćmy, a potem o tem.

Wjechali tedy z pieśniami, ze strzelaniem, z humorem, jak zwycięzcy, aż Helusia w ganek wybiegła, na tę osobliwszą z kiełbasami procesję popatrzeć. Nierychłom Grabowskiego złapał.

— Mów, ojcze a dobrodzieju... jak to było?

Otóż czegom się od niego dowiedział:

Chłopiec go bezmała całego, ale zamoczonego po pas, przeprowadził do szlacheckiej osady. Tam już on był, jak w domu; kazał zwołać panów braci, wlazł na beczkę i przemowę im palnął o równości szlacheckiej, o przemocy magnackiej, o potrzebie wzajemnego ratowania się. Szlachta stanęła gotowa na odsiecz. Posłano po bliższych do innych wsi, a razem zebrano żywność. Grabowski od siebie z domu kazał przywieźć beczkę miodu i parę beczułek wódki.

Gdy wszystko było w gotowości, wozy z żywnością zostawiwszy wtyle, o mroku puścił się ze swym oddziałem do Surowina. Nałęcze wcale się nie spodziewali napaści, i po większej części spali, lub po chatach leżeli, gdy szlachta z okrzykiem na nich uderzyła i w jednej chwili rozprószyła; bo ci, co po chatach byli, oknami przez ogrody pouciekali. Strzelono parę razy, ścięto się w szable, ale żadnego trupa nie było, jak się zdaje, z obojej strony.

Wysłuchawszy relacji, uścisnąłem przyjaciela; ale ten mi rzecze:

— Na teraz skończone, ale, prawdę rzekłszy, wszystko po dawnemu. Nałęcze swoje, my swo-

je, i tak się to będzie ciągnęło, Bóg wie, jak długo. Trzeba myśleć, co począć.

— Nie może być! — rzekłem. — Są przyjaciele, co ich opamiętają; dowiedzą się ludzie, starszy brat mi przyrzekł. Podczaszyna też poruszy swe wpływy... musi temu raz być koniec!

Zostawiwszy nieco świeżej szlachty przy sobie, straże znów poustawialiśmy. Zmęczonych odprawiono do domu; ale się z Surowina wybrać nie było można, zawsze tu jeszcze było najbezpieczniej.

W nocy się trochę spoczęło, bo była ta pewność, że wprędce nowych sił nie zbiorą. Nad ranem wyszliśmy z Grabowskim obejrzeć się. Na grobli spotykam człeka. Widzę, obcy. Popatrzył się na mnie, i z płachty list rozwinąwszy, wręczył mi go.

Posłaniec to był od podczaszyny, a pismo od jej kapelana, z doniesieniem, że panowie Nałęcze po odniesionej porażce — a jeden z nich lekko raniony — zawzięli się na nas gorzej jeszcze; że się odgrażają, choćby do nogi wyginąć mieli, porwać mnie i ściąć, a siostrę do klasztoru zamknąć; że przygotowania się robią wielkie; abyśmy się mieli na ostrożności. Ale dołączał zarazem, że podczaszyna pisała do kasztelana krakowskiego, Potockiego, aby o tem królowi dał znać, i poruszyła wszystkich swych przyjaciół dla uczynienia zgody; abyśmy byli cierpliwi.

— Niema innej rady — rzekł Grabowski — tylko, póki się to nie załatwi, trzeba w pomoc szlachcie spędzić ludzi ze wszystkich wiosek naszych, z cepami, kosami, siekierami... i czekać obronnie ewentu.

Ponieważ gościńce były wolne, pchnąłem zaraz

Grzesia do Wólki po śpiżarnię, kazałem parę wołów na rzeź przypędzić i ludzi pozwoływać. Koszt był niemały, kłopot straszny, ale nie mogłem folgować, musiałem się bronić do ostatka.

Trzy dni jakoś było spokojnie. Chodziły wieści głuche, plotki niedorzeczne; przyjeżdżała szlachta z tem i owem, wiedząc, żem dobrze traktował, ale Nałęcze się nie zjawiali. Trzeciego dnia wyjechał Zegrzda na wywiady, choć małomówny, ale roztropny człowiek, i przywiózł języka, jakiego dostał, że Nałęcze zmiękli znacznie, że wpływy różne zaszły, że tylko o odstąpieniu sumy posagowej jest mowa.

— Jeśli to prawda, jadę do podczaszyny — rzekłem — i rzecz we dwóch słowach kończę.

Ale, gdym poszedł do Helusi, rozpłakała się strasznie i wręcz mi powiedziała:

— Niech jedzie kto chce, a ja was, panie Janie, od siebie nie puszczę i nie puszczę. Mogłoby się trafić nieszczęście, spotkanie, i jabym to na sumieniu miała.

Powiedziałem Grabowskiemu, a ten mi na to:

— Ma słuszność, ja pojadę. Wezmę tylko moje hiszpańskie pistolety za pas, i, choćby do Nałęczów samych na dwór, nie ulęknę się.

Uprosiliśmy go, że samotnie wyjechał, i to tylko do podczaszyny.

Znowu dwa dni w tej niepewności upłynęły. Dają mi znać, że wraca, i ażem na groblę do niego wybiegł. Patrzę, kwaśny; poznałem z miny, że źle się powiodło.

— A co, przyjacielu? — spytałem.

— Nic — rzecze — z kwitkiem poszedłem, gadać nie chcą. Podczaszyna radzi zebrać ludzi i je-

chać wam do Warszawy, gdzie pod bokiem króla, w stolicy, żadnej się już napaści obawiać nie potrzebujecie. Rzecz trzeba w tajemnicy zachować największej, aby się nie rozniosło póty, póki w stolicy nie staniecie. Niech ludzie myślą, że tu jesteście. Zczasem się to ukoi, ale czekać waszmość musicie. Chorąży próbował ich, naprowadzał do rozumu, prosił; wstawiała się i chorążyna, którą starszy brat bardzo lubi, reflektowała podczaszyna, nie pomogło nic.

Bardzo mi to było nie na rękę. Gospodarstwo zaniedbane. Starostwo miałem przyjmować, rozpłaty, inwentarze, roboty siła, a tu jedź w drugi koniec kraju i siedź z założonemi rękami. Ale innego sposobu nie widzieliśmy. Helusia też była za tem.

Poczęliśmy się tedy przysposabiać do podróży w tajemnicy największej. Pomimo to na pół drogi przeprowadzać nas miało dwudziestu rębaczów, a do samej Warszawy Grabowski, Zegrzda i ośmiu z ich komitywy doświadczonych. Jak na toż zima, która się dotąd trzymała, jak murowana, poczęła nagle ginąć; ni kołami, ni na saniach. Roztopy okrutne, deszcz, śnieg, plucha, zawieje na dworze; ani nosa wytknąć, ani kolebki dobrać. Helusia mi się oświadczyła jechać konno, i jak poczęła prosić, musiałem pozwolić. Dałem pod nią Pyladesa, bom wiedział, jaki to koń; zresztą, sam miałem przy niej jechać.

Nic nikomu nie mówiąc, wieczorem wysunęliśmy się z dworka, dosiedliśmy koni i ze szlachtą naszą puściliśmy się, aby z domu tylko, na nocleg do Sławatycz.

Nikt, zdaje się, żywa dusza nie wiedziała,

cośmy za jedni. Helusia się nawet dla niepoznania przewdziała po męsku, a wyglądała, jak piętnastoletnie chłopię... Tylko jej skrzydła przypiąć, byłby anioł.

W Sławatyczach, dla okrutnej zawiei, musieliśmy podnocować, a stąd musieliśmy małemi drogami ciągnąć na Białą Radziwiłłowską, dalej ku Warszawie.

Nad ranem księżyc świecił. Wstaliśmy dodnia i w drogę. Wziął mały przymrozek, niebo się wyjaśniło, ziemia stężała i zrobiliśmy kawał dobry do południa. Na noc chcieliśmy być w Białej. Szło wszystko jak najpomyślniej, aż prawie do wieczoru.

Ledwie poczynało zmierzchać, w puszczy pod miasteczkiem ujrzałem konnego jakiegoś, który stał na gościńcu i znikł nagle. Tknęło mnie coś i powiadam Grabowskiemu. Ten się śmieje i mówi, że przywidziało mi się.

Wszelako on i ja porozplątywaliśmy rapcie od szabel i opatrzyliśmy pistolety. Jedziemy trochę dalej, słyszę tętent ztyłu, a zprzodu postrzegam kupę ludzi. Obejrzę się... osaczeni jesteśmy.

Schyliłem się z siodła, całując w czoło Helusię; ścisnąłem jej rękę, wzięliśmy ją między siebie i stajemy. Wtem słyszę głos:

— Zdawajcie się na łaskę, a nie, to z was tu i jeden z duszą nie wyjdzie!

Na to Grabowski w śmiech. Było nas razem z ludźmi koni coś dwanaście, ich zaś może dziesiątek z jednej, a dziesiątek z drugiej strony; tylko, że nas wzięli zdradą, ztyłu i przodu. Po obu stronach gościńca las okrutny i gąszcze.

Nie wiedzieć, jak się stało, żeśmy zaraz do tych

krzaków się przyparli, Helusię wziąwszy za siebie, i frontem do obudwóch kupek stanęliśmy. Uciekać — ani było można, ani uczciwie. Chciał mnie i ją Grabowski namówić, abyśmy w las uchodzili, gdy oni z nimi zabawiać się będą; ale i ja i ona odmówiliśmy. Daliśmy sobie słowo nie strzelać, pókiby na białą broń szli.

Upłynęło może tyle czasu, ile jedna Zdrowaśka; patrzę: sadzą na nas z szablami. Już dalej dobrze nie wiem, co się działo, bo się poczęła taka siekanina o mroku zawzięta, że aż skry się z szabel sypały. To tylko pamiętam, żem ręki nie żałował, ale, mimo liczby, nie przemogli nas. Byliśmy ztyłu osłonieni gąszczą nieprzystępną, a konie ustawiwszy dokoła, aniśmy się dali ukąsić. Co natrą na nas, to ich tak przyjmiemy, że muszą się cofać. Grabowski Nałęcza zaraz w początkach płatnął po gębie; ja Biesowi-m czapkę przerąbał i troszkę skóry na łysinie; inni też nie próżnowali. Gwar, krzyk, aż słyszę: pada strzał, i zaraz po nim jęk. Poznałem głos Helusi. Nie śmiałem się obejrzeć, ale mnie wściekłość porwała straszna. Sunę się z rzędu i rąbię. Jużem oślepł — i nie wiem kogo i jak.

Było chwilę zamieszanie; z naszych jeden padł z konia, z ich strony kilku uciekło, a dwóch się zwaliło, i zmiękli zaraz: w konie i w nogi. Aniśmy się opatrzyli, jak ich nie stało, a gonić nie było potrzeby.

Dopierom się obejrzał ku Helusi, i, zobaczywszy ją na koniu siedzącą a zdrową, jak mi się zdało, Pan Bogu podziękował. Ale, gdy się zbliżam o mroku, patrzę, na twarzy krew. Krzyknąłem:

— Co to jest?

— Nic — rzecze — nic, gałąź mnie drasnęła.

Ale nie była to gałąź, tylko niecnotliwa kula braterska, która jej ramię śliczne odarła; szczęście, że się oślizgnęła tylko i nie weszła w ciało, ani tknęła kości.

Wnet-em się rzucił obwiązywać, ale mężnie to zniosła, uśmiechając się, jak żołnierz, aż mi łzy z oczu ciekły. Szukam potem Grabowskiego, a ten pod drzewem siedzi i drudzy mu gębę zawiązują. Szpetnie był pocięty. Mnie też parę razy skubnęli, ale to tam skóry nie przeszło.

Mieliśmy jeszcze kilku rannych, wszystkich jednak nie strasznie. Gdy trwoga ta przeminęła, rozglądając się, słyszymy: stęka coś za krzakiem z przeciwnej strony. Poszliśmy tam: leżał szlachcic nałęczowski, zwany Burakiem, fatalnie raniony. Nie dałem mu krzywdy robić, choć mu się za niepoczciwą napaść należały płazy, ale go i tak Pan Bóg pokarał, bo skórę na policzku miał zupełnie obciętą i obwisłą, aż z jednej strony szczękę i zęby widać było. Kazałem go obwiązać, ale wybadać nie było można, bo wcale gadać nie mógł, ino krwią pluł raz wraz, płakał i jęczał. Mimo gniewu słusznego, byłbym go wziął na którego konia do najbliższej karczmy, aleśmy byli bardzo objuczeni. Powlókł się więc pieszo.

Po tem spotkaniu nieszczęśliwem, pośpieszyliśmy do miasteczka, dla samej Helusi, która, mimo męstwa okazanego, bardzo była zmęczona. Ale i koniom się dały we znaki tarapaty. Nadciągnęliśmy do gospody już nocą.

To była moja ostatnia z Nałęczami rozprawa, a gdy dziś ją przypomnę, nie wiem, jakeśmy po-

trafili napaść odeprzeć, chyba łaską to bożą, która zawsze niewinnego krzepi i wspomaga.

Wypocząwszy następny dzień, puściliśmy się w dalszą drogę i dostaliśmy się do Warszawy, gdziem się czuł zupełnie bezpiecznym. Rozpoczęły się po trybunałach procesy nasze: Nałęcze przeciwko mnie, ja przeciw nim. Alem miał za sobą i króla, i dwór, i dyplomatów, bom był pokrzywdzony i uciśniety. Byłoby to jednak nieskończone wieki trwać mogło, i dobra żonine, zajechane przez braci, nie wyszłyby z ich rąk, gdyby nareszcie do ugody nas nie sprowadzono.

Wspólni przyjaciele zbliżyli nas; spisaliśmy tranzakcję ugodną, ze wszelkich krzywd i pretensyj wzajemnie się kwitując, tylko sumy posagowej ustąpić musiałem tytułem kosztów.

Jak się to stało, nie bawiąc, ruszyliśmy po Zielonych Świątkach z Warszawy do domu, aby uroczyście wesele odprawić i z rodziną się przejednać. W Wólce nam było ciasno, w majętności żony był dzierżawca jeszcze; kazałem więc trochę dwór w Ryżawce wyporządzić i wprost tameśmy podążyli.

Nie było bardzo dogodnie ani pięknie w tem starem domowisku opuszczonem, ale młodemu gdzie nie dobrze i gdzie nie wesoło? Zwłaszcza, jeśli z dozgonnym przyjacielem — a jeszcze po takich burzach, jakie ja przebyłem — u portu i spoczynku!

W kilka dni kawalkatą ruszyliśmy do panów braci. Nie mogę narzekać, aby mnie źle lub kwaśno przyjęli; owszem, starali się okazać, że wszystko zapomniane było, i zmuszali moich i mnie pić i kochać gwałtem.

Stąd zaprosiłem ich do siebie, dobrze zaopatrzywszy piwnice, abym szlachcie nie wydał się podlejszym od tych senatorów. Wystąpiłem tak, że do dziś dnia o tem jeszcze na Podlasiu fama chodzi. Kosztowało mnie ono spóźnione wesele omal nie tysiąc czerwonych złotych, bo trwało dni dziesięć, a całuteńka szlachta okoliczna, aż do najuboższej, była zaproszona i traktowana, co gardło strzymało. Szczęściem, że to było w lecie, a stodoły jeszcze próżne, bo na ten traktament miejsca we dworze nie stało.

Zabawili się więc jedni z nami w starym budynku, drudzy w stodole wielkiej, sośniną ubranej na podziw pięknie, inni w podwórzu, pod lipami. Szlachta mnie na ręku nosiła.

Mogę się i tem pochwalić, że, mimo natłoku ludzi i trunków dostatku, ani jednej zwady nie było, oprócz, że tam Biesowi któryś guza rękojeścią na czole wycisnął; aleśmy ich zgodzili zaraz i spoili do niepamięci.

Izbę jadalną we dworze takem przystroił w kilimy i kobierce tureckie, w rzędy, szable, zbroje, łuki i kołczany, zdobyte i pokupowane, iż się wydziwić i odchwalić nie mogli.

Sit nomen Domini benedictum.

(Reszty brak w rękopisie).

KONIEC.

U.C. BERKELEY LIBRARIES
C096413383